L.M.R.L

I. N. R. I.

Wyszły z druku
i są do nabycia we wszystkich księgarniach
następujące powieści wydane przez
Tow. Wyd. „Kompas"

Runa
MIEDŹ BRZĘCZĄCA
w przekładzie F. Mirandoli

E. Malzan
HOSANNA IN EXCELSIS
w przekładzie F. Mirandoli

PIOTR ROSEGGER

I. N. R. I.

RADOSNA WIEŚĆ SKAZAŃCA

Tłumaczył z niemieckiego

K. BUKOWSKI

NAKŁADEM
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „KOMPAS"

Tłoczono w Zakładach Graficznych
Tow. Wyd. „KOMPAS“ w Łodzi

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 1718A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

Miejska Biblioteka Publiczna
4850
w Białymstoku

830-312.2

RADOSNA NOWINA SKAZAŃCA.

Zanim zacznie się święta opowieść, tajemna droga wiedzie nas najpierw do wielkiego miasta. Tam bije serce czasu. Na wielkim placu, przed gmachem sądowym, czerni się wielka rzesza ludzi, wozy koleji elektrycznej nie mogą ruszyć z miejsca. Sześć albo osiem wozów stoi już rzędem, a policjanci nie mogą rozpędzić tłumu. Wszyscy tłoczą się — jedni w nerwowym pośpiechu, drudzy popychani przez innych — ku gmachowi sądowemu, a z ulic napływają nieustannie nowe fale ludzi. Zdaje się, że lada chwila pojawi się w górze na krużganku herold i oznajmi publicznie wyrok.

Wszyscy byli rozgoryczeni na oskarżonego, który chciał dokonać tak niesłychanego czynu.

— Będzie skazany! — zawołał jeden. — Pojedzie do nieba windą z konopi!

— Nie bądźcie dziecinni! — rzekł drugi z wyższością. — Najpóźniej za pół godziny wyjdzie z bramy jako wolny człowiek.

Powstały namiętne swary i narady. Bystry obserwator zauważyłby z łatwością, że eleganckie tużurki spodziewały się wyroku skazującego, podczas gdy bluzy robotnicze i bezładne tłumy pospólstwa domagały się gwałtownie uwolnienia. Jakiś otyły pan zapytał głośno, kto chce

założyć się z nim o dziesięć dukatów, że nędznik będzie dyndał.

Jakiś wychudły człowiek wyraził chęć pójścia o zakład. Okazały jegomość odwrócił powoli głowę z jedwabnym kapeluszem, a ujrzawszy chudego, mruknął ospale:

— Ten! Ten chce się zakładać ze mną o dziesięć dukatów! Kochany panie, idź pan lepiej do swojej mamci i poproś o dwa fenigi.

Wybuchnął śmiech. Ale ucichł. Jak podmuch wiatru, który burzy fale morza, tłum drgnął nagle. Na krużganku gmachu sądowego ukazał się człowiek. Miał ciemną, krótko strzyżoną, gęstą brodę, głowa z wysokiem czołem była odsłonięta. Z poważną miną zbliżył się do parapetu i podniósł rękę — nakazując milczenie. A gdy szmer uciszył się, zawołał cienkim głosem, podkreślając każde słowo:

— Oskarżony Konrad Ferleitner uznany został większością trzech czwartych głosów przysięgłych winnym i w imieniu Jego Królewskiej Mości skazany jest na śmierć przez powieszenie. — —

Ogłosiwszy to stał jeszcze przez chwilę, potem wszedł z powrotem do domu. Z tłumu wydarło się kilka okrzyków.

— Robicie męczenników! Krew marzycieli jest zaraźliwa!

— To jest marzyciel? Jeśli to marzyciel, to ja jestem łajdakiem!

— Dlaczego nie? — zaśmiał się jakiś człowiek z rozwichrzoną czupryną.

— Rozstąpić się! — krzyczeli policjanci, za-

sileni przybyłem wojskiem. Tłum cofnął się na wszystkie strony i wozy tramwajowe miały już tor wolny.

Obok tego samego toru przejechał w kilka minut później zamknięty wóz. W oknie wozu błysnął bagnet. Gawiedź uliczna pobiegła za nim gromadą, ale wóz potoczył się szybko po druku, aż z pod kopyt końskich wzbił się kurz, i zniknął wkońcu w długiej aleji topolowej, prowadzącej do domu karnego. Niektórzy zatrzymali się zadyszani i zastanawiali się, dlaczego biegli jak szaleni.

— Dzisiaj nic jeszcze nie będzie. Przeczytamy w gazetach, jeśli się już stanie.

— Tak myślisz? Powiadam ci, że to jest tylko dla osób zaproszonych, dla gości! Minęły czasy, mój drogi, gdy tracenie było świętem ludowem. Lud jest wszędzie poniżany.

— Cierpliwości, mądry rówieśniku! Gdy będą tracić katów — wtenczas dopiero będzie prawdziwe święto.

Postacie zniknęły w tłumie ulicznym.

W wozie, zdążającym wzdłuż aleji, między dwoma żandarmami, siedział skrępowany szczupły, zgarbiony mężczyzna. Ramiona jego wznosiły się i opadały, tak ciężko oddychał. Miał na sobie czarny płaszcz, na szyji i na rękach widać było białe płótno. Włosy jego były czerwono-brunatne, starannie uczesane, policzki i broda gładko ogolone. Wierzył, że ten dzień przyniesie mu wolność, albo też wróci mu ją w niedługim czasie. Blada jego twarz z zapadniętymi policzkami zdradzała najwyżej czterdzieści lat, ale mógł być jeszcze

młodszy. W oczach gorzał błękitny, marzycielski ogień, jednak pełne one były lęku. Twarz jego byłaby nawet piękna, ale szpecił ją ów strach. Siedział tak przygnębiony, z skrępowanemi rękami na zaciśniętych kolanach, z zakurczonymi palcami, z pochyloną głową i zwieszoną na piersi brodą. Przysunął nogi jeszcze bliżej, aby żandarmi mogli wygodnie siedzieć. Jeden z nich spojrzał na niego z ukosa i zapewne pomyślał, jak to możliwe, że ten łagodny człowiek popełnił taką zbrodnię.

Wóz jechał wzdłuż wysokiego muru długiego budynku, którego brama otworzyła się teraz. Na dziedzińcu wyprowadzono biedaka z wozu i przez drugą bramę zaprowadzono na wąskie, tylne podwórze. Tam zdjęto mu z rąk kajdanki, a potem poprowadzono dalej sklepionymi korytarzami, w których tu i ówdzie umieszczone były furtki z zakratowanemi okienkami. Ciemna droga wiodła krętymi korytarzami, oświetlonymi tam i sam lampą. Powietrze było coraz zimniejsze i duszniejsze. Otwory w murach, przez które przebłyskiwało blade jeszcze światło dzienne, były coraz rzadsze, aż wkońcu nastąpiła zupełna ciemność i noc. Przybysza przyjął klucznik więzienia, starzec z siwemi, najeżonemi włosami, z silnie wystającą kością czołową i rysami twarzy, które nieustanna niechęć wykrzywiła brzydkim grymasem. Zapewne, że była to niechęć, jeśli czuł się człowiekiem niewinnym jak baranek i musiał spędzać życie w więzieniu między rabusiami i mordercami, a nawet „umarłymi za życia". Zaledwie zobaczył za filarem słaniającą się jak cień postać więźnia, gdy wiedział już, jaka

wybiła godzina. Dla biedaka wybiła dwunasta. Ze złości, że tacy ludzie dają się tak łatwo złapać, łajał ich zawsze gburowato. Dzisiaj towarzyszył więźniowi do celi w milczeniu i nie zadźwięczał pękiem kluczy przy zamykaniu. Ale nie omieszkał przyłożyć oka do dziurki, chcąc zobaczyć, co teraz biedak pocznie. I wtedy ujrzał, że skazaniec padł na ceglaną podłogę i nie ruszał się z miejsca. Klucznikowi zrobiło się smutno i otworzył znów drzwiczki. Człowiek ten był przecież tak rozsądny, że umierał szybko. Skazaniec poruszył się, błagając, aby go pozostawiono samego.

A potem został sam. Został znowu sam w tej głuchej celi, mającej drewnianą ławkę, siennik i dzban na desce, rzeczy, na które patrzył bezmyślnie po sto razy w czasie długiego aresztu śledczego, myśląc tylko o jednem: muszą mnie uwolnić! Z desek podtrzymujących siennik sporządził coś w rodzaju stołu, zaco go klucznik ostro zganił, ale pracy jego nie zniszczył. — Wysoko w ścianie umieszczone było okienko z żelaznemi kratami; przez nie odbijało się światło od przeciwległego muru. Górna część muru oświetlona była teraz słońcem — kamienie słały litościwie jego refleks. Przez okno widać było jeszcze krawędź stromego dachu ceglanego i komin, a między nimi przebłyskiwał trójkątny skrawek błękitnego nieba. To było bogactwo tej celi. Konrad nie wiedział, że właśnie tę izbę zawdzięczał niezwykle dogodnym okolicznościom. Skąpe światło, płynące z góry, było dlań całemi tygodniami pocieszeniem, a zarazem obietnicą: wróci ci znowu słoneczną wolność! Kroplami

wsączała się ta nadzieja w jego samotną duszę. A dzisiaj? Odrobina światła była teraz szyderstwem. Nie chciał już zmierzchu. Dzień skończył się na wieki — pragnął więc nocy. Pragnął nocy, nocy, któraby była tak ciężka i ciemna, żeby nie widział swojej nędzy. Myśleć teraz nie mógł. Był tak oszołomiony i ogłuszony, jak gdyby go ktoś uderzył pałką w głowę.

Gdy klucznik, przechodząc obok celi, spojrzał znów przez dziurkę, a skazaniec siedział ciągle jeszcze na cegłach, rozgniewał się. Z hałasem otworzył drzwiczki:

— Do krocset djabłów! Numer dziewiętnaście! Słuchajcie! Co wam jest?

Ostatnie słowo wypowiedziane było tak łagodnie, że głupi chłopak mógł jeszcze pomyśleć, jakoby się ktoś nad nim litował. Tak nie można. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Więzień wyprostował się szybko i oglądnął się zmieszany. Gdy poznał klucznika, sięgnął po jego rękę. Chwycił ją silnie i rzekł potem ochrypłym głosem:

— Mam do pana prośbę. Proszę mi przywołać księdza.

— No, nareszcie! — mruknął stary. — Panowie bezbożnicy! Na końcu idą przecież do Boga.

— Nie jestem bezbożnikiem, — odparł spokojnie skazaniec.

— Nie? No, niech i tak będzie. Dostanie pan spowiednika.

Konrad nie miał na myśli spowiednika. Porachunki z Bogiem? Czas jeszcze na to. Przedewszystkiem tęsknił do człowieka. Nikt inny nie

przyjdzie. Nikt nie chce wdawać się z wyrzutkiem. Każdy dziękuje Bogu, że sam nim nie jest. Ale ksiądz musi.

Po upływie pół godziny — skazaniec drgnął, gdyż za każdym szmerem u drzwi przerażał się — nadszedł ktoś. Do celi wszedł powoli mnich. Dreptał dokoła, suwając sandałami. Blady odblask światła okiennego ukazał starca z długą, siwą brodą i wesoło patrzącemi oczami. Habit z szorstkiej materji przepasany był na biodrach białym sznurem. Na sznurze wisiał różaniec. Podawszy rękę skazańcowi, pozdrowił go:

— Czy mogę powiedzieć: dobry wieczór? Ofiarowałbym go chętnie, gdyby pan chciał przyjąć.

— Mam prośbę, ojcze... Nie wiem czy ojciec wie, co ze mną jest.

— Wiem, wiem już. Ale dzisiaj Bóg jest bliżej pana, niż wczoraj.

— Chciałbym wiele powiedzieć, — rzekł niepewnie Konrad. — Ale nie chcę się spowiadać. Nie jest to tajemnica: Pragnę właśnie porozmawiać z człowiekiem.

— Chce pan przecież ulżyć swemu sercu?

— Wielebny ksiądz przychodzi do mnie tylko dlatego, że to jest jego obowiązkiem. Nie jest to przyjemnie. Pocieszać, a nie wiedzieć jak. Dla mnie nie istnieje już nic więcej.

— Nie mów pan tak. O ile dobrze rozumiem, nie kazał mnie pan przywołać jako spowiednika. Tylko jako człowieka. Dobrze. Przychodzę więc dobrowolnie. Nawrócić pana przecież nie mogę. Pan musi się sam nawrócić. Wyobraź pan sobie,

że jestem pańskim bratem, którego pan długo nie widział. Naraz przychodzi tutaj, znajduje pana w tem miejscu i pyta pana ze smutkiem, jak to się mogło stać.

Więzień siedział teraz na ławce z założonemi rękami, patrzał martwo na podłogę i szeptał:

— Miałem brata. Gdyby jeszcze żył, nie byłbym tutaj. Był starszy odemnie.

— A więc nie ma pan żadnego krewnego?

— Rodzice moi pomarli, gdy miałem ledwie dwanaście lat. Jedno po drugiem. Ojciec mój nie mógł przeżyć matki. Ja ich przeżyłem. Moja matka — dobra, biedna kobieta. Zawsze wesoła i pobożna. Żyliśmy na wsi. Żaden człowiek nie miał szczęśliwszego dzieciństwa. Ach... no... ksiądz wybaczy...

Słowa jego ugrzęzły w gardle.

— Uspokój się pan. Pamiętaj tylko o swojem dzieciństwie! Jest ono światłem w podobnych dniach.

— Już przeszło, — rzekł Konrad, przezwyciężywszy łkanie. — Wspomnienie to, mój ojcze, nie może mnie pocieszyć, ale jeszcze bardziej obwinić. Jakże mogło się zrodzić z takiego błogosławieństwa takie nieszczęście? Gdybym mógł teraz uklęknąć przed moim Bogiem — i tylko dziękować! Dziękować, że nie dożyła tego dnia.

— Tak, tak! — rzekł ojciec duchowny. — Inne matki przeżyły niejedno z swoimi synami.

— Pragnę ofiarować wszystko naszej Matce Boskiej.

— O, tak właśnie. A teraz opowiedz mi pan coś. Był pan pewnie między obcymi ludzmi, co?

Jął opowiadać bezładnie:

— Gdy mi rodzice pomarli, poszedłem na naukę. Do stolarza. Był to również piękny czas. Tylko zbyt wiele różnych rzeczy przeczytałem majstrowi i mędrkowałem za wiele. Tylko nie mogłem znieść żadnej krzywdy, gdy sobie coś uroiłem. Majster nazwał mnie zwarjowanym fantastą — i wypędził. A potem wędrówka — Monachium, Kolonja, Hamburg. W Kolonji spędziłem dwa lata u jednego majstra. Gdybym u tego był został! Nie chcieli mnie puścić... i córka... Tak, a potem do Hamburga. To było już nieszczęście. Zaprowadzono mnie do związku. Nazywał się ochroną przeciw zdrajcom ludu. Być wybawcą, ważyć swoje życie. Powoli ogarniała mnie myśl, jaką to okropnością jest tyrańskwo. Jako chłopak zakłółem raz psa, który na ulicy kąsał dzieci biedaków. Był to pański pies. Wymierzono mi zato kije, ale mnie nie bolało, gdyż krzepiła mnie myśl: Uwolniłeś ich od bestji! I tak ogarnęła mnie i teraz ta sama myśl. Nie potrafię powiedzieć, co we mnie zaszło. Byłem jak obłąkany. Na sądzie opowiedziano całą tę straszną historję. Powiedziałem tylko „tak“, jak tysiące innych, powiedziałem tylko „tak“ i pomyślałem: Ciebie to ominie. A jednak nie ominęło mnie, jak gdyby tak chciał sam Bóg. Spadło to akuratnie na mnie, gdyśmy ciągnęli losy...

— Znam tę historję, mój nieszczęśliwcze.

— Ja nie. Od chwili, gdy odebrano mi z rąk rewolwer, ogarnął mnie mrok. Niczego się nie dowiedziałem, dopiero dziś oznajmiono mi, że żyje. A mnie powiedzieli, że...

— Cóż panu powiedzieli?

— ...że muszę umrzeć.

Potem spytał księdza gwałtownie:

— Czy to naprawdę tak wielka zbrodnia? Powiedźcie mi, ojcze duchowny!

— Zdaje mi się, że nie mam potrzeby mówić to panu.

— Dobrze. Niech tak będzie. W takim razie spotkała mnie słuszna kara. Wolę ku temu miałem, a wy, ojcze duchowny, powiadacie, że starczy ona za czyn. Wszystko jest w porządku. Czy to nie znaczy: życie za życie? Tak mówi pismo święte. Ale tylko to, nic więcej. Mogą mi je zabrać. Ale — niech to uczynią niepostrzeżenie, nagle. Jak ja to zrobiłem. Inaczej gra będzie nierówna. Powiedz mi jeszcze, duchowny panie, czy lękać się tak jest tchórzostwem? Lękam się ogromnie tego — co mnie czeka. O tej obawie śmierci niema mowy w piśmie świętem. Ci, którzy mnie dziś zasądzili, wyglądali jednak jak ludzie. Dobrze, niechaj więc pamiętają, że tracą mnie tysiąc razy, a nie raz. Dlaczego jeszcze żyję, jeśli stracili mnie przed trzema godzinami! Prędzej! Z tyłu! Gdyby byli tak litościwi. Jeden z nich powiedział dzisiaj, że obowiązkiem moim jest umrzeć. Mój Boże, wydaje mi się, że mam prawo umrzeć i jeśli nie pozwolili mi skorzystać z tego prawa zaraz w pierwszej godzinie, to popełnili zbrodnię. Jużby było po wszystkiem. O mój Boże, żeby to było już po wszystkiem!

Tak rozpaczał, załamywał ręce i wył z bólu. Zbladł nagle na twarzy jak glina; rysy jego zamarły jak gdyby mu serce bić przestało.

— Biedny człowieku! — rzekł ksiądz i położył dłoń na jego ramieniu, a głowę przyciągnął do swojej piersi. — Nie rozpaczaj tak, nie rozpaczaj. Patrz, jeśli przez całe życie byliśmy grzesznikami, czyż przez kilka dni nie powinniśmy żałować? Powiedz mi, bracie, czy nie pragniesz duchowego pocieszenia?

— O, bardzo, bardzo! — jęczał skazaniec. — Chciałem właśnie prosić...

— Widzi pan, że jestem gotów...

— Proszę o ewangelję, jeśli to możliwe.

Mnich spojrzał na niego, a potem rzekł:

— Chce pan ewangelji ?

— Przeczytałbym ją chętnie. Moja matka miała Nowy Testament, czytała go i objaśniała chętnie. Czułbym się jak w domu, gdybym go mógł czytać.

Na to rzekł ksiądz:

— Powiem ci coś, drogi przyjacielu. Ewangelja jest przedziwną książką, nie napróżno nazywają ją radosną nowiną.

— Mój Boże, czegóż potrzeba mi bardziej, niż radosnej nowiny!

— Jeśli ją ktoś rozumie. Ale z książką tą jest trudna sprawa. Na dziesięciu czytających rozumie ją ledwie jeden. A ten jeden nie rozumie jej także. Jest to zbyt głęboka, powiedziałbym, zbyt boska książka; jak to mówią, zamknięta na siedem pieczęci. Dlatego muszą ją objaśniać tylko ludzie powołani. Chętnie przeczytałbym z panem przy sposobności szczególniej jeden ustęp, tymczasem dam panu co innego, co przyniesie panu pocieszenie.

Konrad ukrył twarz w dłoniach, potem rzekł ledwie dosłyszalnie:

— Najmilsza jednak byłaby mi ewangelja.

A na to mnich:

— Przyjacielu, jesteś chorym, a ja jestem lekarzem. A lekarz wie najlepiej, co brakuje choremu. Możesz się pan potem przygotować na przyjęcie Świętych Sakramentów.

Ponieważ skazaniec nie odrzekł ani słowa, ksiądz opuścił go, wypowiedziawszy jeszcze parę życzliwych słów. A w chwilę potem przyniósł dozorca paczkę książek:

— Przysyła to czcigodny brat, aby się pan trochę rozerwał.

Rozrywka! Dowcip dozorcy był okrutny. Konrad zaśmiał się głośno. Tak śmieje się zrozpaczone serce, które nie może obronić się przed wizjami ostatnich godzin, cisnącymi się coraz natarczywiej. Co posyła ojciec duchowny? Zwyczajne modlitewniki i książki religijne. Między kartki, zawierające treść godną uwagi, jak rozmyślania nad czterema ostatnimi powinnościami, modlitwy pokutne i przedśmiertne, modlitwy dla nieszczęśliwych dusz w czyśćcu, włożone były paski papieru. Nieznający dusz ludzkich kapłan posłał skazańcowi zamiast życia — nową trwogę przed śmiercią. Konrad szukał pokarmu, którego łaknął, przewracał kartki książki, zaczynał tu i ówdzie czytać i za każdym razem odkładał ją ze smutkiem. Rozpamiętywał jeszcze skwapliwiej, pragnąc przywołać wspomnienia dzieciństwa. Szczególniej matka, dawno zmarła, stawała przed jego oczyma, aby stać u boku nieszczęśliwego

swego dziecka. Odżywały w jego duszy — jej postać, słowa, pieśni, święte jej opowiadania z życia Zbawiciela na ziemi. Wtedy zastanowił się nagle: Bóg nie opuścił go jeszcze w zupełności. I gdy niedawno ogarniała go rozpacz, teraz płynęły mu z oczu kojące łzy, gdy ujrzał przed sobą owe kochane cienie przeszłych czasów.

W noc po skazaniu nie spał ani godziny. Modlił się, marzył, a potem ogarnął go okrutny lęk, który jął trząść całem jego ciałem. Nieustannie spozierał ku oknu, czy już dzień nie świta. Raniutko, gdy zaczyna świtać, — słyszał o tem często — wtedy przychodzą... W oknie czaiła się jeszcze ciągle ciemna noc. Patrz, tam na małym skrawku nieba błyszczy gwiazdka. Poprzedniej nocy nie widział jej. Wznosi się powoli nad dachem i przez chwilę błyszczy życzliwie przez okno. Oko jego wpiło się w tę iskierkę, aż zniknęła lekko za murem. Gdy wkońcu zrobił się dzień i u drzwi zadźwięczały klucze, Konrad począł drżeć na całem ciele. Był to klucznik, który przyniósł węzełek drelichowego ubrania.

Gdy Konrad spytał bezdźwięcznym głosem, czy to jest śmiertelna koszula, stary huknął ostro:

— Co pan plecie? Ubierz się pan w więzienne ubranie!

Skazaniec zbliżył się do klucznika, zaplótł przed nim palce obu rąk i rzekł:

— Jedno tylko chciałbym wiedzieć — kiedy, kiedy ? Nie mogę znieść tej niepewności!

— Ech, ta niecierpliwość! — zadrwił stary. — Mój kochany panie, u nas nie idzie tak szybko. Zaledwie wczoraj został pan skazany. No, więc!

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

Nie otrzymał pan nawet jeszcze pozwolenia na wolny wybór potraw.

— Wolny wybór potraw?

— Tak, że wolno panu wybierać potrawy, rozumie pan. Niema jeszcze rozkazu. Jest pan pewny na dwadzieścia cztery godzin. Jeśli jednak lubi pan jakąś potrawę, zrobię raz wyjątek. A teraz przebierz się pan prędko! Swojemi rzeczami — tu wskazał na ubranie — może pan rozporządzać dowolnie. Ma pan kogoś? Nie. Znałem biednych ludzi. Ale prędzej, prędzej! Teraz nadchodzą upały, drelich przyda się.

Ta dobroduszna rozmowa brutalnego zazwyczaj klucznika wywarła na skazańcu szczególniej przykre wrażenie. Gdyby go należycie zwymyślał i złajał, uwierzyłby prędzej w dłuższe życie, nie obliczone na sekundy. A może wie o tem? I nie mówi tylko z litości? albo z złośliwości? Zwyczajnie stary był łatwo skłonny do gniewu, a gdy się rozjuszył, wymachiwał w powietrzu rękami i groził opornym skazańcom poprostu wypędzeniem. Teraz nie był w złym humorze. Z melancholijnym spokojem spoglądał niekiedy na skazańca, gdy popadł w taki wielki smutek. — „Biedaczysko!“ Nagle jednak rozsrożył się i wybuchnął gwałtownie:

— Przestań pan już! Powinien pan o tem wiedzieć. Bądź pan rozsądny, nie mogę znieść jęków. Zapewne, umieranie nie jest łatwe, ale powinien pan być zadowolony, że ktoś panu przytem pomaga. Zresztą — kto wie, czy pana to spotka. Bądź pan rozsądny!

Gdy potem nastąpiła znów głucha cisza, więzień próbował ponownie czytać książki. Ojciec duchowny zastosował swój wybór do rozmaitych gustów. „Nabożeństwo świętego różańca“, „Modlitwy do serca Panny Marji“, „Śmierć, sąd ostateczny, niebo i piekło“, „Żywot świętej Teresy“, modlitwy na odpust. Pełnia budujących modlitw! Stolarczyk był zawsze przyjacielem książek. Obliczył raz dowcipnie, że trzy osły nie zdołałyby udźwignąć książek, które przeczytał od dzieciństwa. Zaglądał do wszystkich zakątków czasu i przestrzeni świata, do wszystkich dziedzin ludzkiego życia. Teraz zastanawiał się, co mu z tego pozostało. Chaos, bezradność, poza tem nic. Rozmyślał nad wszystkiem, ale niczego nie zgłębił. Czytał również takie kościelne pisma, dawał się przelotnie porywać słowom znanym z dzieciństwa, ale dalej nie poszedł. Teraz, gdy ich potrzebował, odmawiały mu swej pomocy. Przewracał kartki, czytał, modlił się, szukał, ale nie znajdował niczego ku pocieszeniu w swojej biedzie. Niechętnie odsunął od siebie książki, aż niektóre spadły z krawędzi stołu na ceglaną posadzkę.

Tej nocy miał Konrad sen, tak wyraźny i żywy, jak nigdy. Najpierw był ciemny kraj, a on zbłądził. Borykał się wśród zimnych, wilgotnych skał, ale nie mógł się zorjentować. Wtedy palce jego namacały nitkę, którą chwycił i po niej wydostał się z ciemności. Okolica stawała się coraz jaśniejsza, nitka powiodła go w słoneczną, ojczystą dolinę, do miejscowości z starymi domami o wysokich dachach, do domu rodzinnego pod drzewami owocowymi, a nić, której nieustannie dotykały

jego palce, zawiodła go do izby, w której wymotał się z kądzieli matki. A ona siedziała i przędła nić, twarz miała bladą, z delikatnemi zmarszczkami i dobremi oczami, a gdy chłopak stanął teraz koło niej, opowiadała historje o Zbawicielu. Słuchał jej i był szczęśliwy. — Tak śnił. A gdy się obudził, znowu ujrzał celę więzienną i tylko łagodny głos matki dźwięczał jeszcze w jego uszach: — Moje dziecko, musisz wrócić do Jezusa.

* * *

Codziennie wyprowadzano Konrada na pół godziny na dziedziniec brudny i ponury. Ale tej pół godziny bał się. Bezcelowe obudzanie żądzy światła. A ci brutalni i zuchwali współwięźniowie, z którymi się tu spotykał! Raczej przebywać samotnie w własnej, cichej celi.

W czasie przebywania w więzieniu prosił często o robotę. Otrzymywał zawsze odpowiedź — że przepisy nie przewidują tego. Zresztą — robota jest łaską i muszą się wpierw przekonać, czy ktoś jest jej godzien. Teraz nie czas na robotę, ale na przygotowanie się. Cóż ma począć, aby zapełnić owe dni? Niekiedy — coś błyskało na podłodze. I znikało. W górze, w przeciwległej ścianie, oświetlonej niekiedy słońcem, umieszczone było okno, którego skrzydło poruszane wiatrem rzucało do więzienia odblask. Konrad przeląkł się tego niebiańskiego błysku; szukał go potem na ceglanej posadzce, jak złotej monety, która się gdzieś potoczyła.

Wtedy miał odwiedziny. Niespodziewane, okropne odwiedziny. W towarzystwie klucznika zjawiła się surowa i sztywna postać prezydenta sądu.

Konrad czuł jakby uderzenie obuchem, pomyślał tylko: nadeszła już godzina! Przyszedł człowiek, który wypowiedział wyrok tak obojętnie i bezwrażliwie, jak gdyby był maszyną, wyrzucającą przy naciśnięciu klawisza dźwięki podobne do słów. Prezydent rozkazał klucznikowi wyjść. Stary wahał się — cóż to może być! Pan musiał powtórzyć swój rozkaz i klucznik wyszedł. A gdy sędzia znalazł się sam z więźniem, nachylił się; ręka jego błądziła, gdyż oko nie przyzwyczaiło się jeszcze do ciemności. Potem rzekł serdecznie:

— Konradzie Ferleitner! Przychodzę zapytać pana o pańskie życzenia.

Zapytany załamał kurczowo ręce, ciało jego zadrżało gwałtownie pod uderzeniem pulsu, bijącego w nieregularnych odstępach z podwójną, żelazną mocą. Bełkotał przytem słowa, których sędzia nie mógł zrozumieć.

— Uspokój się pan!

Gdy wśród bełkotu więźnia posłyszał słowo „spowiednika!", przyszło mu na myśl, że więzień jest przekonany o ostatniej godzinie, która teraz nadeszła.

— Ferleitner! — rzekł — siądź pan teraz koło mnie na ławce. Myślał pan zapewne... Nie, do tego jeszcze nie doszło i może nawet nie dojdzie. Powiem tylko panu, że przedłożona zostanie Jego Królewskiej Mości prośba o ułaskawienie.

Konrad spojrzał nieprzytomnie, a blada jego

twarz wskazywała, jak bardzo zapadnięte i szare były jego policzki.

— Ułaskawienie! — rzekł głucho. — Moje ułaskawienie? A więc — dlaczego mnie pan skazał?

Pytanie to zadziwiło sędziego. Delikwent uważa się zupełnie poważnie za niewinnego.

— Był pan sam przytem, panie Ferleitner, i słyszał pan, jak przysięgli zawyrokowali na podstawie faktów. Sędziowie musieli pana skazać, nie było innej drogi.

— Ułaskawienie? Do Króla? — zapytał Konrad, bardziej zdziwiony niż uradowany i musiał usiąść na ławce, nie mogąc się utrzymać na nogach.

— Obrońca odważył się na to. Całe pańskie postępowanie przekonało nas, że wyleczył się pan z tego obłędu. Niczego więcej nie pragniemy. Ale wybaczyć taki czyn może tylko wielkie serce. Ufajmy, że nasz Król je posiada. Kanclerz jest zdrowszy. No, zobaczymy. Podpisz pan ten papier.

Wyjął złożony papier, potem flaszeczkę atramentu i pióro. Konrad nachylił się nad stołem i wzdychając głęboko, podpisał się.

— Ach tak, — rzekł. — Gdybym kiedyś znalazł się na wolności! Ani pomyślę o tem. Niech się dzieje na świecie co chce. Zajmę się mojem rzemiosłem i nie będę się troszczył o nic. Tylko... rzekł to cicho i niepewnie: — O Bogu nie zapomnę nigdy.

— Naturalnie, prawdopodobieństwo jest względne, — rzekł sędzia. — W pewnych wypadkach, gdy chodzi o całość...

— A więc jest to bardzo niepewne? — zapytał Konrad. — Ależ, mój Boże, jak to można znieść? Gdyby czas ten musiał być przedłużony — jakże to znieść? Ta okropna niepewność!

— Będzie to czas nadziei.

— Jak długo może to trwać?

Sędzia wzruszył ramionami.

— Może trwać trzy tygodnie, a może nawet dwa razy tyle.

Wtedy Konrad zapytał dobrodusznie:

— Sądzi pan, panie sędzio, że człowiek to wytrzyma? Tyle tygodni śmiertelnej trwogi.

— Ufaj pan trochę! — pocieszał go prezydent sądu. — Czyż każdy człowiek nie musi przeżywać niepewności? Zarówno sędzia jak skazany?

—Ale co ja poczne? Co ja będę tu robił przez ten straszliwy czas? Być już pogrzebanym — i znowu umierać!

— Zapewne, smutny to dom! Ale nie mogę dać panu lepszej celi. Ta cela nie jest najgorsza. Może ma pan inne życzenie, możliwie do spełnienia. Mów pan zupełnie otwarcie, panie Ferleitner.

Złożył przytem papier i schował przybory do pisania do kieszeni surduta. Oczy Konrada śledziły jego ruchy. Nie mógł jeszcze zrozumieć, że ten straszny człowiek rozmawiał z nim teraz tak życzliwie.

— Co do celi, — rzekł potem, — wszystko w niej jest, co potrzeba, bo jak się nic nie robi i niczem się już nie jest, to czegoż się potrzebuje? Gdy człowiek nie jest wolny — wszystko jest obojętne. Mam tylko jedną prośbę, panie sędzio.

— Mówże pan, — rzekł sędzia i ściskając lekę

Konrada, oświadczył nagle: — Widzi pan, przykre to, gdy się pomyśli, że wszyscy, których się sądzi, uważają nas za osobistych wrogów. Sądzą, że w sali sądowej mówi się tak łatwo i nie przeczuwają, jak niejednemu z nas ciężko jest na duszy. Nietylko zasądzony przeżywa bezsenne noce, czasami także sędzia! My ludzie prawa zawiązaliśmy stowarzyszenie — ale poza naszym zawodem — mające za cel pocieszanie tych, których musimy zasądzić, aby nie upadli na duchu. A więc ufaj, panie Ferleitner. Ulżę panu w ciężkiem położeniu wedle moich sił!

Konrad wpił wzrok w ceglaną posadzkę i rzekł:

— Proszę o przybory do pisania.

— Chce pan pisać?

— Jeśli mogę prosić o papier, pióro i atrament. W ubiegłych latach spisywałem chętnie moje myśli — jak się tylko dało. Nie uczyłem się wiele.

— I chce pan teraz pisać do swoich znajomych?

— O nie. Gdybym ich miał, byliby zadowoleni, że nic o mnie nie słyszą.

— A może usprawiedliwienie?

— Nie.

— A może historję pańskiego życia?

— I to nie. Życie moje jest na to zbyt złe. O takiem nieszczęściu trzeba zapomnieć, a nie pisać o niem. Nie, chciałbym pisać o czemś innem.

— Przybory do pisania dostanie pan, — rzekł sędzia. — A może potrzebuje pan czegoś jeszcze? Może lepszego łóżka, co?

— Dziękuję. Jestem zadowolony z tego, które jest. Gdyby tylko chodziło o to, że łóżko jest twarde! Ale czekać tak ciągle i myśleć, że teraz

już przychodzą! Panie sędzio, wtedy spać nie można!

— Nie dręcz się pan takiemi myślami, panie Ferleitner! — pocieszał sędzia skazańca, którego znowu ogarnęło rozdrażnienie. — Nikt z nas nie wie, co mu przyniesie najbliższa godzina, a jednak żyje się bez troski. Wykorzystaj pan ten czas, — rzekł z humorem — i zemścij się pan za skazanie utworem poetyckim.

Konrad odpowiedział:

— Nie umiem pisać utworów poetyckich i nie mogę się mścić. Zasłużyłem na śmierć. Ale to czekanie!

— A więc niema pan zresztą żadnych pragnień? Może polecenie do kogoś?

— Do nikogo, do nikogo!

— Jest to szczęście, którego zazdrościłoby panu wielu towarzyszów niedoli. Z sobą samym człowiek poradzi sobie zawsze. Jeśli to pana zadowolni, powiem panu, że nie uważamy pana za złoczyńcę. Ale za biednego człowieka, wprowadzonego w błąd. Na dziś wystarczy. Skromne pańskie życzenie zostanie natychmiast spełnione.

Po tej dziwnej rozmowie sędziego z skazańcem prezydent opuścił celę. Nie był zadowolony. Czy za mało usłyszał, czy też za wiele mówił? Ten dziecinny człowiek, którego przysięga zrobiła mordercą! W korytarzu pomówił z klucznikiem i dał mu pewne zlecenia.

— Zwracam również waszą uwagę, że człowiek ten jest chory. Nie bądźcie dla niego bardzo surowi.

Stary był szorstki.

— Słucham, panie prezydencie! Być surowym z takim człowiekiem! Jeśli on tak pana rozczula, dlaczego mam być sam tak surowy? — Zaczął wycierać szmatką z grubego sukna umbrę lampy, aby zetrzeć z niej osad. — Na śmierć przez powieszenie. Można to powiedzieć dwa razy tak łagodnie, a przecież boli to bardziej niż to, że ktoś tam z nas psioczy na ludzi. — Co nam zaraz biorą za złe. Chory! Naturalnie, że biedak jest chory. Dziwi mnie, że już nie przyszli lekarze i nie leczą go. Aby był zdrów, kiedy go będą wieszać!

— Dajmy temu pokój, Trapser.

Klucznik porzucił swoją robotę, przybrał żołnierską postawę i rzekł:

— Panie prezydencie, proszę o zwolnienie mnie ze służby.

— Co? Chcecie być zwolnieni?

— Proszę posłusznie o zwolnienie mnie. — Stał prosto jak świeca. — Wie pan, przyzwyczaiłem się tutaj przez te dwadzieścia sześć lat. Siedemnastu kazałem powiesić. Równo siedemnastu, panie prezydencie. Było ich dwudziestu czterech, ale siedmiu otrzymało w drodze łaski dożywotnie więzienie. Jeszcze dzisiaj odbywają karę. Wie pan, panie prezydencie, to jest psi zawód? Ale powiadam panu, że takiego jak Ferleitner, jeszcze nie widziałem. Cóż on takiego zrobił! Nie zrobił nic. Mamy tu na składzie stryczki dla innych. Bankier Deckblatt zrujnował sześć rodzin, a siódmą doprowadził do samobójstwa. Ośm miesięcy. Student Krackel ma na sumieniu dwa śmiertelne pojedynki. Sześć miesięcy. Ale ten — ponieważ nic mu się nie udało... Słowem, strach mnie bierze.

— Ciągle jeszcze jesteś w humorze, mój stary niedźwiedziu! Oby jak najdłużej! Przynieście teraz temu człowiekowi przybory do pisania.

Poklepał go przytem poufale po ramieniu. Prośba o zwolnienie została znów odmownie załatwiona. Prezydent odszedł z godnością.

Ale stary zrzędził jeszcze długo.

— Stary niedźwiedź! stary niedźwiedź! To jest cała jego mądrość. Pokażę wam jeszcze starego niedźwiedzia. Boże, co się u nas dzieje!

Mruczał pod nosem, pobrzękując silnie kluczami, aby więźniowie mieli czas uporządzić się, zanim popatrzy przez otwór w drzwiach, jak spędzają swoje chwile. Potem poszedł i przyniósł wielki kałamarz z atramentem i plik papieru kancelaryjnego dla numeru „dziewiętnaście".

— Wystarczy?

— Dziękuję, dziękuję, — rzekł Ferleitner. — Potrzeba mi także jeszcze pióra.

— O nie, mój kochany, o nie! Znamy się na tem. Od czasu, gdy przed pięcioma laty w numerze czterdziestym trzecim zakłuł się notarjusz, nie daję żadnego pióra.

— Ale bez pióra nie można przecież pisać.

—To mnie nic nie obchodzi. Ja nie umiem i z piórem.

— Pan prezydent przyrzekł mi, — odezwał się nieśmiało Konrad.

Wtedy stary wybuchnął znowu:

— Wie pan, tego prezydenta mam aż potąd! — Tu przyłożył rękę do brody. — Nawarzy zawsze,

a my musimy potem wypić. — Potem pod nosem: — Zawsze to mówię, że kiedy kogoś wieszają tygodniami, zanim go powieszą, to jest... Boże, nie mogę powiedzieć porządnie — brak mi pięknych słów! Nic dziwnego, jak który tu beknie!

— Nie zabiję się, — rzekł spokojnie Konrad. — Mówią, że mogę się zdać na łaskę króla.

— I chce pan do niego napisać. No, nie wiele to pomoże, ale niech pan spróbuje. Ma pan dosyć czasu. Jakie to szczęście, że mamy tylu biurokratów. Pociesz się pan, że i mnie się dzieje krzywda. Nie chcą mnie zwolnić. No, co się u nas dzieje!

Potem poszedł i przyniósł tygiel z zardzewiałemi piórami.

— Tylko nie zepsuj pan żadnego!

Były to bowiem pióra, któremi podpisano same wyroki śmierci. Stary miał kolekcję takich piór i spodziewał się, że sprzeda je kiedyś jakiemuś bogatemu Anglikowi.

— Czy wasza łaskawość rozkaże coś jeszcze?

Wypowiedziawszy te szydercze słowa opuścił celę, stukając i klnąc wzdłuż całego korytarza. Więźniom zdawało się, że klucznik klnie ich.

* * *

Prezydent sądu, założywszy wtył ręce, przechadzał się po swojej dużej pracowni. Do licha, krytyczny wypadek! Gdyby kanclerz nie odstąpił w owym dniu od rozprawy, wyrok brzmiałby inaczej. Prośba o ułaskawienie! Czyż nie przyczyni się ona tylko do przedłużenia męki biednego człowieka? Czy nie byłoby lepiej —? Już byłoby po wszystkiem. Z bocznego pokoju wyszedł stary urzędnik i położył na stole plik aktów.

Wtedy rzekł prezydent:

— Panie radco, przepraszam na chwilę. Czy prośba o ułaskawienie do Jego Królewskiej Mości odeszła?

— Odeszła.

— Co pan myśli o tem?

Radca sądowy wzruszył ramionami na znak, iż nic nie wie.

* * *

Konrad przykucnął i wpatrzył się w stół. Wszystko tu leżało — papier, atrament, pióra. Co będzie pisał? Opisze swój smutek? Ale jak? Podniósł oczy, jak gdyby szukał czegoś. Wzrok jego padł przez okno na ścianę, której górny brzeg zalany był światłem zachodzącego słońca. Tak żarzą się szczyty Alp. Ach, piękny ty mój świecie! Jeszcze trzy tygodnie. Albo dwa razy tyle. Potem — — Bicie serca dokuczało mu. Serce biło o skronie jak młotem. Myśli się tylko o jednym — pomyślał nagle — a przecież są jeszcze inni kaci! Wieczerza już czekała. Blaszana rynka z klejem ryżowym i kawałek chleba. Zjadł to obojętnie aż do ostatniej kruszyny. Potem zapadła noc, a na skrawku między dachem a kominem błyszczała znowu gwiazda. Konrad patrzał na nią nabożnie przez kilka minut, dopóki nie zniknęła. Potem przyszła długa, ciemna, smutna noc. I to się na-

zywa życie. I o to życie trzeba prosić króla. Jeśli król okaże swoją łaskę, będzie to słoneczny dzień. Nie — to za wielkie żądanie. Kto mówi do swego brata: Ty hyclu, on jest winien. A któż ma zamiar zabijać? Dobroć, której doznał od sędziego, pokrzepiła go wprawdzie, ale ostatnią jego myślą było: Niema nadziei!

Następnej nocy odwiedziła Konrada inna osoba. Jego matka. W odświętnym stroju, jak niegdyś, gdy szła do komunji. Ktoś był z nią. Zbliżyła się do tapczana syna i rzekła:

— Konradzie, przyprowadzam ci tutaj dobrego znajomego.

Gdy chciał chwycić ją za rękę, już jej nie było. Natomiast na środku półmrocznej celi stał Pan Jezus. Biała szata spływała aż do jego stóp, długie pukle spadały na ramiona, jasna jego twarz zwrócona była do Konrada. — —

Gdy skazaniec obudził się następnego dnia, serce jego pełne było radości. Tej nocy było mu dobrze. Krzepko zeskoczył z łoża: **Niebiańska postaci, nie opuszczę cię nigdy!**

Uświadomił sobie nagle coś, co ledwie przeczuwał. Ucieknie się pod opiekę Zbawiciela. Zatonie w Jezusie, w którym łączą się wszyscy, którzy byli kiedyś jego szczęśliwością — jego matka, niewinna młodość, wiara w Bogu, spokój i nadzieja, wieczne jego życie. Teraz już wie: Wezwie swego Zbawiciela. Wołać będzie do niego, a nie rozmyślać. Napisze o Jezusie książkę. Nie potrafi napisać jakiegoś uczonego dzieła, o nie, o tem nie myśli. Ale chce sobie żywo uprzytomnić Pana, chce się całą duszą wczuć w postać

Zbawiciela, aby miał w celi przyjaciela. Wtedy może zniknie jego niepokój. Dawniej wypisywał tak poprostu swoje życzenia, niezawsze w listach, często dla siebie. Niejedno, czego nie mógł sobie uświadomić i wyobrazić — udawało mu się z piórem w ręku wzmocnić wewnętrzną siłę patrzenia, tak iż mgliste obrazy stawały się niemal rzeczywiste. Więc też obecnie, w swojem opuszczeniu, chce zaprosić Zbawiciela do celi skazańca. Niema żadnej pomocy, musi ją sam stworzyć. Z dziecinnych wspomnień, z okruchów wiedzy szkolnej, z tego, co czytał w książkach, podług oglądanych obrazów, a przedewszystkiem z biblijnych opowiadań matki chce tak długo prosić Jezusa, aż przyjdzie. A pismo będzie miało tytuł: „Wezwij go, gdy jesteś w potrzebie!

I oto skazany na śmierć Ferleitner jął pisać swoją opowieść, jak mógł. W pierwszych dniach marzenie jego, myśli i postacie, zakłócały trwoga i lękliwe podrażnienie, przyspieszające bicie jego serca lub zapierające mu dech w piersiach. Potem siedział przygarbiony w kącie, płakał, jęczał, zmagał się napróżno z żądzą ziemskiego życia i darł rozrzucone kartki. Gdy jednak udało mu się uspokoić i chwycił znów pióro, wtedy ogarniało go powoli błogie uczucie, które trwało dłużej. Tak więc zdarzało się, iż pisał nieraz godzinami, że policzki jego nabierały barw, a oczy błyszczały — wtedy wędrował z Jezusem po Galilei. Jeśli budził się nagle z swojego zamyślenia i spostrzegał, że znajduje się w celi więziennej, ogarniał go smutek, ale nie był to już upadek w piekło, był już dość silny, aby móc schronić się na swoją wyspę

błogosławionych. I tak pisał i pisał, a w piśmie jego był pokój. Nie pytał o to, czy to jest Zbawiciel z książek. Był to **jego** Zbawiciel, taki, jaki w nim żył, i jaki mógł jego, tylko **jego** wybawić. I tak dokonało się w tym biednym skazańcu w małym stopniu to, co w większym dokonuje się w ludach: jeśli niezawsze Jezus historyczny staje się Zbawicielem, to wymarzony Zbawiciel staje się postacią historyczną, rządząc dziejami świata przez umysły ludzi. Zbawiciel z książek nie jest dla każdego, tylko Zbawiciel, żyjący w sercu. To jest też tajemnica wiecznej siły Zbawiciela, że dla każdego człowieka jest takim, jakim go ten człowiek potrzebuje. W ewangeljach czytamy, że Jezus ukazał się w rozmaitych czasach i rozmaitym ludziom w innej postaci. To powinno być dla nas napomnieniem, abyśmy każdemu dawali jego Jezusa. Jeśli tylko jest to Jezus miłości i ufności, to jest prawdziwy.

W czasie tego rozmyślania i pisania więźnia działo się tak zawsze, że z okna wpadał do celi łagodny promień światła. I było też tak, że światło wpływało do tej samotnej izby, ale jeszcze więcej światła wsiąkało do umysłu piszącego.

Klucznik nie widział pisma. Ile razy zazgrzytał klucz, Konrad ukrywał je szybko pod prześcieradłem — jak dziecko ukrywa ukochaną rzecz przed niepowołanym wzrokiem. Gdy upłynęło pięć lub sześć tygodni, leżały w celi setki zapisanych kartek. Konrad włożył je do teczki i napisał na niej:

I. N. R. I.

I. N. R. I.

Gdy jest ciemno na świecie, człowiek zwraca zawsze chętnie wzrok ku wschodowi. Tam wschodzi światło. Wszystkie światła płyną stamtąd, ze wschodu. I pokolenia ludzkie wzięły podobno tam swój początek. Oto jest starodawna księga, a w niej opisany jest początek i dzieje pierwszych ludzi. Księga ta powstała wśród ludu żydowskiego, a dawnych żydów nazwano narodem wybranym. Bo widzieli nad sobą jednego, wiecznego Boga. I powstali wśród tego ludu wielcy mężowie, głoszący święte nauki. Największy zwał się Mojżesz, a pismo głosi, iż przyniósł ludziom dziesięć przykazań. Ale żydzi upadli i grzęzli coraz niżej, aż ujarzmiły ich obce państwa. Żyli w nędzy jak my, w przekleństwie i rozpaczy, a trwało to tysiąc lat i dłużej. Od czasu do czasu pojawiali się prorocy i przepowiadali w jasnowidzeniu, że przyjdzie Zbawiciel, który wprowadzi żydów do kraju szczęśliwości. Na tego Zbawiciela czekali setki i tysiące setek lat. Niejednego uważali za niego, a jednak oszukali się. A gdy wkońcu pojawił się prawdziwy, wielki Zbawiciel — nie poznali go. Bowiem był inny, niż go sobie wyobrażali.

Czyli mam wyjawić, jak w wieczory zimowe matka moja opowiedziała mnie, małemu chłopcu, jak to się działo? Czyli mam utrwalać postokroć

w mej pamięci, jak ów, który chce się obudzić o północy zanim pan nadejdzie? Czyli ja, nieuczony, szukać mam w skołatanej, biednej mojej głowie strzępów tego, co się jeszcze zostało, co się zatarło w błędnym wirze świata, a co obecnie, gdy jeszcze jest ciemno, znowu wybłyska i wysoko jaśnieć poczyna jak gwiazda wśród nocy! Czyli mam wezwać święte postacie, aby mi użyczyły pomocy w ostatnich dniach trwogi i otoczyły mnie kręgiem wiecznego swego światła — a nie ogarnie mnie żaden duch zwątpienia?

Niech się dzieje wola boska. Wdzięczny jestem za słaby odblask nieba, spływający ku mnie od wschodu. O Boże, ojcze mój! Ześlij mi z dalekich krajów i ubiegłych czasów objawienie, aby je mogło ogarnąć i zrozumieć proste moje serce. Łaknąłem boskiej prawdy, a to co mnie pokrzepi, pocieszy i wyzwoli, będzie dla mnie boską prawdą. O moja matko! Przemów z krain wieczności do nieszczęśliwego swego syna — o przemów!

Zawsze widziałem tylko ciebie w kobiecie, która w srogi czas zimowy przechodzić musiała góry, zdala od domu. I tako zacznę.

Judea była podówczas pod panowaniem przemożnych Rzymian. Wtedy to cesarz rzymski chciał się dowiedzieć, ilu Żydów jest i zarządził w Judei spis ludności. Wszyscy żydzi mieli przyjść do miejsca swego urodzenia i zgłosić się tam u urzędnika. Wówczas żył w mieścinie Nazarecie w Galilei — która była górzystą krainą Judei — pewien cieśla. Starszy to był mąż, mający młodą niewiastę, o której dzisiaj jeszcze śpiewa

pieśń ludowa: „Bielutka jak mleko, łagodna jak owieczka; przecudna niewiasta, pełna pokory.“ Biedni ludzie, ale nabożni, pracowici i posłuszni. Nikt by o nich nie pytał na szerokim świecie i cesarstwo rzymskie nie zginęłoby bez tego cieśli. Czy raczej nie należałoby powiedzieć: Przez cieślę zginęło później! W Galilei mieszkali ludzie z całego świata, również barbarzyńcy przybyli z zachodu i z północy. Nasz cieśla pochodził z południowej Judei, z miasta Betlejem, które w dawniejszych jeszcze czasach było ojczyzną króla Dawida. Cieśla Józef mówił o tem chętnie i dawał do poznania, że pochodzi od wielkiego króla Dawida. Zapewne, piękniej jest, — tak rozumował — jeśli się z nizin wzbija na wyżyny, niż z wyżyn spada w dół. A może przecież jest inaczej? Czyli człowiek nie wstępuje na wyżyny, a Bóg nie schodzi na niziny? Dawid był w młodości pasterzem; powiadają, że jako taki zabił kamieniem nieprzyjacielskiego wodza, wskutek czego zaszedł później tak wysoko. Otóż tak, a ponieważ cieśla Józef chciał znowu raz zobaczyć swoje miasteczko rodzinne i pragnął chętnie zaprowadzić tam swoją ukochaną żonę, aby pokazać jej kraj swojej młodości, spis ludności był mu bardzo na rękę. Zebrali się więc oboje i udali się do Betlejem. Podróżowali trzy dni albo dłużej i utrudzili się zapewne bardzo. Wzięli z sobą z domu tłumoczek z żywnością i małżonka musiała często odpoczywać w drodze. Droga w górach jest niepewna, a oni musieli podróżować przez podejrzany kraj Samarytanów. Ale Józef nie myśli o tem. Przybywają wkońcu do Judei. Gdzie natrafiają na

starodawne pomniki, Józef zatrzymuje się chętnie, raz aby zobaczyć, jak są zbudowane, a powtóre, aby wspomnieć wielkich mężów i czyny przeszłości. W pewnej mieścinie, zwanej Betel, przenocowali i tej samej nocy śniła się Józefowi drabina, która wznosiła się przed nim i sięgała od ziemi aż do nieba. I myśli także Józef, że jeśli szczeble wytrzymają, mógłby się wspiąć aż na górę; tymczasem widzi, jak z góry schodzi do Józefa powolutku, coraz niżej biały anioł; a gdy wyciąga do niego rękę, anioł znika. Obudza się, sen trwa jeszcze w jego duszy wspaniały i rozkoszny, a to było miejsce, na którem niegdyś patrjarcha Jakób oglądał niebiańską drabinę, a drabina pozostała, aby po wszystkie czasy mogli po niej wspinać się i zstępować między niebem a ziemią aniołowie. Uszczęśliwieni ruszyli dalej. Ale gdy na stepie Józef słyszy wycie szakali i spostrzega w piasku ślady Beduinów, ogarnia go lęk. Ale myśli sobie, anioł, który zstąpił, krążyć będzie koło mnie, gdyż niekiedy czuje jakby na twarzy muśnięcie jego skrzydeł.

Ziemia, po której wędrują, jest zmarznięta. Zioła, ścięte mrozem, leżą na niej powiędłe. Na górach Libanonu, spoglądających ku podróżnikom tam zdala, z ziemi rodzinnej, leży śnieg, a na nizinach krainy judejskiej opadają z mglistego powietrza białe płomyczki, od których bieleją kamienie i murawy. Gdy odpoczywają koło jakiejś studni, niewiasta spogląda zamyślona na kałużę i rzecze: — Patrz, Józefie, cóż to są za cudowne zioła i kwiaty na powierzchni wody?

A Józef powiada:

— Zapewne nie widziałaś tego nigdy, Marjo? Jesteś młoda i niewiele jeszcze przeżyłaś mroźnych zim. Dlatego nie wiesz, co znaczą te kwiaty. Posłuchaj mnie! W rannym brzasku stoi dziewica. Stopa jej oparta jest o księżyc, a nad głową krążą gwiazdy. A wężowi, który skusił w raju pierwszych naszych rodziców, rozmiażdża głowę. Patrz, o tę dziewicę ubiega się wiosna i przynosi jej róże. I o tę dziewicę ubiega się także zima, a ponieważ niema innych kwiatów, zasiewa je na powierzchni wody i na taflach szyb. Ale kwiaty te są sztywne i zimne, a dziewica, tajemnicza róża, o której śpiewał jeden prorok: „Chwalić cię będą wszystkie pokolenia!“ — wybrała wiosnę...

Tak opowiada Józef, którego broda jest tak siwa jak kwiaty na lodzie. Marja usłyszała baśń i milczała.

Trzeciego dnia ukazało się naszym wędrowcom królewskie miasto. Błyszczy wspaniale na górze swoimi kopułami i blankami świątyń. Na tronie siedzi tam teraz król żydowski Herod i myśli, że rządzi. Ale rządzi o tyle, o ile mu pozwalają cudzoziemcy. Miasto to, będące niegdyś dumą wybranego narodu, roi się teraz od rzymskich wojowników, napełniających wszystkie ulice wrzawą i hałasem. Józef prowadzi swoją małżonkę w dół, ku skalnym ścianom, gdzie są groby proroków. Tam opada go wzruszenie, iż wyciąga nagle ręce ku niebu:

— Wszechmocny Jehowo, kiedy przyjdzie Mesjasz?

Wołanie jego rozlega się echem po rozpadlinach, tak iż Marja rzecze:

— Nie wołaj tak gwałtownie, Józefie. Umarli nie zmartwychwstają, a Jehowa usłyszy nawet najpokorniejsze błaganie.

Marja pragnęła, aby stanęli na popas w Jerozolimie i przenocowali. Józef nie życzyłby sobie, powiada, że nie ma w tem mieście żadnych krewnych, u których mógłby zagościć, a na zajazdy posiada za mało zasobów. Nie podobają mu się tutaj obce obyczaje, tęskni już za kochanem Betlejem. Czeka ich jeszcze kilka godzin drogi, czy ona wydoła?

Marja potakuje głową i wytęża swoje siły, aby iść dalej. Ale gdy znużona upada pod murami miasta, rzecze Józef:

— Może przecież zostaniemy, abyś wypoczęła, a jutro mogę ci pokazać świątynię.

Na pagórku kamiennym stoi człowiek i przybija dwie belki z drzewa. Józef zna się na tej robocie, ale nie może zrozumieć, co to jest. Pyta więc, co z tego będzie?

— Kto tego potrzebuje, ten tego nie chce, — odpowiada robotnik. Wtedy ogarnia Józefa lęk. Są na Kalwarji.

Marja chwyta go za ramię:

— Chodźmy, Józefie, chodźmy do Betlejem.

Bo przelękła się.

Chwiejnym krokiem schodzą na drogę. Pokrzepiwszy się u źródła w dolinie Jozafata, czują się orzeźwieni. Daleko na zielonych łąkach pasą się owce i kozy i Józef poczyna opowiadać o czasach swojego dzieciństwa. Cała jego istota

jest świeża i radosna. Ojczyzna! — Wieczorem ujrzeli przed sobą leżące na wzgórzu, lśniące Betlejem.

Przez chwilę stoją i przypatrują się. Potem Józef idzie do miasta, aby spytać o urząd i porę spisów i wyszukać zajazdu. Przed bramą, pod zębatymi wachlarzami palmy siedzi młoda niewiasta i spogląda przed siebie. Okolica w wieczornym zmroku — wszystko obce — a jednak miłe — raj dzieciństwa jej Józefa. Jakże gwarnie było w Jeruzalem, a jak spokojnie jest tutaj. Niemal tak cicho i nabożnie jak wieczór sabatu w Nazarecie. Kochane Nazaret! Jakże daleko, daleko! Czasami dudka pasterzy zadźwięczy na zielonych pagórkach. Tam stoi młodzieniec, oparty o drzewo oliwne, wije z gałęzi wieńce i śpiewa:

— Moja przyjaciółko! Patrz, jaka jesteś piękna! Oczy twoje są gołębicami w bujnych splotach włosów, twoje usta są purpurowymi pączkami róży, a dwoje twoich piersi oddycha jak młode gazele, pasące się wśród lilij... Trafiłaś mnie w serce, o jakże słodka jest twoja miłość, oblubienico! — Potem zamilka i cicho szeleszczą listki w podmuchu wieczornego wiatru.

Marja wypatruje Józefa. Nie nadchodzi. A śpiewak znów śpiewa:

— Kto jesteś, promienna jak zorza poranna, piękna jak miesiąc, a czysta jak słońce! Boska córo Ewy...

A Marja wciąż czeka pod palmą i nadsłuchuje — i poczyna ją ogarniać niepokój. Silniej obciąga płaszcz i patrzy, a na niebie błyszczą już gwiazdki. Józef nie nadchodzi. A na pagórku śpiewak:

— Z rodu Izajasza wykwitnie latorośl...

A drugi głos:

— Chwalić, chwalić będą ją wszystkie pokolenia!

Tak śpiewali pasterze pieśń swoich starych królów i proroków na chwałę świątecznego dnia.

Wreszcie nadchodzi powoli Józef z miasta. Spis rozpocznie się jutro o wczesnej godzinie, to się składa dobrze. Ale zajazd? Prosił bogatych krewnych; radowaliby się bardzo, ale, niestety, w domu odbywa się weselna zabawa i znużeni wędrowcy mogliby się łatwo czuć obco w ubogich szatach. Potem poszedł do biedniejszych krewnych, a ci radowaliby się jeszcze bardziej, ale byłaby to bieda, bo izba ich jest mała, a łoże takie wąskie. Gospody publiczne są już przepełnione obcymi. Ludzi z Galilei nie cenią tu zbyt wysoko. A teraz nie wie, co będzie.

Marja opiera głowę o rękę i milczy.

— Tobie drżą ręce i nogi, Marjo!

Potrząsa przecząco głową, że to nic.

— Pójdź, niewiasto, wejdziemy razem. Nie jesteśmy przecież włóczęgami, aby nam odmówili noclegu.

A więc poszli oboje do miasta. Ale gospodarz zajazdu rozgniewał się.

— Powiedziałem wam już, mój ojcze, że dla takich ludzi niema w moim domu miejsca. Ofiarujcie gdzieindziej waszą piękną córeczkę.

— To nie jest moja córka, panie, to jest moja ślubna żona, powierzona mi przez Boga, której będę bronił!

Przy tych słowach podniósł swoją ciesielską

rękę. Jakiś przekupień owoców spostrzegł to, wydął swoją brutalną szyję i spytał o ich przepustkę.

— Jeśli mi pokażecie przepustkę i trzy srebrniki, to przyjmę was. Wszyscyśmy przechodnie na tej ziemi.

— Nie posiadamy żadnego pisma, przybyliśmy z Nazaretu w Galilei do spisu, bo jestem z rodu Dawida.

— Z rodu Dawida! Ho, ho, toście bardzo zmarnieli! Ze śmiechem odchodzi przekupień owoców. To prawda, myśli Józef, marny człowiek nie powinien się szczycić pochodzeniem od wielkich przodków. Na przyszłość nie wspomni o Dawidzie.

Marja radzi, aby wyjść znów za miasto. Może zlitują się nad nimi biedni i obcoplemieńcy. I gdy tak — pod ramię — schodzą chwiejnym krokiem po skalistej drodze w dolinę, niewiasta osuwa się na wilgotną murawę.

Józef spogląda na nią badawczo.

— Marjo! Cóż ci to jest?

Nadchodzi pasterz, spostrzega wędrowców i słyszy prośbę o przytułek:

— Moja kobieta jest chora. Ludzie nie chcą nas przyjąć.

— Przeto musicie iść do zwierząt, — rzecze wesoło pasterz. — Chodźcie. Chętnie podzielę się z wami moją chatą. Ziemia jest mojem łożem, a niebo dachem. A rozpadlina w skale mojem legowiskiem.

I zaprowadził ich do jakiejś groty, znajdującej się w górze między omszałemi skałami, z przodu

okrytej dachem z plecionego sitowia. Wewnątrz jest wół, żujący siano, które wyjadł ze żłoba. Obok stoi brunatny osioł i liże wielką głowę woła. W żłobie leży jeszcze trochę suchej trawy, a w kącie wiązka powiędłych liści.

— Iże niczego lepszego nie macie, legnijcie tutaj i wypocznijcie jak możecie. Pójdę spać do mojego sąsiada.

Tak powiedział pasterz i odszedł. Zapadła już ciemność.

Młoda niewiasta ułożyła się na liściach i z piersi jej dobyło się westchnienie. Józef patrzy na nią — i patrzy. Wtedy twarz jego muska skrzydło anioła. „Józefie! Nie martw się. Rozwesel swoje serce i módl się. Jest to odwieczna tajemnica, a ty jesteś wybrany na żywiciela tego, który przychodzi z nieba..“

Ogląda się, nie wie, skąd płyną owe myśli, owe głosy, ten przedziwny śpiew.

— Jesteś zmęczony, Józefie, idź spać, — mówi Marja.

I gdy tak spokojnie zasypia, Marja modli się w swojej duszy jak niegdyś: „Jestem pokorna służebnica pańska. Niech się dzieje Jego wola.“

* * *

O północy spostrzegają czuwający pasterze jasną gwiazdę. Dziwna gwiazda, nie widzieli jeszcze takiej w owym czasie. Błyszczy tak silnie, że cienie pasterzy kładą się daleko na łące. A niektórzy pono widzieli, że inne gwiazdy na niebie poczęły krążyć ku owej i otaczać ją.

I wtedy to z nowej gwiazdy pryskają białe iskierki i lecą na ziemię, prosto na ziemię i zawisają w powietrzu, a są to dzieci z białemi skrzydełkami i złocistemi włosami. I śpiewają lube pieśni Bogu na chwałę a ludziom na pokój.

O tej samej godzinie jakiś chłopak przynosi wiadomość, że przed grotą skalną pasterza Izmaela stoi wielki, biały młodzieniec, a w grocie na liściach leży młoda kobieta i trzyma na piersiach dzieciątko. A z wysokości dochodzi śpiew.

Wieść rozszerza się szybko w górach dokoła Betlejem. Czuwający pasterze budzą śpiących. Wszystkich ogarnia lube drżenie i wielki podziw. Obca, biedna niewiasta i nagie dziecko. Pocóż tu śpiewać! Tu potrzeba pieluszek, okrycia i mleka. Jeden wyciąga skórę zabitej owcy; drugi suszone figi i winogrona, a w skórzanym woreczku czerwone wino. Inni pasterze przynoszą mleko i chleb i tłuste koźlątko, każdy coś, jak gdyby szli z daniną do urzędnika. Jakiś stary owczarz przychodzi z połataną kobzą, a gdy niektórzy śmieją się, rzecze Izmael:

— Czy poczciwy, biedny Izaak ma przynieść złotą harfę Dawida? Daje, co posiada, a to jest więcej niż złota harfa.

Gdy tam przychodzą, nie spostrzegają już gwiazdy i anioła, ale znajdują grotę, ojca, matkę i dziecko. Leży ono w żłobie na sianie, a przed niem stoją zwierzęta i gapią się na nie swojemi wielkiemi, czarnemi jak smoła oczami. Współczucie pasterzy dla tych biednych ludzi jest tak wielkie, iż żaden nie myśli, jakiego dzieła pragnie ono dokonać, aby je chwalili ludzie i błogosławił Bóg.

Żaden nie patrzy z pod oka na sąsiada, czy daje mniej czy więcej — czują jedynie litość.

I z miasta przybyli ludzie, a naprzeciw nich, u wejścia groty, staje potężny pasterz, nastawia swój kij jak włócznię i powiada:

— Betlejemczycy, nie puszczę was, ono śpi.

Z boku stoi starzec i tak powiada w natchnieniu:

— Miasto go odtrąciło. Mówiłem zawsze, że tam niema zbawienia. Zbawienie jest wśród ubogich, pod gołem niebem. Tutaj dzieją się cuda — ludzie stają się miłosierni.

Dalej, w dole, w jamie skalnej przykucnął potępieniec i grzebie suchymi palcami, jak gdyby się chciał wydostać z otchłani. Szklistemi, płomiennemi oczami wpatruje się w grotę, gdzie leży dziecko. Z piersi jego płynie jak krwawy strumień modlitwa o przebaczenie. Ci, którzy nań patrzą, odwracają się od niego ze wstrętem. Uważali go za bratobójcę Kaina.

* * *

Przez pustkę pustynną Arabji jedzie na ociężałym wielbłądzie cudzoziemiec. Wszyscy murzyni są czarni i ten jest czarny w blasku gwiazdy. Niezwykła gwiazda wywabiła go z nad brzegów Indusu. Zapytywał wszystkich wyroczni wschodu, jednak żadna nie mogła mu wytłumaczyć tej gwiazdy. Ale Baltazar nie pomija tak beztroskliwie nieznanych, błędnych gwiazd. Żadna nie ukryje się w łonie Boga, przed ziemskim uczonym, nawet sam Bóg nie ustrzeże się oczu mędrców świata. Dla wielu z nich świat jest

samiutki, człowiek musi sam wykwitać ku światłu, jak kwiat lotosu z rzecznego namułu. Tak myśli też Baltazar i czuje, że życie jego jest chybione. Takiej mądrości hołduje wschodnia wiara. Jeśli człowiek zmarnowany ma rzetelne zamiary i umartwia swoje ciało, to w następnem życiu może mu się wieść lepiej. Musi bowiem tak często rodzić się i umartwiać ciało, aż skruszeje, uwolni się od grzechów i stanie się bezwolne. Wtedy dusza uwalnia się i nie rodzi się więcej, bo ostatecznym celem jest — nicość. Tylko zło żyje tak długo, jak długo jest złe. Od wieków marnieją ludy Indji od tej nauki. Ale mędrcowi nie podoba się ona. Baltazar myśli: Jeśli się wycierpiało przez kilka żywotów, to raz wreszcie musiałoby przyjść coś porządnego. Jakto, czy zło jest tak silne, że może trwać, a dobro tak złe, że musi zniknąć? Baltazar szuka lepszego rozwiązania. Szuka w wszechświecie haka, aby na nim zawiesić nową, owocniejszą mądrość życia. Gdy więc zobaczył na niebie nową gwiazdę, nie spuszcza jej już z oka. Wprawdzie i ona wędruje drogą ze wschodu na zachód, jak wszystko. Cóż tam może być na zachodzie, że wszystko tam wędruje na ziemi i na niebie? Czy osobliwa ta gwiazda nie płynie przeciw prądowi? Zaprawdę, nowy ten wędrowiec niebieski idzie niezwykłą drogą, zwraca się bardziej ku barbarzyńskiej północy. I tak opuścił mędrzec wschodu pachnące ogrody Indji i kroczy za gwiazdą. W drodze przyłączają się do niego licznym orszakiem jeszcze dwaj książęta wschodu, którzy również nie wiedzą, czego szukają.

Wtedy to pewnej nocy spostrzegają na niebie dziwny obraz gwiezdny. Konstelację, nieznaną dotąd żadnemu z trzech mędrców.

* * *

Długo przyglądają się tym gwiazdom, a Baltazar twierdzi, że wyglądają jak znak pisma. Wysilają całą swoją mądrość i nie mogą tego wytłumaczyć, chociaż tak jasno świeci. Czy bogowie wypisują tu jakąś wieść? Któż to zrozumie? Straszliwe zjawisko, nie ujawnione żadną wiedzą ani wiarą! Następnej nocy nie widzieli konstelacji, ale gwiazda przewodnia idzie przed nimi i nie blednie nawet w słońcu.

Pewnego dnia, gdy poczyna świtać, jadą ulicą Jerycha, w kraju żydowskim. Na ulicy leży mężczyzna twarzą do ziemi. Jego zapytuje murzyn, dlaczego nurza się tak w pyle.

— Leżę w pyle, — odpowiada mężczyzna judejski — bo muszę się ćwiczyć w pokorze, aby nie wzbić się w dumę. Staliśmy się w ostatnich dniach niezmiernie wielcy. Urodził się nam Król żydowski, dawno oczekiwany Mesjasz.

Wtedy przypomina sobie mędrzec z Indji, że Żydzi od pradawnych czasów oczekują swego Mesjasza, królewskiego wyzwoliciela z niewoli.

— Myślałem, — rzekł, — że macie króla Heroda.

—Ten nie jest prawowity, — odpowiada człowiek leżący w pyle, — Herod jest poganinem i korzy się przed Rzymianami.

Teraz ciągną od Libanonu chmury, przysłaniają gwiazdę, a podróżujący nie wiedzą, dokąd mają jechać. W tej bezradności Baltazar zwraca się w stronę bliskiego, królewskiego miasta Jeruzalem, tam się dowie dokładniej. W pałacu królewskim pyta o nowonarodzonego króla. Pytanie to jest dla króla Heroda nowiną. Chce zobaczyć cudzoziemca, który o to pyta.

— Panie! — rzecze do niego murzyn. — Chodzą o tem wszędzie słuchy. Naród twój mówi o pojawieniu się Mesjasza.

— Każę go ściąć! — wybucha Herod, ale dodaje łagodnie: — Każę go ściąć, jeśli nie padnie na kolana przed mesjaszem. I ja mu się pokłonię. Gdybym tylko wiedział, gdzie go znaleźć.

— Poszukam jeszcze trochę, — powiada usłużny Baltazar, — a jeśli go znajdę, zawiadomię cię.

— Uczyń to, uczyń to napewne, szlachetny cudzoziemcze. Odpoczniesz w moim pałacu, jak długo zechcesz.

Wtedy Baltazar pojechał dalej z swoimi towarzyszami podróży, a gdy już opuścił miasto, pojawia się przed nim znów gwiazda. Unosi się na wysokościach, a po godzinach podróży, zniża się ku ziemi i zatrzymuje się nad jakąś grotą skalną. I cudzoziemcy ze wschodu, którzy wyjechali aby szukać prawdy, znajdują tu — dziecko. Dziecko, tak delikatne i piękne, jak pączek róży w blasku księżyca. Małe dzieciątko biednych ludzi, a dokoła stoją inni biedacy i oddają ostatnie swoje mienie, pełni radości.

Czarny Baltazar rozgląda się dokoła. Czy widział kiedy tak błyszczące oczy, jak w tej

pasterskiej grocie? Wydaje mu się, jakby widział tu nowe światło i nowe życie — ale nie może tego zrozumieć. A w powietrzu rozlega się śpiew — unoszący się niedosłyszalnie: „Będziecie szczęśliwi! Będziecie wieczni!"

Cudzoziemcy nadsłuchują. Cóż to jest? Będziecie szczęśliwi! Będziecie wieczni!? Wiemy tylko o szczęśliwości w nicości. U tego nowonarodzonego dziecka nasuwa się im po raz pierwszy myśl o wiecznem odrodzaniu się.

Złote klejnoty kładą biednej matce. I odczuwają naraz taką lubość i swobodę w sercu, i taką przedziwną radość. Dotąd bowiem doznawali ci książęta i mędrcy przyjemności tylko w przyjmowaniu, dzisiaj doznają ją w dawaniu. Dotąd widział Baltazar cel tylko w samym sobie, zaskorupił się w próżnej wyniosłości, gardził całym światem i kochał tylko siebie. I oto nagle owa radość z radości biedaków. I to współczucie nad ich cierpieniem! Przechodzi go dreszcz pod jedwabnym płaszczem, a gdy go zrzuca, aby okryć nim dziecko, ogarnia go ciepło.

Wszyscy oni składają dary, szlachetne złoto, kosztowną mirrę i leczący balsam. Ale wstydzą się darów przy królewskich podarunkach pasterzy, którzy przynieśli wprawdzie mało, ale wszystko co posiadali.

W radości swojej chce Baltazar spieszyć do Jeruzalem, aby powiedzieć Herodowi: To więcej niż syn króla! Znalazłem małe dziecko, a kto na nie spojrzy, ten jest szczęśliwy sam nie wiedząc jak. Lud klęczy przed niem, modli się i składa ofiary. Wtedy słyszy Baltazar głos: „Znasz tego,

do którego chcesz teraz iść? Gdyby mógł, zadusiłby cesarza Tyberjusza, nie mówiąc o bezsilnem dziecku, które lud ukochał jak syna królewskiego.

— O dziecię! — mówi Baltazar — na nieszczęście jesteś ulubieńcem ludu. Dlatego nienawidzą cię wielcy.

— Cudzoziemcze, nie idź do Jeruzalem. Nie mów nic o tem dziecku.

Cudzoziemcy, którzy nie czują się bezpieczni w kraju, który ma cesarza i króla — a żaden nie jest prawowity! — wsiadają na swoje wielbłądy. Jeszcze jedno spojrzenie na dziecko w żłobie, potem jadą szybko po kamieniach pustyni. Droga ich prowadzi na wschód, marzą o nowem objawieniu, którem odtąd żyć pragną szczęśliwi i błogosławieni na wieki.

Tymczasem król Herod nie zaznaje spokoju, ani w dzień ani w nocy. Nie dlatego, jakoby ujrzał swoją małżonkę i swoich braci, których pomordował, podejrzewając, że mogą go pozbawić tronu. Niepokoi go co innego! Nowonarodzony Król! Wprawdzie dwór ukrywa przed nim tę nowinę, ale dolatuje ona do niego ze ścian jego pałacu, z krzaków balsamowych ogrodu, z poduszek łoża. Któż to wypowiedział po raz pierwszy to słowo? Skąd ono pochodzi? Młody król i mesjasz! Gdzie? Pospieszyłby jak najprędzej, pokłonił się mu i uwiązał mu stryczek z jedwabnego sznura. I pewnego dnia wychodzi w Betlejem rozkaz, aby każda matka, posiadająca małe dzieciątko, zaniosła je do królewskiego pałacu w Jeruzalem, bo król chce widzieć potomstwo swoich poddanych

i utwierdzić nadzieję uwolnienia kraju żydowskiego, chce obdarzyć chłopców, tak, a nawet ku wielkiej radości ludu uczynić jeszcze coś bardziej nieoczekiwanego. Wywołuje to wielkie poruszenie wśród niewiast, a najbiedniejsze nawet myślą, że bezdzietny król zechce może uczynić najpiękniejszego chłopca swoim synem. A że każda matka uważa swoje dziecko za najpiękniejsze i najlepsze, więc bierze chłopaczka, którego ma i niesie go do Jeruzalem, do pałacu króla Heroda. A tych, które przyjść nie chcą, wyszukują żołdacy.

Nieszczęsny dzień, Herodzie, który imię twoje przekaże wszystkim wiekom! Szalejący król, który chce zabić przeciwnika i w zaślepieniu morduje przyszłych obrońców swego państwa! Król, który niszczy męski ród, mający kiedyś obronić wspaniałe miasto przed zburzeniem!

— Sława naszemu królowi, niech żyje! — wołają matki na dziedzińcu pałacu, gdy z wszystkich bram wypadają siepacze, wyrywają dzieci z rąk matek i zabijają je. Nikt tego nie opisze i napróżno będzie próbował, jak nieszczęśliwe matki walczyły z okrutnikami, aż same padły zemdlone albo martwe u zwłok swoich dzieci. Drżyjcie ludzie przed tym okropnym opisem rzeci dzieci, ale nie rozpaczajcie. Ten, dla którego z dopustu boskiego wylali swą krew, wynagrodzi to w nieporównanej mierze.

Ten, na którego czychał Heród, nie był między dziećmi. Bo Marja nie pragnęła pokazywać swego dziecka królowi, a pasterze nie zdradzili jej.

Ukrywali się wraz z swoim największym skarbem. Ukrywali się przez długi czas. Przez

obrzezanie wprowadzili dzieciątko do grona ludu, który Bóg ojców nazwał swoim ludem. Ród tego dziecka sięga aż do Abrahama, któremu dano obietnicę. Jeśli jednak iść będę w górę wedle pisma, od rodu Abrahama, gałęź po gałęzi, latorośl po latorośli, to dojdziemy wkońcu do Józefa, męża Marji. I tu oto nowina odsuwa nas twardą dłonią do ziemskich istot — ku duchowi, z którego Marja Go urodziła, Jego, którego z świętą nabożnością nazywamy: **Jezus.**

Stało się więc pewnej nocy, że Józef zrywa się ze snu i przebudza się. „Wstań, Józefie, obudź ją i uciekaj!“ Jakiś głoś zawołał jasno i wyraźnie — dwukrotnie — trzykrotnie.

— Uciekać? Przed kim? Strzegą nas przecież pasterze, — ośmiela się powiedzieć Józef.

„Król szuka dziecka. Zbierzcie się szybko i uciekajcie!“

Józef spogląda na żonę i dziecko. Promienne twarze. I istoty te miałyby wroga na ziemi? Uciekać! Dokąd, jeśli król wszędzie może dosięgnąć? Na cały kraj żydowski rozciąga się jego władza; do ukochanego Nazaretu nie możemy, tam znajdzie nas najprędzej. A może do kraju wschodzącego słońca? Tam są dzicy ludzie pustyni. A może tam, gdzie słońce zachodzi? Tam są niezmierzone wody, a my nie mamy statku, aby popłynąć w owe kraje, gdzie żyją poganie, o łagodniejszem sercu niż twardzi książęta Izraela.

„Wstań!“ woła głos wyraźnie i nagląco. „Poprowadź ją do kraju Faraonów.“

— Do Egiptu, gdzie niegdyś żyli ojcowie jako niewolnicy?

„Nie zwlekaj, Józefie! Idź do narodu, którego wiara jest ułudą, ale wola prawą. Tam, gdzie fale Nilu użyźniają i błogosławią ziemię, znajdziesz spokój i zarobek, bezpieczeństwo dla żony i dziecka. Gdy przyjdzie czas, Bóg zaprowadzi was z powrotem do ojczyzny, jako niegdyś Mojżesza i Jozuę."

Józef nie wie, czyj to był głos. Nie bada też i nie wątpi, że dusza jego spoczywa bezpiecznie w rękach Pana. Kładzie dłoń na ramieniu ukochanej i mówi łagodnie:

— Marjo, obudź się i nie lękaj się. Zbierz wszystko, co mamy, w sakwy, załaduję je na zwierzę, które podarował nam Izmael. A potem zabierz dziecko. Ruszamy w drogę.

Marja odgarnia z twarzy długie, jedwabiste włosy. Dziwne wydaje się jej nagłe postanowienie małżonka, wyjazd wśród samej nocy, ale nie mówi nic. Zbiera skromne mienie, bierze śpiące dzieciąteczko na ramię i usadawia się na zwierzęciu, strzyżącem uszy, co to będzie za podróż, która się tak strasznie wcześnie rozpoczyna. Poprzedni właściciel nie pieścił go, więc stoi na krótkich nogach twardo i raźno. Józef rzuca jeszcze jedno dziękczynne spojrzenie na grotę w skale, której kamienie miększe są od serc betlejemczyków. Potem bierze kij i rzemienie i prowadząc idzie obok zwierzęcia, które dźwiga cały jego świat i jego niebo i — niebo całego świata.

Po długiej drodze chcą odpocząć pod palmami, niedaleko Hebronu. Ale zwierzę nie chce stanąć, więc puszczają je wolno. Drogą jadą dwaj żołdacy Heroda; widzą na piasku szkaradną, brunatną niewiastę z dzieckiem.

— Czy to chłopak? — wołają do niej.

— To dziewczyna, — odpowiada niewiasta. — Ale właśnie przejechali cudzoziemcy i zdaje mi się, że mieli z sobą chłopaka. Możecie ich dogonić.

Jeźdźcy pędzą dalej. Uchodźcy z Nazaretu znajdują się tymczasem na złych drogach, znużeni i zatroskani. Czyż i niegdyś nie zawleczono do Egiptu ulubionego syna Jakóba, jak teraz to dziecko ? Co to będzie? Na pustym stepie spostrzegają za sobą prześladowców. Niema ani drzewa, ani krzaka, aby się ukryć. Chronią się do rozpadliny w skale, ale Józef powiada:

— Cóż to nam pomoże? Musieli nas już zobaczyć.

Ale gdy się znaleźli w ciemnym otworze, z pokrytej mchem ściany, spuścił się krzyżak, spiesznie zwołał całe swoje potomstwo i najdalszych krewnych, aby raźno wyprzędli sieć nad wejściem do rozpadliny, sieć, silniejszą niż żelazne kraty świątyni Salomona u furty prowadzącej do miejsca Przenajświętszych. Zaledwie wyprzędli zasłonę, gdy zjawili się siepacze. Wtedy powiada jeden z nich:

— Ukryli się pewnie w tej jamie.

— Ach, nie! — woła drugi, — od czasu pasterza Dawida nie wszedł tutaj żaden człowiek. Obacz tę gęstą sieć!

— Prawda! — śmieją się i odjeżdżają szybko.

Ale do brunatnej kobiety, która zaparła się własnego chłopaczka i zdradziła obcych wędrow-

ców, zbliża się teraz jakiś starzec, który wyszedł z głębi jamy. Sam zapewne nie wie, skąd przybył. Lubi odludną pustynię, ojczyznę wielkich myśli. Nie lęka się rabusiów, gdyż jest silniejszy od nich — bez żadnego mienia. Czasami chce oglądnąć ludzkie twarze, aby z nich wyczytać, czy dusze ludzkie doskonalą się, czy też upadają. Starzec ten zbliża się do niewiasty, która zaparła się swego chłopaczka i zdradziła uchodźców. I powiada:

— Nieszczęsna kobieto! Dwa razy darowałaś owemu synowi życie: raz przez rozkosz, raz przez kłamstwo. Przeto życie jego będzie kłamstwem. Będzie oddychał, nie żyjąc, nie będzie mógł umrzeć!

— Hosanna! — woła ona.

— Ujrzy upadek Jeruzalemu!

— Biada!

— Ujrzy pożar Rzymu!

— Hosanna! — raduje się kobieta.

— Ujrzy koniec starego świata. Ujrzy zwycięstwo północnych barbarzyńców. Wedrować będzie bez spoczynku, będzie wiódł twarde życie i wszędzie znajdzie pogardę, będzie przeżywał cierpienia i bezgraniczną rozpacz nędzy świata i nie będzie mógł umrzeć. Będzie zazdrościł ludziom obawy śmierci i prawa do śmierci. Dożyje tej chwili, gdy pić będą z najwyższego rozkwitu słodką truciznę i z tego zginą, zadając sobie śmierć z przesytu jak dwunastoletni chłopcy. On jest dzieckiem kłamstwa, a życie jego nie będzie życiem, a śmierć nie będzie śmiercią. Błogosławić będzie dzieci, które zginęły z morderczej dłoni Heroda, a przeklinać pamięć kobiety, która go

urodziła powtórnie przez kłamstwo. I nigdy nie spocznie w nicości!

* * *

Pod ołowiano szarem niebem prochu rozciąga się pustynia. Żółta, falista płaszczyzna piasku jest jak stężałe morze, rozciągające się bez końca i graniczące dokoła z ciemną kopułą nieba. W niektórych miejscach tego morza piasku sterczą szare, rozłupane stożki skaliste i kanciaste złomy skalne, albo płyty i bryły, niektóre wyglądające jak stół. Dwie takie płyty leżą prawie tuż koło siebie, jedna pokryta jest częściowo lotnym piaskiem, druga wystaje wyżej z ziemi. Na każdej z tych płyt leży rozciągnięty człowiek. Jeden, o żylastem ciele, leży na brzuchu i podpiera pięściami policzki obrośnięte czarnymi włosami, tak iż napół wzniesioną twarzą wpatrywać się może w powierzchnię pustyni. Drugi, o drobnej postaci, leży na grzbiecie, używa ramienia za poduszkę i wzrok ma utkwiony w ciemne niebo. Obaj mają na sobie strój Beduinów i są zaopatrzeni w broń, tkwiącą w fałdach sukni, albo wiszącą na ramieniu. Na głowie przewiesił każdy z nich chustkę. Kolor twarzy jest brunatny jak kora pinji, oczy wielkie i błyszczące, usta mięsiste i różowe. Nos jednego jest spłaszczony i niezgrabny, drugiego długi i ostro zagięty.

— Dyżmasie — rzecze ów z płaskim nosem — co widzisz na niebie?

— Barabaszu— mówi drugi — co widzisz na pustyni.

— Stałeś się od pewnego czasu prawdziwym świętym z kamienia — powiada Barabasz. — Czekasz na mannę z nieba? Czy wiesz, że mi się kiszki wykręcają? Chcę iść do drogi Karawan.

— To idź. Ja idę do oazy Szeby, — rzecze Dyżmas.

— Dyżmasie, nienawidzę cię — mruczy drugi.

Dyżmas milczy i patrzy nieprzerwanie na niebo, które nigdy jeszcze nie było tak bezsłoneczne jak dzisiaj.

— Od czasu, gdy nie pomogłeś mi, kiedy chciałem z moimi parobkami zatrzymać karawan ludzi wschodu, nienawidzę cię. Wieźli ze sobą wiele wonnych olejków, kosztownych korzeni i złota. Za jednym zamachem zdobylibyśmy majątek na całe lata. A ty...

— Wędrowcy, szukający mesjasza! Takich nie napadam.

— Zapewne i ty go szukasz, nabożny rozbójniku?

— Naturalnie, szukam go także.

— Ha, ha, ha! — śmieje się płaskonosy i wpija swoją cienką brodę w dłoń. — Mesjasza! Bajeczka dla zdziecinniałych starców. Każdy niedołęga marzy i — wierzy. Czyż nie widzisz, iż żaden nie ma czasu czekać na Mesjasza, że wszyscy muszą walczyć i ujadać się o kawałek chleba!

— Myślałem tak samo przez długi czas, — odpowiada ze smutkiem Dyżmas. — Opuściłem moje trzody, aby pójść za tobą, zdobyłem w pustyni jedwab i klejnoty, a mimo dnie moje zeszły bezowocnie. Nie można ich zatrzymać

nawet na godzinę żadnymi skarbami świata, w dobrobycie upływają jeszcze szybciej. Nie należy zdobywać życia, ale zatrzymywać je, gdyż żyć jest rozkoszą. O, napróżno — dnie upływają. Postanowiłem więc budować nie na zmiennej i przelotnej godzinie, ale na czasie, który trwa wiecznie. Czas ten może przynieść tylko wysłannik Boga.

Barabasz udaje, że przyciska twarz do kamienia i mówi z lubieżnem zadowoleniem:

— Mamy takie życie, jakie mamy, a innego nie będzie.

— Gdyby tak było jak mówisz — powiada Dyżmas — wówczas musielibyśmy to jedno życie uczynić celem wszystkiego.

— Jeśli tak jest — powiada Barabasz — iż nie będzie innego życia, to musimy zażywać tego jednego w całej pełni. To jest prawo natury i sprzeciwiać się mu byłoby szaleństwem. Nie, chcę używać. Używanie jest obowiązkiem, a Bogiem jest ciało. Czego ci nie da ciało, nie będziesz posiadał i nie otrzymasz nigdy. Karm swoje ciało, a zdobędziesz wszystko. Zapamiętaj sobie, że jedyną służbą bożą jest przykazanie: „Karm swoje ciało!"

— Tak myślą źli ludzie — rzecze Dyżmas.

— Niema złych ludzi — woła Barabasz. — I niema też dobrych. Bracie, popatrz tylko kiedyś na jagnię, które nie krzywdzi nikogo i pozwoli się raczej rozedrzeć przez lwa, niż rzuci się na niego. Czy jest ono przez to dobre? Nie, tylko słabe. A czy lew jest zły dlatego, że zabija i pożera jagnię? Nie, tylko silne i głodne. I dlatego ma

słuszność, że pożera słabszego. Jedyną cnotą jest siła, a jedynem dobrem dziełem tępienie słabych.

Gdy ów wypowiedział te słowa, drugi zwraca do niego swoją twarz i powiada:

— Cóż to za śmiała mowa? Nie słyszałem takiej jeszcze nigdy. W czyjem to sercu urodziła się.

— Nie w sercu — powiada Barabasz. — Serce jest głupie. Dyżmasie! Gdy muszę mieszkać w jaskiniach pustyni i żyć bezczynnie, wówczas badam. Rozbijam kamienie i badam. Zrywam rośliny oazy i badam. Zwierzęta i zabitych ludzi ćwiartuję i badam. I widzę, że inaczej jest, niż to mówią stare pisma. Jest tylko jeden mesjasz: prawda. Człowiek jest zwierzęciem, jeden w drugiego jest nędzną istotą — oto jest prawda. Słyszysz?

Ciało Dyżmasa przenika dreszcz lęku. Jaki wstrętny jest ten człowiek! A jednak czuje się z nim związany siłą jego woli i przyzwyczajeniem tylu lat. Często chciał uciec od niego i wracał znowu. Teraz prostuje się, wyciąga do nieba ramię i woła:

— O panie na świętych wysokościach, ratuj mnie!

— Wzywaj tylko gwiazdy — powiada z ironicznym uśmiechem Barabasz. — Zajdziesz daleko. Nie wiedzą one nic o tobie ani o twoim Bogu. Są to twory zwyczajnego prochu. One i wszystkie istoty na nich żyją w tej samej ohydnej walce co nasza ziemia i wszystko na niej. Olbrzymi śmietnik z robactwem, poza tem nic!

Dyżmas siedzi z założonemi na czole rękami, blady jak trup.

— Barabaszu, bracie mój — powiada wkońcu — przez ciebie przemawia zły anioł.

— Dlaczego nie wielbisz go, Dyżmasie, dlaczego się nie radujesz? Moje objawienie wyzwoliło cię. Ponieważ napadałeś, zabijałeś i rabowałeś bezbronnych pielgrzymów — czekało cię piekło. Moje objawienie burzy piekło. Rozumiesz?

Na to drugi:

— Słyszałem na pustyni słowa proroka: przekleństwo rzucone przez Boga można okupić pokutą. Twego, Barabaszu, nigdy! Żaden wszechmogący Bóg! Wszystko to jest pustym, wiecznie wirującym śmietnikiem i niema żadnego wyjścia. Straszne, straszne!

— Wiedz, Dyżmasie, że twoje narzekanie nie bawi mnie — powiada drugi, podpierając się kolanami i łokciami jak zwierzę czworonożne. — Mam na głowie coś ważniejszego. Jestem głodny.

Dyżmas zrywa się z swego kamienia i zamierza uciekać.

— Jeśli jest głodny, zabije mnie i pożre.

Barabasz przyczaił się i orlim swoim wzrokiem wpatruje się w pustynię. Tam między bryłami skał pojawiła się jakaś czerwona chorągiewka, poruszając się i zbliżając. Jest to czerwona szata jakiejś kobiety siedzącej na wielbłądzie i trzymającej na ręce dziecko. Obok niej idzie mężczyzna wsparty na kiju, prowadząc zwierzę.

— Dyżmasie, jest zdobycz — syczy Barabasz,

ściskając rękojeść swojej broni. — Chodź, schowamy się za kamieniem, aż się zbliżą.

— Chcesz podstępnie napaść tych bezbronnych ludzi? Ty lwie pustynny!

— Pomożesz mi! — powiada chłodno Barabasz.

— Weźmiemy to, co nam potrzeba na dzisiaj, nie więcej. Tylko tak ci pomogę, wiesz o tem.

Mała grupka zbliżyła się. Mężczyzna i zwierzę brną w głębokiem piasku, który miejscami wolny jest od chropawych głazów, miejscami leży w grubych i wysokich warstwach. Przewodnik popędza zwierzę, gdyż stracił kierunek wśród tego ciemnego dnia, zataja to jednak, aby nie przestraszać niewiasty. Oczy jego szukają drogi. Muszą dojść jeszcze dzisiaj aż do oazy Deszemy. Widzi teraz dwóch ludzi stojących na głazach skalnych, sterczących wysoko pod niebo.

— Chwała Najwyższemu! — mówi Józef z Nazaretu — ludzie ci wskażą mi drogę.

Zanim zdołał się zwrócić, schodzą szybko. Jeden chwyta zwierzę za uzdę, drugi bierze Józefa za ramię i powiada:

— Wszystko co macie przy sobie, musicie nam oddać.

Blada niewiasta siedząca na zwierzęciu zwraca błagalny zwrok ku niebu. Dzieciątko na jej łonie patrzy na nich jasnemi oczyma i nie boi się.

— Jeśli wieziecie z sobą chleb, dajcie nam — powiada Dyżmas, który trzyma zwierzę.

— Głupcze! — woła płaskonosy Barabasz. — Wszystko co tu jest, należy do nas. Zależy to od nas, czy zechcemy coś dać. Daruję wam rzecz

najcenniejszą — życie. Popatrzże, taka piękna kobieta bez życia, to byłoby okropne...

Dyżmas sięga po wór.

— Poco, bracie! — powiada Barabasz. — Zaprowadzimy ich do naszego zamku. Może szaleć Samum. Spędzą u nas noc.

Barabasz wyrywa Dyżmasowi z rąk uzdę i prowadzi zwierzę z matką i dzieckiem między kamieniami, w dół, do jaskini. Józef widzi u obcych broń i idzie zasmucony.

Gdy zapadają cienie nocy i pustynia staje się płowa a niebo ciemne, gdy głazy kamienne i stożki skalne stoją jak ponure upiory, pielgrzymi przebywają w głębiach jaskini. Przed nimi leży wielbłąd, kładzie na piasku swoją wielką głowę i śpi. Obok siedzą przykucnięci zbóje i dzielą się łupem. Dyżmas ukrywa w płaszczu flaszeczkę, przeznaczoną do pokrzepienia się w złych godzinach.

— I gośćmi podzielimy się po bratersku — mówi Barabasz. — Ty dostaniesz starego i dziecko.

— To jest ojciec, matka i syn — powiada Dyżmas — należą do siebie, musimy ich oszczędzać.

— Bracie — mówi Barabasz, udobruchany łatwą zdobyczą —daj kostki. Zagramy — o żywy łup.

Rzuca kostki, padają na płaszcz.

— Co to jest? Kostki nie mają oczu! Dyżmasie, nie rób żartów! Pomieniałeś kostki.

A gdy bierze je w ręce, na kamieniach pojawiają się znów czarne kropki. Rzucają po raz

drugi i trzeci. Jak poprzednio kostki rzucone na płaszcz nie mają oczu.

— Co to znaczy, Dyżmasie, kostki są ślepe!

— Mnie się zdaje, że ty jesteś ślepy, Barabaszu! — śmieje się Dyżmas. — Napij się tego trunku. A potem połóż się spać.

Wkrótce potem siłacz osuwa się na piasek i chrapie.

Zobaczywszy to, Dyżmas wkrada się do jaskini i budzi cudzoziemców, aby uprowadzić ich przed rozpustnikiem. Siłą nie potrafiłby ich Barabaszowi odebrać. Z Józefem miał wiele kłopotu, ale wkońcu wyszli pod gwiaździste niebo. Marja z dzieciątkiem na wielbłądzie, Józef prowadzi. Dyżmas idzie przodem, aby mu wskazywać drogę. Uciążliwie idą wśród nocy, nikt nie mówi ani słowa. Dyżmas zatopiony jest w myślach. Ubiegłe dawno dni, gdy sam spoczywał w ramionach matki jak to dziecko, a ojciec prowadził ich przez arabską pustynię! Niejedno święte słowo proroka słyszał w swojem zbójeckiem życiu, które nigdy nie ucichło.

Gdy tak godzinami brnęli w piasku i pięli się po kamieniach, błysnęła na południu złota wstęga. W niej widnieją ciemne gąszcza i drzewa oazy Deszemy.

Tutaj pozostawia Dyżmas wędrowców, a sam wraca do jaskini. Gdy z życzeniami dobrej podróży zwraca się w dalszą drogę, z jaśniejących oczętek dziecka, trafia go spojrzenie. Promień oczu, który go gwałtownie przeraża. Rozkoszny strach. Nigdy jeszcze nie spojrzał tak na niego nikt, ani dziecko ani człowiek, tak płomiennie, tak

dziękczynnie, tak miłośnie jak to dzieciątko, co zwróciło do niego lubą główkę z lokami, i wyciągnęło rączki, jak gdyby go chciało objąć. Wszystkie jego członki drżą, jak gdyby obok niego padła błyskawica, a było to przecież tylko spojrzenie dziecka. Ucieka stamtąd, zakrywszy twarz rękoma i nie wie dlaczego ucieka, gdyż najchętniej padłby na kolana przed tem cudownem dzieckiem. Odpycha go coś daleko — w grozę pustyni.

* *
*

W oazie odpoczywali nasi uchodźcy trzy dni. Marja siedzi chętnie pod drzewem oliwnem, na murawie w pobliżu źródła i pozwala chłopcu sięgnąć delikatnemi rączkami po kwiat. Ono wyciąga rękę, nie zrywa go jednak, tylko gładzi delikatnymi palcami.

A gdy dzieciątko zasnęło między kwiatami, matka klęka przed niem i patrzy na nie. Patrzy i patrzy i nie może odwrócić twarzy. Potem ujmuje okrągłe, miękkie rączki i ukrywa je w swojej dłoni, ukazując tylko koniuszki palców, które przyciska do ust i całuje, a wśród nienasyconego całowania białych rączek dziecięcych spływają jej cicho na policzki krople łez. I patrzy wielkiemi, ciemnemi oczami w pustą przestrzeń — lękając się prześladowców.

Józef chodzi w pobliżu między drzewami i krzakami, ale tak, aby zawsze mieć na oku matkę i dziecko. Zbiera daktyle na dalszą podróż.

Patrz, a teraz ukazują mi się nowe twarze, bo

wędrują dalej, w martwą, przez samum wymiecioną i przepaloną słońcem pustynię. Marja jest spokojna i otula dzieciątko płaszczem, aby leżało jak perła w muszli. Spoczywa na delikatnej piersi i ssie. Józefa zbiera nieraz strach, bo czuje na policzkach muśnięcie skrzydeł. A potem znów ogarnia go spokój i prowadzi swoją rodzinę obok ryczących gadzin i lwów.

Po długich dniach przybyli do kwitnącej doliny, leżącej między skalistemi górami, gdzie szumi głośny strumyk. Tu spoczywają pod płotem z tarniny i oglądają górę, sterczącą wysoko nad innemi, groźnie dziką. Góra ta jest łysa od dołu do góry i ma głębokie szpary od góry do dołu, tak że składa się jakby z jednolicie i prosto poukładanych bloków i wygląda jak dziesięć palców dwu ułożonych obok siebie rąk olbrzyma. Na polance pasie tubylec swoje kozy. Do niego idzie Józef i zapytuje o nazwę dziwnej góry.

— Wędrujecie przez kraj i nie znacie tej góry? — mówi tubylec. — Jeśli jesteście Żydem, to pochylcie się do ziemi i ucałujcie ją. Jest to góra Synaj.

— To — góra przykazań?

— Patrz, jak rozpościera palce i przysięga: „Jak Bóg na niebie!“

Józef pochyla się ku ziemi i całuje ją. Marja patrzy z nabożnym lękiem na sterczącą górę. Mały Jezus drzemie w cieniu krzewu głogowego. Ta dumna skała i to lube dziecko. Pierwsza, która gniewnie nadała przykazania i jedyny, który je miłośnie wypełnił.

Józef chce się wdać w rozważania, jak to mogło być onego czasu, gdy Mojżesz przyjmował od Jehowy tablice z przykazaniami. Wtedy osuwa się powoli na szczyt góry chmura i zakrywa tajemnicę. Józef wstydzi się swojej zuchwałości i milczy. Nim ruszyli dalej, Józef wyciął z krzaku głogowego pręt, odarł go z liści i gałęzi i zrobił z niego kij pielgrzymi do dalszej wędrówki. Pojawiają się wciąż nowe niebezpieczeństwa. A pewnego dnia dogania ich myśliwy pustynny. Nie zatrważa ich tygrysia skóra, ale to co opowiada. Jeśli są z kraju żydowskiego i mają dziecko, niech zdążają spiesznie do kraju Egipcjan, bo siepacze Heroda gonią tuż za nimi. Muszą iść bez wypoczynku aż do kraju Faraonów. Ale miast stanąć u jego granic, zatrzymują się pewnego dnia nad brzegiem morza. Oniemieli ze zdumienia. Morze rozpościera się przed nimi i siecze swojemi falami czarne, poszarpane złomy skalne, rozciągając gładką i matową powierzchnię jak daleko sięga oko.

Raz w przeszłości stali uchodźcy za morzem, mając wrogów za sobą. Wiara w zrządzenia Boga jest silna. On sam wzywa ojców i stawia ich przy naszym boku, a my jesteśmy złączeni z nimi i silni tą samą wiarą. Józef wznosi ramiona i woła do Boga ojców, aby rozdzielił morze i pozwolił im przejść. Ale morze spoczywa w bezdennej swojej ciszy i nie rozstępuje się. Przez step pędzi sześć jeźdźców i krzyczy gromko z radości na myśl o książęcym żołdzie, zobaczywszy długo poszukiwanych, stojących przed morzem i nie mogących przejść. Spiesznie zbli-

żają się do wybrzeża i już zarzucają sieć na tych dwoje ludzi, unoszących ze sobą małego króla żydowskiego. Naraz widzą, jak uchodźcy schodzą między spienione fale i spływają na powierzchnię morza.

* * *

Biedna rodzina cieśli z Nazaretu stoi na ziemi starego Egiptu. Jak przeszli przez morze? W łodzi rybackiej — ale było to jak w śnie. Józef otwiera teraz oczy, szuka gór Nazaretu i spostrzega ciemny gaj palmowych drzew z włochatymi pniami i długimi jak miecz liśćmi. I widzi bramę z kamiennymi potworami, leżącymi na brzuchu i wznoszącymi w łapach olbrzymią głowę ludzką. A na żółtem tle widzi trójkąty piramid. W powietrzu unoszą się dziwne wonie, wszędzie widać awanturnicze, hałasujące głośno postacie, a każdy dźwięk drażni ucho ostrym i jaskrawym tonem. Józefowi ściska się serce. Ojczyzna stracona. Obcy świat, w którym na pewno zginą.

Marja, zawsze spokojna, ale kochająca gorąco dziecko, patrzy na jego kij i mówi:

— Józefie, jak to pięknie, że na szczęśliwe przybycie zatknąłeś na kiju kwiat.

Wtedy Józef spogląda na swój kij i jest niepomiernie zdziwiony. Z kija, który wyciął na górze Synaj, wykwita żywy, śnieżnobiały kwiat. — Józefie, kwitnie czystość! — Ale jego ogarnia lęk. Podnosi do siebie dziecko i kiedy wpatruje się w słoneczną twarzyczkę, wszystkie

cienie znikają. Jest to inny blask, niż w dawnym kraju słońca, gdzie zbudowali Ozyrysowi równie dumną świątynię, jaką u siebie zbudowali Izraelici ciemnemu Jawisowi.

Dla Żydów, którzy nie znają języka tego kraju i mogą przemawiać tylko prostą i łagodną swoją naturą i milczącą usłużnością nadchodziły ciężkie i długie lata pobytu w tym kraju. Dla cieśli nie było żadnej pracy w tym bezdrzewnym prawie kraju. W pobliżu królewskiego miasta Memfis, nad brzegiem Nilu, zbudowali sobie chatkę z trzciny i namułu, przy której budowie sprawność cieśli nie mogła się okazać w pełnym blasku. Ale wypadła ona lepiej niż jamy mieszkalne innych biednych ludzi wzdłuż rzeki. Józef pomyślał o rybołowstwie, a kosz rybarski przez niego wypleciony był tak dobry, iż sąsiedzi przynoszą żywność, aby im także wyplótł takie kosze. A wkrótce przychodzą także z miasta, aby kupować kosze, a gdy Józef chce wynieść swój towar na targ, biorą od niego już po drodze. Tak więc plecenie koszy stało się jego rzemiosłem i myśli o tem, że niegdyś mały Mojżesz znalazł schronienie w koszu na Nilu. A podobnie jak jego robota, zyskują sobie poważanie on i Marja i muszą przyznać, że tu nad Nilem życie jest lepsze niż w biednym, małym Nazarecie, że naprawdę w Egipcie wszystko samo się rodzi. Gdyby tylko ugasić się dała cicha tęsknota za ojczyzną.

Gdy mały Jezus poczyna stawać na własnych nogach, kobiety z sąsiedztwa zabiegają o to, aby obcował i bawił się z ich dziećmi. Ale chłopiec jest powściągliwy i unika ludzi. Gdy zapadnie

wieczór chodzi chętnie sam wzdłuż brzegu rzeki, ogląda wielkie kwiaty lotosu rosnące w mule i krokodyle, wypełzające niekiedy z wody i otwierające straszliwe swoje paszcze do nieba, jak gdyby chciały pić światło słoneczne. Przebywa nawet dłużej niż powinien i wraca potem z zarumienionymi policzkami, przepojony radością i nie wypowiada jej. A gdy zje potem swoje figi albo daktyle i leży w kołysce, ojciec i matka siedzą koło niego i mówią o kraju ojców, albo opowiadają o pradawnych historjach przodków, aż zaśnie. Naucza również Józef chłopca pisma żydowskiego, ale wkrótce okazuje się, że on jest uczniem; co wyczyta zmudnie ze zwitka, to mały Jezus wypowiada to napamięć. Tak rośnie jak smukły, delikatny ryż, uczy się cudzej mowy, zważa na obyczaje i naśladuje je, jeśli mu się podobają. Wiele jest w nim samorodnej wiedzy. Jakkolwiek mało mówi, matka zauważa to. I raz zapytuje Józefa:

— Powiedz mi, czy inne dzieci są także jak nasz Jezus?

Józef odpowiada:

— O ile je znam — Jezus jest inny.

Gdy Jezus wyrósł, zdarzyło się coś pewnego dnia. Józef poszedł z chłopcem na plac, gdzie przybijają okręty, aby sprzedawać koszyki. Wtedy powstaje wśród ludu poruszenie, nadbiegają żołnierze w jaskrawych szatach, z długiemi lancami, potem dwaj heroldzi i dmą w rogi, jak gdyby chcieli rozedrzeć powietrze przeraźliwymi tonami. A za nimi nadchodzi sześciu czarnych jak smoła niewolników, ciągnących złoty rydwan. Na

rydwanie siedzi faraon! Odziany w kosztowny strój, w czarnych, krętych włosach błyszcząca klamra — blady mężczyzna z przenikliwemi oczyma. Wrze radosny krzyk tłumu; lud, jakkolwiek oddawna zawisły od Rzymian, uważa potomka faraonów za swego króla. Powiewa do niego liśćmi palmowymi, ale faraon nie patrzy na to i opiera się jak znużony o poduszki. Jednak teraz podnosi trochę głowę, wpadł mu w oko chłopczyk stojący w tłumie, synek obcego rzemieślnika, wyplatającego kosze. Czy to oczarowała go piękność, czy też obca jego twarz — każe zatrzymać rydwan i przyprowadzić do siebie dziecko.

Józef przychodzi pokornie z dzieckiem, składa na piersiach ręce na krzyż i kłania się głęboko.

— To jest twój syn — przemawia do niego król w jego własnej mowie.

Józef potakuje w milczeniu.

— Jesteś żydem! Więc sprzedasz mi swojego chłopaka.

A na to Józef:

— Faraonie! Chociaż jestem potomkiem Jakóba, którego synowie sprzedali swego brata Józefa Egipcjanom, nie zasługuję na szyderstwo. Jesteśmy biednymi ludźmi, a dziecko jest naszym benjaminkiem.

— Powiedzieliśmy tylko z łaski, że kupimy — rzecze król. — Jesteście poddanymi i dziecko jest moją własnością. Bierz go, Hamasie.

Sługa chce już położyć dłoń na chłopcu, który stoi spokojnie i patrzy odważnie na króla. Józef pada na kolana i pokornie przedstawia królowi, że on i jego rodzina nie są egipskimi poddanymi, że

przebywają tutaj jako obcy i proszą wszechmocnego faraona o prawa gościnności.

— Nie wiem nic o tem, poczciwy człowieku — mówi król i spostrzega gniewną twarz chłopca. Wybucha śmiechem i powiada:

— Wydaje mi się, żydowski chłopcze, że chcesz mnie zgnieść. Och, pozwól mi trochę pożyć w pięknym Egipcie. Nie uczynię ci nic złego, jesteś na to zbyt pięknem dzieckiem. — Urywa, a potem mówi innym tonem: — Poczekaj jeszcze i przypatrz się bliżej faraonowi, czy jest rzeczywiście tak strasznie zły i czy to tak okropnie mieszkać w jego pałacu i podawać mu puchar, gdy ma pragnienie. No, jakże? Bądź spokojny, stary, nie stanie ci się krzywda. Chłopcze, przyjdziesz na mój dwór kiedy zechcesz, będziesz się chował i chodził do szkoły z dziećmi moich dworzan, chcę cię tylko widywać czasem koło siebie, bo jesteś piękny jak gazela. Idź teraz z swoim ojcem do domu, jutro każę zapytać, pamiętaj, tylko zapytać, nie będę rozkazywał. Kto syt jest łupu, umie cenić dobrowolną ofiarę. Zrozumiałeś.

Gdy tłum słyszy, że faraon rozmawia tak życzliwie z tymi biedakami, jak nigdy jeszcze, wybucha jak szalony okrzykiem radości. Gaje palmowe dźwięczą radosnym głosem ludu, gdy król odjeżdża na swoim dwukołowym, złotym rydwanie, ciągnąc za sobą długi orszak żołnierzy, cymbalistów i tancerek. Józef ucieka z chłopakiem przez wąskie ulice, aby uniknąć ludzi, którzy cisną się, chcąc zobaczyć i popieścić małego ulubieńca faraona.

W ich chatce odbywała się tego wieczora po-

sępna narada. Chłopak Jezus skłania się ku faraonowi, sam nie wiedząc dlaczego. Są tem przerażeni. Rzemieślnicza para nie może sobie wyobrazić, że skromne życie za ciasne jest dla dziecka, że chce się rozpatrzeć w zwitkach papyrusowych dawnych mędrców, dziełach ducha miasta faraonów. I nie mogą sobie wyobrazić, że jakiś głębszy powód wiedzie ich chłopaka na widownię wielkiego życia.

Józef uważa, że pisma zbioru królewskiego są naprawdę czemś. Ale Marja niema do pism szczególnego zaufania, a jeszcze mniejsze do faraona.

— Doświadczyliśmy już gorzko — powiada — jak z nami postępują królowie. Ledwie umknęliśmy przed gwałtem Heroda, a już wpadamy w ręce faraona. Prowadzą wszyscy tę samą grę, ale pod innemi mianami. Czego tamten nie mógł w Jerozolimie dokonać siłą, chce ten w Memfis dokonać podstępem.

Powiada Józef:

— Nie lubisz nigdy niedowierzać, kochana niewiasto. Ale potem, cośmy wycierpieli, nic dziwnego. Ta bajka o młodym królu żydowskim stała się dla nas fatalnem przeznaczeniem.

— Zostawmy to Bogu, mój Józefie, róbmy co do nas należy.

— Zdaje mi się — powiada Józef, gdy zostali sami — że jesteś przekonana, iż nasz Jezus przeznaczony jest do wielkich rzeczy. Musisz więc przyznać, że chata rzemieślników nie będzie odpowiedniem do tego miejscem. Miałby dobre pole do rozpędu na dworze faraona — jak Mojżesz.

Wiemy też, że król Egipcjan nie jest przyjacielem Heroda. Ale o tem on nie myśli, życzy dziecku dobrze — o czem my możemy sądzić najlepiej. Czyż nie powiedział, że ulubieniec nasz wychowywany będzie jak dzieci możnowładzców?

Wtedy oświadcza Marja, że rozstrzygające będzie to,co się podoba dziecku. Ma już przeszło dziesięć lat i jeśli zechce z glinianej chaty pójść do pałacu, nie można mu tego zabronić.

Słowo to posłyszał Jezus.

— Matko! — powiada i staje przed nią — nie chcę iść z glinianej chaty do pałacu. Ale chciałbym zobaczyć świat i życie ludzi. Nie opuszczam moich rodziców, aby iść do faraona — jeśli tam idę, to mimo to zostaję u was.

— Zostajesz u nas? — rzecze matka — a ja widzę, że już dzisiaj odchodzisz.

Ale nie chce mu zdradzić, co się dzieje w jej duszy. Nie powinien widzieć jak płacze, niech to nie zakłóca jego radości. A potem zrozumieli, że nie odchodzi daleko, tylko z Nilu do miasta, że faraon przyrzekł mu wolność — może odwiedzać rodziców, wracać do nich kiedy chce. Nie będzie to już to samo dziecko, które teraz odchodzi! Marja myśli o tem, jak to zwyczajnie bywa z matką i synem. Coraz bardziej oddaje się młodzieniec obcym ludziom i coraz mniej ma go dla siebie matka. Ona, która go w bólu porodziła, wyżywiła go własną krwią, która ma do niego prawo, tak święte i wieczne jak żadne inne. Ale powoli i nieodmiennie odłącza się on od matki i co tylko jeszcze chce mu uczynić, dać i ofiarować — uprzejmie ale stanowczo odmawia. Nawet

o błogosławieństwo dla niego musi potajemnie prosić — i ledwie może dotknąć jego głowy drżącemi rękami.

Następnego dnia w południe stoi przed chatką królewska lektyka. Przynieśli ją dwaj niewolnicy, z których jeden jest stary i ułomny. Marja, ujrzawszy miękką lektykę, woła, że nie pozwoli swemu dziecku siąść na takie wezgłowie. Wtedy chłopiec uśmiecha się lekko, aż w świeżych jego policzkach tworzą się dołeczki i powiada:

— Myślisz, matko, że siądę na te poduszki! Niech tam siądzie chory niewolnik, a ja go poniosę!

Na to nie zgadza się dozorca małego orszaku. Chłopak może zostać albo pójść.

— Zostaję — powiada Jezus — i pójdę do faraona, kiedy zechcę.

Lektyka wraca do pałacu pusta.

Następnego dnia chłopiec jest zdecydowany. Rodzice odprowadzają go przez gaj palmowy do miasta. Idzie tam w ubogiej szacie między ojcem a matką, Józef daje mu dobre rady i powtarza je. Marja milczy i wzywa niebiańskie moce, aby chroniły dziecko. W bramie pałacu wpuszczają chłopca samego, ojciec i matka zostają i patrzą z tęsknotą za swoim Jezusem, który odwraca się jeszcze raz, aby się z nimi pożegnać. Twarz jego jest wesoła i to zasmuca matkę. Ojciec myśli, że to niepojęte, aby dziecko mogło tak beztroskliwie i wesoło odejść od jedynych, wiernych ludzi — ale nie mówi nic.

Ciekawość, zadowolenie i niechęć ogarniają równocześnie dziecko, gdy dostaje się do rąk sług,

którzy prowadzą go do miękkiej kąpieli, namaszczają wonnymi olejkami i wkładają na niego jedwabną szatę. Ale on chce przypatrzyć się pałacowi królewskiemu i jego życiu. I teraz roztacza się przed nim cały przepych. W arabskich bajkach, które ojciec chętnie opowiadał, wiele było wspaniałości i cudowności, ale nie mogą się one równać z przepychem, który uderza teraz jego wzrok. Szerokie jak ulica schody marmurowe, wysokie jak świątynia komnaty, marmurowe kolumny, olśniewające kopuły. Słońce wpada do wnętrza różnymi kolorami i lśni się czerwono, niebiesko, zielono i złoto w gładkich jak zwierciadło ścianiach. Jeszcze cudowniejsza jest noc, gdy w głębi sal płoną tysiączne lampy, a las świeczników żarzy się jak tlejące zarzewie ognia; gdy dworacy zdają się tonąć w dywanach, sofach, jedwabiach i puchach; gdy z złotych kadzielnic rozchodzą się dymy wonnych zapachów i oszałamiają zmysły; gdy tysięczna rzesza sług zastawia stoły do uczty i wnosi jadło w srebrnych misach, alabastrowych czarach i kryształowych pucharach; gdy młodzieńcy i dziewice oplatają sobie skronie powojami i różami; gdy grzmią fanfary i dźwięczą cymbałki, a z miękkich gardeł dziewczęcych dobywają się pieśni i gdy wkońcu wkracza faraon w falistej purpurze, z tysiącem skrzących się żywo diamentów — z zębatą koroną na głowie, błyszczącą jak karbunkuł — Bóg! słoneczny Bóg! Nasz chłopak z nilowej chatki patrzy na to, jak na cud, ale nic go więcej nie obchodzi. Dają mu teraz do ręki wachlarz z lśniących, pawich piór. I inni chłopcy mają takie wachlarze;

z obnażonymi napół członkami zbliżają się do ucztujących i wachlują ich. Mały Jezus ma to czynić faraonowi, ale nie robi tego, jeno siedzi na posadzce i nie może się napatrzyć blademu obliczu króla. Król ogarnia go życzliwem spojrzeniem:

— Zdaje mi się, że to jest dumny chłopak z nad Nilu, który nie chce siedzieć u stóp faraona.

— Zasiądzie po prawicy Boga! — odzywa się głos z chóru. Jak lekko podrażniony lew odwraca król powoli głowę, aby zobaczyć, który to niezręczny dyrygent miesza hebrajski wiersz w pieśń Ozyrysa! Naraz powstaje hałas. Okna, do których zaglądała noc, jaśnieją czerwonem światłem. Przed pałacem zgromadził się lud z pochodniami, aby uczcić faraona, syna słońca. Król robi niechętną minę, owacje te powtarzają się przy każdej pełni księżyca, pragnie ich, ale nudzą go. Skinął na podczaszego, żąda puchara z winem. Wino rzuca róże na jego policzki, a żar na jego usta. Śpiewa wraz z tysiącem głosów hymn na cześć Ozyrysa, a postać jego pełna jest siły i słonecznego blasku.

Gdy po rozkosznym dniu przyszła cicha noc, tak cicha, że szum fal Nilu dolatuje do pałacu, wtedy leży Jezus za zasłonami na puchach i nie może zasnąć. Jakże błogo spać teraz będą w chatce nad Nilem! Jest mu gorąco, wstaje i patrzy przez okno. Gwiazdy lśnią jak malutkie słońca. Kładzie się znów, modli się do ojca i zasypia. Następnego dnia, po uroczystości, chce odnaleźć komnatę, w której złożone są stare pergaminy; nauczycieli, którzy go będą nauczać.

Ale niema nigdy święta, któreby się kończyło, powtarza się na królewskim dworze codziennie.

Aż raz, gdy uciszył się hałas wśród głuchej nocy, drepcą niewolnicy po pałacu, budzą się i szepcą. Jezus zauważa to, wstaje i zapytuje o przyczynę. Wtedy zbliża się doń jeden i mruczy:

— Faraon płacze!

Jak tajemnicze tchnienie samum rozlega się po pałacu: Faraon płacze! Potem wszystko ucisza się i noc zalega pałac.

Jezus nie ułożył się znów na miękkich puchach, spoczywa na zimnej posadzce i rozmyśla. Król płacze! Arabja, Indje, Grecja posłały do Memfis swoje kosztowne skarby. Okręty Fenicjan krążą wzdłuż wybrzeży Galji, Albionu i Germanji, aby zbierać majątek i klejnoty dla potomka wielkich faraonów. Lud okadza go codziennie pokłonami, życie jego jest u szczytu najpiękniejszych lat. A on płacze?

Tak upływają dnie. Jak przyrzekł król, chłopak jest wolny. Jednak zostaje na dworze. Często przebiega miasto, gaj i idzie nad Nil do swoich. U tam rzeki, użyźniającej kraj, pracują tysiące niewolników, smaganych batem dozorców, niektórzy padają i umierają ze zmęczenia. Jezus widzi to i gani brutalność, aż sam naraża się na uderzenie. Wędruje aż do piramid, gdzie śpią faraonowie i słucha, czy nie płaczą. Wchodzi do świątyni Ozyrysa i ogląda olbrzymie posągi bożków, stojące między okrągłemi, wielkiemi kolumnami, bezduszne w swojej ciężkiej brzydocie.

Najskwapliwiej przeszukuje wciąż pałac w pogoni za salą pism. Wkońcu znajduje ją, ale jest zamknięta. Stróżowie jej polują na pustyni na szakale i tygrysy.

I znów przychodzą noce, gdy przez komnaty biegnie tajemnica: faraon płacze. A raz król leży na kanapie i żąda, aby go wachlował chłopak z nad Nilu. Dzisiaj uczyni to ten, gdyż pan jest chory. Faraon jest w złym humorze i niecierpliwy, nie podoba mu się wachlarz i wachlowanie, a gdy chłopiec przestaje, jest również niezadowolony.

Wtedy mówi nagle Jezus:

— Faraonie, jesteś chory!

Król wpatruje się w niego ze zdumieniem. Paź otwiera usta i przemawia do syna słońca?! Gdy jednak spostrzega na obliczu chłopca smutny, żarliwy wyraz współczucia, ogarnia go uczucie wdzięczności i powiada:

— Tak, moje dziecko, jestem chory.

— Królu — rzecze Jezus — wiem, co ci dolega.

— Wiesz?

— Na zewnątrz masz światło, ale wewnątrz cień. Odwróć to!

Zaledwie chłopak wypowiedział owe słowa, gdy faraon wstaje, wydaje się wyższy i smuklejszy niż zwyczajnie, wyciąga nieruchomo rękę ku bramie i z oczu jego pada gniewny błysk.

Chłopak wychodzi spokojnie i nie ogląda się.

Ale słowo pozostało. Wśród gwarnego dnia faraon nie słyszy go. Ale w nocy, gdy milczy tętniące życie i tylko sroży się cicho nędza nie-

szczęśliwych serc, słyszy dobiegający do jego komnaty głos: Odwróć to! Zwróć światło do wnętrza!

* *
*

Jeszcze na długo przed owym dniem dowiedział się Jezus, że przed bramą Teb, u stóp piramidy Pefy, w krypcie grobowej mieszka uczony starzec. Nie chce on obcować z żadną żyjącą istotą, prócz kozy pustynnej, która daje mu mleko. Podobnie jak on, który ślęczy ciągle w ciemnościach swojej krypty nad nieskończonymi znakami pisma napół zwietrzałych płyt kamiennych, odgrzebanych sprzętów i zwojów papyrusowych, nie widzi nigdy koza światła słonecznego. Oboje zadowalniają się pokarmem, który przynosi im codziennie pewien stary fellach. Oto jest ten, który odwrócił cień na zewnątrz a światło do wnętrza. Otóż, gdy Jezusa wypędził faraon, odnajduje on tego uczonego mieszkańca jaskini, szukającego mądrości świata. Starzec nie chce go początkowo wpuścić. Młodzieniec i mądrość? Nie wierzy.

— Postarzej się wpierw, mój synu, a potem przyjdziesz do pism i będziesz szukał mądrości.

Na to odpowiada chłopak:

— Dajecie mądrość tylko na śmierć? Ja jej chcę dla życia.

Wtedy starzec otworzył.

Do tego starca chodzi Jezus codziennie i słucha nauk o świecie i życiu. I o wiecznem życiu. Pustelnik mówi o wędrówkach dusz, które w ciągu wieków przechodzić muszą przez wszystkie istoty,

przeżywają wszystkie kręgi bytu, stosownie do swego postępowania albo zwyż ku bogom, albo wdół do robaków w mule. Dlatego trzeba kochać i zwierzęta, w których tkwić mogą dusze ludzkie. Z gestem głębokiego poważania mówi o wężach Kebados i wzniosłym Apisie w świątyni w Memfis. Zagłębia się we wszystkie głębie i mielizny myślenia, pokrywa wszystko znakami pisma i ogłasza to za naukową prawdę. A więc człowiek żyjący w ciemnościach, niesie temu chłopcu — światło. Mówi o najświętszym bogu słońca Ozyrysie, który wszystko stwarza i niszczy, o wielkim, godnym uwielbienia Ozyrysie, którym syci swoje oko każde stworzenie. Potem znów szepce uroczyście i tajemniczo hieroglificzne formułki, aż żywego chłopca nudzi długa godzina. I tu trzeba odwrócić. Tak myśli, wychodzi potajemnie i zostawia furtkę otwartą. Gdy uczony ogląda się za nim, jest on już na dworze, pasie kozę, która uradowana wolnością skacze po murawie.

— Dlaczego nie poważasz prawdy? — pyta go surowo.

A Jezus odpowiada, drwiąc lekko:

— Czyż nie widzicie, że poważam waszą naukę? Mówicie, że trzeba kochać zwierzę. Dlatego zaprowadziłem kozę na świeże powietrze, aby się pasła wonnemi roślinami. Mówicie, że trzeba natchnąć swe oko u boga słońca, dlatego wyszedłem z ciemnej jaskini na kochane słońce. Widzicie, że żyję waszą nauką.

— Musisz się nauczyć pisma.

— Poznać chcę i stworzenia.

Starzec patrzy na chłopca niechętnie.

— Powiedz mi, zuchwały człowieku, pod jakim znakiem zwierzęcia urodziłeś się.

— Pod znakiem wołu i osła — odpowiada chłopak Jezus.

Szybko biegnie uczony do swojej jaskini, podnosi ampułkę i szuka w pismach. Pod wołem i osłem! — przeraża się. Rozważa głęboko. Wypisane jest na kamieniu i w zwojach. Wychodzi znów i patrzy na chłopaka, ale inaczej niż przedtem, niespokojnie, ale nie w zbytniem podnieceniu.

— Słuchaj, dziecko, postawiłem ci horoskop.

— Co to jest?

— Od twego znaku do kręgu zwierzęcego i do gwiazd widziałem przez pradawne święte znaki twój los, do którego tak naiwnie zdążasz. Chcesz wiedzieć?

— Jeśli zechcę wiedzieć, spytam się ojca.

— Twój ojciec jest astrologiem?

— Kieruje gwiazdami.

— Kieruje gwiazdami? Co ty mówisz? Idź, jesteś głupcem, bezbożnym głupcem. Czeka cię straszny los. Początkiem jest ta duma. — Jego ojciec kieruje gwiazdami!

* * *

Królowie w nędzy, uczeni w ciemnościach. Jeśli tak już jest — myśli chłopak Jezus — w wychwalanym kraju Egipcjan, jak to dopiero będzie w krajach, gdzie ludzie stoją jeszcze niżej? Co zrobić, aby ich uwolnić, aby odnaleźli swoje dusze?

A pewnego dnia wzdłuż Nilu następuje wylew, który niszczy wszystkie dzieła pracy ludzkiej w całym kraju. Mieszkańcy są jak zdruzgotani. I jest nędza, tak niezmierzenie wielka, że, jak myślą, nigdy się nie skończy. Wszystkich ogarnia zwierzęca żądza zysku. W następnym roku zacznie wykwitać z namułu bujne życie i przyjdzie czas, w którym lud zadławi się tą urodzajnością i pełnią. Niewieścia chuć zmysłów nęka kraj Egipcjan, a końcem jest znowu zwierzęcość.

A ludzie są sobie równi. Bieda albo nadmiar, i jedno i drugie jest do siebie podobne, a nawet wydaje się, że bieda ciągnie ich przemocą w otchłań, a w nadmiarze skaczą w nią dobrowolnie. Czy wiadomo, dlaczego król płacze wśród cichej nocy? Młody Jezus wie to dawno. A co uczynić, zapytuje, aby odnaleźli swoje dusze? Wieczne dusze, które dał im ojciec niebieski.

* * *

Z kraju żydowskiego nadeszła wiadomość, że król Herod umarł. O jego następcy, młodszym Herodzie, wiadomo, że jest przyjacielem swego ludu i łagodnego usposobienia. Więc Józef uważa porę za odpowiednią, aby wrócić do ojczyzny z żoną i pięknie wyrosłym synem. Nie spostrzegł się nawet, jak pracą i pilnością napłynęło do jego sakiewki w czasie splatania koszyków tyle złota, iż może nawiązać pertraktacje z pewnym fenickim kupcem co do jazdy do ojczyzny. Bo morzem nie chcą już wracać. Józef chce pokazać swojej rodzinie morze. A potem, po kilkuletnim pobycie

w Egipcie, popłynęli rzeką ku morzu. Józef zabrał wiklinę, aby mieć w drodze zatrudnienie. Marja naprawia odzież, aby schludnie wrócili do ojczyzny. Inni podróżni, jadący wielkim okrętem, cieszą się z próżniactwa i oddają się różnym uciechom. Jezus przypatruje się im niekiedy i jest wesoły. Ale gdy zabawa staje się czasem swawolą i bezwstydną chowa się w izbie albo ogląda dalekie wody.

Gdy są już na pełnem morzu, w czasie jednej nocy księżycowej zrywa się burza. Okręt wznosi się tramem ku niebu, aby w najbliższej chwili wryć się w otchłań tak głęboko, aż fale zalewają pokład, porywają belki i skrzynie i ciskają jadącym w oczy słoną wodę. Na masztach skrzypią żagle i liny okrętowe i poszarpane powiewają w powietrzu na czarne morze, pieniące się w skłębionych bałwanach i grożą zagrzebaniem stękającego okrętu. Ludzie są obłąkani ze strachu i obawy, kryją się odurzeni i oszołomieni po wszystkich kątach, aby znów uciec od padających drzazgów i belek. Józef i Marja szukają swego Jezusa i znajdują go spiącego spokojnie na drewnianej ławce. Nad jego głową huczy burza, trzeszczy słup masztowy — on drzemie słodkim snem. Marja nachyla się nad nim, chwyta się kurczowo ławki, aby ich nie porwał wir burzy. Chciałaby, aby spał dalej — cóż może zrobić miłość macierzyńska! Tylko Józef uważa, że trzeba mieć się na baczności. Dlatego obudzili go. Stoi na pokładzie i patrzy na rozszalały żywioł. Widzi, jak księżyc wędruje od jednej ściany mgły do drugiej, z huczącej otchłani wytryskają ciemne

potwory, które z trzaskiem rzucają się na okręt i przewracają go na bok, że maszty niemal toną, otoczone rojem drapieżnych płaków. Okręt drży cały i skrzypi we wszystkich wiązaniach, jak gdyby się rozpadał. Jezus trzyma się poręczy, w oczach jego wybłyska radość zachwytu. Józef i Marja usiłują go chronić, ale on odpycha ich, patrząc nieprzerwanie w straszne i wspaniałe zjawisko.

— Zostawcie mnie w pokoju? Czy nie widzicie, że jestem u ojca?

Mówi o nim pismo, że był jedynym człowiekiem, który nie miał na ziemi ojca — a więc jest pierwszym, który go szukał i znalazł w niebie.

Inni, którzy widzieli chłopca tej nocy, uspokoili się prawie mimo całego niebezpieczeństwa. Jeśli ten nie lęka się o swoje młode życie — czyż nasze jest więcej warte? Tak czy owak, biorą się z zapałem do sterowania okrętem, napinania lin, hamowania wdzierającej się wody, aż powoli burza ustaje. Gdy wschodzi ranek, Jezus patrzy jeszcze ciągle w zachwycieniu na morze, gdzie do walki między wodą a powietrzem przyłączyła się jeszcze walka między mrokiem a światłem. Wkońcu stało się to, czego szukał: wewnątrz i nazewnątrz światło. Na przednim tramie okrętu sternik dmie w róg i oznajmia: Ląd! Daleko nad ciemnozieloną powierzchnią błyszczą skały Joppu.

Gdy okręt zarzucił szczęśliwie kotwicę między przepastnemi skałami tego portu, rodzina nasza wysiada na ląd, aby iść stąd piechotą do Jeruzalem. Nadchodzi bowiem czas świąt wielkanocnych, których Józef nie obchodził już przez wiele lat

w świątyni Salomona. Święto to, jako wspomnienie powrotu do ojczyzny, nabrało teraz dla niego podwójnego znaczenia. W drodze więc chce zboczyć do ojczystej Galilei, do miasta królewskiego, szczególniej dlatego, aby po życiu w pogańskim kraju przyzwyczaić młodego Jezusa do publicznych nabożeństw wybranego narodu. Gdy wędrują po ojczystej ziemi, wdychują świeże powietrze, widzą od lat znane rośliny i postacie, słyszą rodzimą mowę, Józef i Marja biorą się za ręce w radości cichego szczęścia. Jezus jest obojętny. Nie odnajduje tu żadnych dziecinnych wspomnień, musiałyby to być wspomnienia ścigania go przez króla. Ze spokojem może patrzeć na kraj i ludzi. A gdy widzi uradowanych swoich rodziców, myśli: To dziwne, jaką to martwa gleba ma moc nad ludźmi! Czyż ojciec niebieski nie dzierży całej ziemi w swej dłoni? Czyli człowiek nie nosi ojczyzny w swej duszy?

Mienie ich leży związane na grzbiecie wielbłąda i tak wędrują tam pełni otuchy. Józef ma za pasem siekierę, aby bronić się w razie napadu, próbuje jej jednak tylko na klocach drewnianych, leżących na ziemi, które nadcina lekko, aby się przekonać, czy się nadają do robót ciesielskich. Im bardziej zbliżają się do stolicy, tem więcej ożywione są ścieżki w kamienistej okolicy. Z wszystkich stron napływają pielgrzymi, aby obchodzić wielkie święto w najświętszem miejscu. Drugiego dnia po zachodzie słońca znajdują się nasi wędrowcy w gospodzie w Jeruzalem. Tym razem Józef czuje się pewniej, niż podczas ostatniej podróży przed dwunastu laty — posiada

coś w torbie! Idą najpierw do świątyni. Przechodząc obok pałacu Heroda przyspieszają kroku.

Świątynia stoi w wspaniałym przepychu. Rzesza ludzi zapełnia przedsionek, spiesząc się, potrącając i krzycząc, i ciśnie się wszystkimi kolumnowymi korytarzami do wnętrza, do najświętszego miejsca, gdzie między złotymi świeczkami stoi arka przymierza. Prawie co piąty w todze doktorów jako wykładacz pisma jest pewny swego miejsca w świątyni. Faryzeusze i Sadyceusze, dwie wrogie partje w znajomości pisma, rozmawiają ze sobą o podatkach i daninach, albo sprzeczają się żywo o wykładanie pisma, co do którego nigdy nie mogą się pogodzić. Józef i Marja nie myślą o tem, że inni się kłócą, pokornie przestrzegają przepisów, stoją w niszy najświętszego miejsca i modlą się. Ale Jezus stoi przy kolumnie i ze zdumieniem przysłuchuje się sporom sekciarzy.

Następnego dnia oglądają miasto, o ile to jest możliwe w natłoku ludzkim. Ale Józef chce odwiedzić grób swego wielkiego praojca, położony tam w dole, w jednej z kamiennych grot. Przepycha się w natłoku przez wąskie, ciemne ulice, otoczony wrzawą kupców i przekupniów, poganiaczy osłów, tragarzy, krzyczących rabinów i nieskończonym potokiem pielgrzymów. Jednak gdy schodzą do grobu Dawida, Jezusa niema koło nich. Zgubił się w natłoku, myśli Józef, i spokojnie odprawia swoje modły u grobu królewskiego przodka. Gdy wrócili do gospody, gdzie spodziewali się zastać Jezusa, niema go tu także i nie przychodzi. Wtedy powiada ktoś, że przyłączył

się do pielgrzymów, zdążających do Galilei, myślał bowiem, że rodzice jego są już w drodze.

— Jakże mógł tak myśleć! — woła Józef. — Mybyśmy poszli bez niego!

Spiesznie zbierają się, aby dogonić syna. Jednak gdy dosięgają orszaku pielgrzymów, nie znajdują Jezusa, nikt o nim nic nie wie, i rodzice wracają do miasta. Tam szukają przez dwa dni. Idą do wszystkich dzielnic miasta, przeszukują wszystkie publiczne budynki, zwracają się do wszystkich dozorców, zapytują w urzędzie dla cudzoziemców, dowiadują się u wszystkich kramikarzy o tego smukłego chłopca z białą twarzą, ciemnymi włosami i egipskim jeżem na głowie. Nic i nic. Wróciwszy do gospody, spodziewają się ciągle, że go tam zastaną. Niema go nigdzie. Marja, bliska omdlenia, myśli tylko o jednem: że wpadł w ręce Heroda. Józef pociesza ją, jakkolwiek sam potrzebowałby pocieszenia.

— Biedna matka — mówi, przyciskając kojącą dłonią jej głowę do piersi — pójdziemy i poskarżymy się Panu.

Gdy jeszcze raz wracają do świątyni, gdzie zebrani są liczni nauczyciele i wykładacze pisma, znachodzą tam Jezusa. W środku między siwobrodymi rabinami siedzi chłopak i prowadzi z nimi ożywioną rozmowę, aż policzki jego płoną, a wielkie oczy gorzeją ogniem.

Rada miała wydać sąd o ciężkim wypadku przekroczenia ustawy. Pewien człowiek w Jerozolimie piekł w szabat chleb, ponieważ w powszednie dnie nie otrzymał u sąsiada pieca. Więc faryzeusze zebrali się razem i w namiętnej

dyspucie przytaczają mnóstwo ustaw o karygodności tego przekroczenia. Mały Jezus słuchał ich przez chwilę uważnie, a potem wystąpił nagle z tłumu. Staje przed obliczem uczonych i zapytuje:

— Rabini! Czy w szabat trzeba czynić dobrze czy nie?

Początkowo nie wiedzą, czy ten młody, zuchwały człowiek godzien jest odpowiedzi. Ponieważ jednak istnieje przepis, podług którego w kwestjach prawa musi się odpowiadać każdemu pytającemu, jeden z nich odpowiada krótko i ostro:

— Naturalnie, że należy czynić dobrze.

Jezus pyta dalej:

— Czyli życie jest czemś dobrem czy nie?

— Ponieważ dane jest od Boga, jest dobrem.

— Czy więc w szabat należy życie pokrzepiać, czy też pozwolić mu zamierać?

Wtedy milczą uczeni, gdyż musieliby powiedzieć, że życie należy żywić także w szabat, a oskarżenie ich przeciw człowiekowi, który dla wyżywienia się piekł chleb, musiałoby upaść.

Jezus wstępuje szybko po schodach aż do ich stołu i powiada:

— Rabini! Jeśli w szabat wpadnie wam owca do studni, czy zostawicie ją do następnego dnia? Nie pomyślicie o tem, że dzisiaj jest szabat, ale prędko wydobędziecie ją, zanim się zadusi. Co stoi wyżej, owca czy człowiek? A jeśli w chlebie waszym znajdzie się trzaska, nie będziecie się pytać, czy jest szabat, ale wyciągniecie ją. Ale przeciw człowiekowi, który musi przyrządzić swój pokarm, występujecie zaraz z swoimi prze-

pisami, aby cenić się wyżej niż on. Nie, tak się nie godzi. Rozstrzyga zamiar. Jeśli ktoś piecze w szabat chleb, powiem do niego: Czy chcesz nim wyżywić biednych i siebie, czy też mieć zysk? W pierwszym wypadku czynisz dobrze, w drugim profanujesz szabat.

Ponieważ nie umieją nic odpowiedzieć, oświadczają, że młody człowiek jest zbyt mało znaczący, aby mogli się z nim spierać.

Jezus, jeszcze podniecony, schodzi do tłumu, gdzie matka jego załamywała ręce nad śmiałością, z jaką jej syn przemawia do starców i mędrców i gdzie wyciąga do niego ramiona:

— Dziecko! dziecko! Co ty tu robisz? Dlaczego to nam uczyniłeś? Cośmy przez ciebie wycierpieli! Przez trzy dni szukaliśmy ciebie z największą trwogą.

Na to mówi Jezus:

— Dlaczego szukaliście mnie? Muszę wypełniać wolę ojca niebieskiego.

— Gdzie byłeś tak długo?

Na to nie odpowiada. Inni powiadają, że widzieli, jak stał między kolumnami i przysłuchiwał się wywodów rabinów, aż wkońcu nie mógł dłużej milczeć.

Cierpko powiada na to Józef:

— Jeśli jesteś tak uczony i potrafisz wykładać czcigodnym mężom pismo, znasz zapewne czwarte przykazanie. Czcij twego ojca i twoją matkę, abyś długo żył w kraju, danym ci przez Jehowę.

Jezus milczy.

— I kraju tego poszukamy teraz, mój synu.

Ruszyli więc, aby odbyć ostatni szmat drogi. Przez wzgórza Judei i Samarji idą tak uciążliwie, że Marja zapytuje, czy kiedyś jeszcze zobaczy Nazaret. Młody Jezus odbywa drogę dwa razy, bo niezmordowanie zbacza na wszystkie strony, aby zbierać daktyle, rożki i figi albo zaczerpnąć czarkę wody i napoić rodziców. Tak wychodzą powoli z skalistej okolicy, a gdy piaszczysta droga wyprowadzi ich na wzgórze, pokryte płaskimi kamieniami i krzewami ruty, leży przed nimi zielona równina Izraela. Otoczona jest lesistymi pagórkami, zasiana białemi wioskami i przepasana błyszczącemi rzekami. Z przeciwnej strony roztaczają się łańcuchy gór, z których najwyższy wznosi ku błękitnemu niebu białą, ośnieżoną głowę.

Józef wypuszcza z ręki uzdę wielbłąda i kij pielgrzymi, wyciąga ramiona i woła:

— Duszo moja, chwal Pana!

Bo przed nimi leży Galilea, ojczyzna.

Gdy potem widzą w kotlinie górskiej miasto Nazaret — ach, jakże małe jest to miasteczko i jak spokojnie leży między zielonemi wzgórzami! — wtedy Marja wybucha z radości płaczem.

* * *

Mieszkańcy Nazaretu zdziwili się niepomiernie, gdy zobaczyli zaginionego cieślę Józefa z swoją żoną i przepięknym młodzieńcem, zdążającego ulicą. Jednak są zadowoleni, że ludzie ci mają z sobą toboły. Tylko krewny Nataniel zrobił kwaśną minę, w której uśmiech życzliwości łączył

się z niezadowoleniem z powodu ich przybycia. Krewny Nataniel usadowił się bowiem na dobre w domu i uważał się za dziedzica. Teraz trzeba się spakować i znów wyprowadzić.

Józef jest niemal zadowolony, gdy spostrzega znów swój warsztat z śrubsztakiem, dłótem, calówką, heblem i piłą. I czerwony kubełek na farby jest również i sznur do liniowania długich kloców, zanim pójdą pod siekierę. Krewny Nataniel twierdzi, że niektóre narzędzia należą do niego, ale Józef pokazuje mu J, którem naznaczone są dla ładu wszystkie jego rzeczy. Gdy stary majster przywiązuje swój fartuch skórzany i po raz pierwszy kładzie hebel na deskę, aż z świstem wylatują skręcone wióry, wtedy ciało jego drży z rozkoszy, a oko spogląda z młodzieńczym zapałem. Wtedy cieśla zaczyna znów pracować z otuchą, nietylko w własnym warsztacie, ale także w sąsiedztwie, gdzie trzeba coś budować lub naprawiać, albo gdzie nieodzowne są stoły, szafki i ławki. Malutki dobytek, który przywiózł z sobą z Egiptu, zwiększa się powoli, aby syn mógł kiedyś czemś zacząć. Marja przysparza wiele, gospodarząc rozumnie i oszczędnie i szyjąc dla Nazarenek koszule i płaszcze. Jezus dostał izbę, do której może się udać w wieczór świąteczny. Trzeba mu tu zgotować wygodę, myśli Józef, aby go nie zwabił nęcący świat. Okna izby wychodzą na winnicę i górę z drzewami oliwnymi, a dalej na niebo z chmurami ciągnącemi od Libanonu i wschodzącemi gwiazdami na wschodzie. Pierwsze spojrzenie wschodzącego słońca, księżyca i gwiazd pada do tej zasisznej izby. Na

półce ściennej leżą książki Mojżesza, Machabeuszów, królów, proroków i śpiewaków, które Jezus pozbierał wszędzie w Nazarecie, Kanie, Nainie i tam w miasteczkach nad jeziorem. Galilejczycy zobojętnieli dla podobnych pism, w trudzie i pobożności napisanych przez ich ojców; zbyt długo czekali napróżno na spełnienie się tych proroctw, i zaczynają powątpiewać, czy Mesjasz żydowski kiedyś przyjdzie. Chętnie darowują pergaminy grzecznemu Jezusowi Józefa. Jeśli chcą kiedyś dowiedzieć się z nich czegoś, wystarcza im tylko zapytać go, a objaśnia im wszystko krótko i zwięźle, często tak dosadnie, iż nie mogą tego nigdy zapomnieć. Wygodniejsze to, niż samemu szukać i z trudem odczytywać nieczytelne znaki, aby ich na końcu nie zrozumieć.

W niejedną księżycową noc Jezus czyta pisma. Czytał te same pisma, co my, gdy otworzymy dziś stary testament. A więc jakbyśmy siedzieli z Jezusem na tej samej ławie szkolnej. Czyta o Adamie i jego grzechu, o Kainie i jego morderstwie, o Abrahamie i jego obietnicy, o Noem i jego powodzi. Czyta o Jakóbie i jego synach, o Józefie, którego bracia sprzedali do Egiptu i o jego losie w tym kraju. I czyta o Mojżeszu wielkim prawodawcy, o Dawidzie pasterzu, śpiewaku i królu, o mądrości Salomona i jego świątyni, o prorokach, którzy sądzili występki narodu i przepowiedzieli przyszłe królestwo. Z żarliwem sercem czyta Jezus dzieje swojego narodu. Widzi, jak historja ta upada coraz niżej i niżej. Jeśli początkowo radował się w natchnieniu, to wybucha teraz gniewem nad upadkiem narodu. Troska odpędza

od niego sen i patrzy w zamyśleniu i pytająco na gwiaździste niebo:

— Cóż ich uwolni od tej biedy?

Gwiazdy milczą. Ale z dali, z ciszy wieczności woła głos: Kocham ich tak bardzo, iż posyłam mojego rodzonego syna, aby ich uszczęśliwić.

W dzień troszczy się Józef o to, aby młodzieniec nie marzył zbytnio. Jezus musi uczyć się rzemiosła. Czyni to chętnie, ale bez zapału, nie myśli często o swej pracy i kiedy ma falcować dwie belki do progu, w głowie jego dźwięczy ponury wiersz proroka: Policzono go między złoczyńców.

— Co ty robisz? Czy to jest próg do drzwi?

Tak wyrywa go Józef z zamyślenia, a Jezus przeraża się, widząc, że przybił drewna na krzyż.

— Powiedz mi — napomina Józef chłopca — o czem ty myślisz? Jeśli masz rozum w głowie, użyj go do sumiennej roboty. Najprostsze rzemiosło wymaga całego kloca, a nie wiór. A szczególniej ciesielstwo, które buduje ludziom domy, mosty, okręty, a Jehowie świątynię. Nie każdy jest do tego zdolny, pomyśl, ile nieszczęścia może narobić zły cieśla. Myślisz o rzeczach boskich? Dobrze, praca jest także rzeczą boską. Pracą rąk prowadzi człowiek dalej boskie dzieło stworzenia. Ludzie mówią, że jesteś pojętny — niechże więc twój nauczyciel odczuje to także. Tępo i leniwie używasz narzędzi, to się musi zmienić, moje dziecko!

Jezus milczy i pracuje aż do późnej nocy, aby naprawić szkodę.

Józef zwierzył się potem z swojej troski małżonce. Nie obawia się, że chłopak może być złym cieślą. Jeśli tylko chce, udaje mu się wszystko. Martwi się tylko tem, że musi swemu ulubieńcowi czynić ostre wyrzuty. Każdy uczeń musi je wysłuchać.

Marja powiada:

— Dobrze go prowadzisz, Józefie. Ale mam zmartwienie. Gdy tak patrzę czasem na to dziecko — niepodoba mi się ono. Jest takie inne, niż dzieci w jego wieku.

— I ja myślę, że jest inne — powiada Józef. — Nie zapominajmy, że już od samego początku działy się z tem dzieckiem osobliwe rzeczy. Jehowa to wie, ja nie mogę tego zrozumieć. Teraz czyta za wiele w pismach, a to dziwne u młodych ludzi.

— I obawiam się, że czyta przykazania, aby je znosić — powiada Marja.

— Ustatkuje się. W tym wieku każdy człowiek lubi chętnie wszystko wywracać. — Tak pociesza Józef. — Tak, ale to niezwykłe dziecko. Popatrz, gdy się bawi z dziećmi. Jest największy wśród nich! Nie, chciałbym jednak, aby został takim, jakim jest.

Rozmawiali tak z sobą, smucąc się i radując, a tam w warsztacie Jezus składa drewna. A gdy udał się na spoczynek, Józef wkrada się do izby i kładzie mu łagodnie rękę na głowie.

Tak upływa rok za rokiem. Jezus dojrzewa w pracy i rozmyślaniu, a zarazem i w radości młodzieńczej. Szabat należy zupełnie do niego. Wtedy idzie chętnie na pagórek, gdzie między kamieniami i drzewami oliwnemi pasą się owce,

gdzie wzrok ulatuje swobodnie na potężne góry Libanonu i dalej na rozległą równinę, częścią pokrytą zielenią, częścią kamienistą, spadającą aż do jeziora. Stoi tam na górze i rozmyśla. Dla ludzi, z którymi się spotyka, albo którzy chcą się zbliżyć do niego, jest życzliwy, ale nie styka się z nimi często. Czasem jakieś żwawe zapasy fizyczne z młodzieńcami z Kanny, lub nawet turniej, kto kogo rzuci na ziemię. Wtedy jasne jego włosy powiewają na wietrze, policzki jego płoną, a po skończonej zabawie schodzi z przeciwnikiem pod ramię raźno w dolinę. Jednak chętniej przebywa z sobą samym i z milczącą przyrodą. W spokoju tym przybiegają miłe marzenia jak owieczki, ale także i lwy tytanicznych myśli. Marzy. Nie myśli, a raczej ogarniają go myśli, i wtedy wypowiada jakieś słowo, które go samego przeraża. Rodzą się w nim przeczucia, ale zanim je sobie uświadomi, już je język wypowiada wyraźnie, jak gdyby ktoś inny przez niego mówił. Tak wyłania się sam z własnej duszy jak z tajemniczych głębi.

Często wyzywa go ktoś do sprzeczki, wtedy broni się tylko słowami, ale słowa te są tak gwałtowne, a spojrzenia jego tak palące, że ludzie dają mu prędko pokój. Jeśli kogoś uderzy, uzdrawia go natychmiast. Pewnego dnia, gdy wspina się wąwozem ku kamienistemu zagajisku, biegnie za nim jakiś swawolny chłopak i obala go na ziemię. Jezus podnosi się szybko i woła gniewnie do chłopca:

— Umieraj!

Gdy tamten spostrzega płomienne oko, blednie śmiertelnie i poczyna drżeć, aż bliski omdlenia,

opiera się o skalistą ścianę. Jezus zbliża się do niego, kładzie rękę na jego ramieniu i mówi życzliwie:

— Żyj!

Takiego oka, jak jego, nie widziano w kraju. W gniewie jak piorun, w dobroci jak lśnienie rosy na kwieciu.

* * *

Gdy Jezus wyrósł tak powoli na męża, pracuje w swoim zawodzie już jako majster. Bo Józef jest stary i ułomny, może siedzieć tylko na wygodnym stołku, przypatrywać się ciesielskiej robocie i dorzucać jakieś słowo, jakby to najlepiej zrobić. Jest młody czeladnik, bliski krewny, imieniem Jan, którego Jezus uczy rzemiosła i innego kunsztu ciesielskiego. Gdy budują chatę w Nazarecie, albo kładą dach na dom, jest dla chłopaka ostry i surowy. Ale gdy w szabat idą sami przez okolicę między winnicami, przez miedze z kamieniami i trzodami, często przez ciemne lasy cedrowe, u wzgórz Libanonu, wtedy nie mówią ani słowa o rzemiośle. Wtedy oglądają zwierzęta, rośliny, wody, niebo i wieczne jego światła i cieszą się. Niekiedy zatrzymują się koło biednych ogrodników i pasterzy i wyświadczają im drobne usługi. Od tych ludzi uczy się Jan grać na dudce, a Jezus śpiewa pięknym głosem wesołe psalmy.

Ale dla Józefa zbliża się chwila śmierci.

Wpół oślepły leży na swojem łożu i mówi do Marji, jak ma czynić, gdy go już nie będzie. Potem

wyciąga zimną dłoń do Jezusa. Ów ociera umierającemu czoło połą swego płaszcza.

— Spodziewałem się — mówi powoli Józef — ale nie nadszedł czas. Muszę odejść jeszcze w ciemności.

Jezus gładzi pieszczotliwie jego głowę.

— Ciężko, mój synu. Zostań przy mnie. Spodziewałem się, że zobaczę Mesjasza i jego światło. Ale muszę jeszcze odejść w noc do ojców.

— Wkrótce przyjdzie.

Starzec chwyta go kurczowo za rękę:

— Jest całkiem ciemno. Boję się. Zostań przy mnie, Jezusie!

A potem zasnął.

Pochowali go tam, przed murami. Na mogile zatyka Jezus ów kij pielgrzymi, który Józef wyciął podczas ucieczki w kraju Egipcjan i zawsze z sobą nosił. A gdy ten kij tkwi w ziemi, poczyna puszczać delikatne pędy. A gdy następnego dnia przychodzi Marja, aby odśpiewać psalm, grób spowity jest białemi liljami, które wyrosły z kija, i rozplotły się na mogile licznymi wiciami.

Po śmierci starego majstra spotkała rodzinę niejedna przykrość. Ludzie zaprzestali zwracać się z zamówieniami, gdyż do młodego majstra nie mają wielkiego zaufania. Człowiek, który przeciwny jest wielu zwyczajom, a nawet przykazaniom, mówią, nie potrafi wykonać żadnej uczciwej roboty. Rzadko widać go w świątyni między modlącymi się publicznie, nie widziano nigdy, aby dawał jałmużnę. Rankiem schodzi do studni i myje się, nie przestrzegając przepisanych zmywań. Gdy rabin z Nazaretu zapytuje go raz o to, odpowiada:

— Kto się winien myć, czysty czy nieczysty? Mojżesz znał ten naród, gdy nakazał mu używać wody. Czy nieczystość pochodzi z zewnątrz, czy z wnętrza? Człowieka nie zanieczyszcza kurz uliczny, ale złe usposobienie jego serca. Czy to jest okropność jeść rzetelny chleb zakurzonemi rękami? Czyż to nie większa groza wydzierać bratu chleb czystemi rękami?

Rabin uważa, że nierozsądnie jest tracić na marne słowa z burzycielami przepisów zakonu i odwraca się. Ale już następnego dnia każe oświadczyć cieśli, aby kiedyś w szabat usiadł za skarbonką i zobaczył, że umyte ręce prawowiecznych żydów nie wydzierają bratu chleb, ale go ofiarowują. Gdy potem Jezus siedzi w świątyni, spostrzega, jak bogaci Nazareńczycy maczają ręce w kadzi, a potem z nabożną miną wrzucają do skarbonki wielkie złotówki i rozglądają się przytem, czy wszyscy widzą dobry przykład. Gdy się ściemniło, przychodzi także jakaś biedna kobiecina i chudą ręką wkłada do skarbonki grosz.

—No, cóż ty na to? — pyta rabin cieślę.

Jezus odpowiada:

— Zdaje mi się, że dumni bogacze umyli się, a jednak dają nieczystemi rękami. Dają drobną część tego, co zabrali innym i dają z nadmiaru. Największą ofiarę złożyła przed Bogiem biedna kobieta. Dała wszystko, co miała.

Tak to Jezus odosobnia się coraz bardziej w Nazarecie. Tylko biedni i dzieci gromadzą się dokoła niego. Pierwszych pociesza, z drugimi żartuje dziecinnie. Poza tem ludzie stronią od niego, uważając go za dziwaka, ale nie za nie-

winnego. Matka Marja próbuje usprawiedliwić go niekiedy tem, że wyrósł na obczyźnie, wśród obcych obyczajów i myśli. W istocie jest szczerym człowiekiem, dobrym, chętnym do usług i surowym dla siebie. Naturalnie, tak mówi matka! Któraż to matka nie miała najlepszego dziecka. Lekceważą jej słowa, żałują, że jej syn tak się wyrodził i sprawia kłopot. Na robotę jego nie można się zresztą skarżyć, gdyby jej tylko pilnował. Jakiby to był z niego cieśla przy takich zdolnościach! Nie powinien się tylko mieszać do rzeczy, których nie rozumie i nie mącić dobrym ludziom wiary ich ojców.

Pewnego dnia odbywa się wesele w sąsiednim mieście Kannie. Marja i krewni są zaproszeni, gdyż narzeczony jest dalekim krewnym. Gdy ten zaprasza Jezusa, daje mu do zrozumienia, że nie będzie wielkiego zmartwienia, jeśli się nie pojawi. Nie podobają mu się może dawne zwyczaje weselne i przepisy, których zamyślają przestrzegać. Jezus odczuwa przytyk, ale nie boleśnie. Idzie przeto i on na wesele, aby weselić się z weselnikami. Ale w środku najlepszej zabawy Marja odprowadza Jezusa na bok i powiada:

— Dobrze będzie, jeśli pójdziemy do domu. Zdaje mi się, że widzą nas niechętnie. Cieszyliby się, gdyby gości ubyło, bo jak słyszę, nie mają już wina.

— Cóż nas to obchodzi, że nie mają więcej wina — odpowiada prawie szorstko — nie potrzebujemy go.

— Ale goście chcą pić. Stolnik jest w kłopocie. Możeby ktoś zaradził.

— Jeśli mają pragnienie, niech przyniosą dzbany na wodę — powiada. — Bóg przemieni je w wino!

Istotnie stolnik nie umie zaradzić pragnieniu gości w inny sposób, jak każąc przynieść w wielkich, kamiennych stągwiach wodę ze studni. Jakże jest zdziwiony, gdy smakuje ono gościom i chwalą wino, które właśnie wniesiono.

— Zwyczajnie — powiadają —gospodarze nalewają gościom najpierw lepszego wina, a gdy biesiadnicy są oszołomieni i nie zwracają uwagi, przynoszą podlejsze. Nasz dzielny stolnik myśli inaczej i do najlepszego jadła daje najlepsze wino.

Krewni Jezusa i on sam widzieli jednak, jak stągwie napełniono w studni i gdy kosztują, twierdzą, że nie stało się to w naturalny sposób. Jezus pije sam i widzi, że to jest wino. Wychodzi w gwiaździstą noc i jest bardzo podniecony. „O ojcze, mówi w duchu, co zamierzasz uczynić z synem człowieczym?“ A może myśli dalej: Jeśli stało się to za twoją wolą, że woda przemieniła się w wino, to może uda się wlać świeże wino do starych statków, ducha i siłę Boga w martwe litery!

I młody Jan wychodzi w ciemną noc, aby szukać mistrza.

— Panie — powiada młodzieniec, stanąwszy przed nim — co to jest? Mówią, że zrobiłeś z wody wino. Już dawno myślałem sobie, że jesteś inny, niż my wszyscy. Musisz być z nieba.

— Czyż i ty nie, Janie, który tam zdążasz? Czyż może ktoś tęsknić do nieba, jeśli stamtąd nie pochodzi?

Jan stoi przez chwilę koło niego. Trudno nieraz zrozumieć, co on mówi.

Gdy późną godziną idą z wesela do domu, matka zwierza się przed synem z swych kłopotów.

— Jesteś taki dobry, moje dziecko, i czynisz ludziom dobrze, gdzie możesz. Dlaczego jesteś czasem tak cierpki w swoich słowach?

— Ponieważ mnie nie rozumią — odpowiada — ponieważ wy wszyscy nie rozumiecie mnie. Jeśli ktoś obrabia w warsztacie drzewo, myślicie, że to wszystko.

— Drzewo? Naturalnie, że cieśla powinien obrabiać drzewo. Chcesz być może kamieniarzem? Pomyśl, kamienie są twardsze od drzewa!

— Ale dają ogień, gdy się w nie uderzy. Zbutwiałe drzewo nie daje ognia, a Nazareńczycy również, chociażby uderzył w nich piorun. Są jak próchno i wilgotna słoma. Nie są zdolni do zapału: potrafią tylko martwić się, oto wszystko. Ale ze zmartwień nie zbuduje się królestwa niebieskiego. Gardzę szczapem, który się ciągle dymi, a nie płonie.

— Lękam się, mój synu, że uczynisz ich tak dalece swoimi wrogami, iż...

— Nie stanie się to w Nazarecie, póki jestem. Dlaczego tak mówisz, matko?

— Lękam się tylko o ciebie, mój synu!

— Szczęśliwa matka, której nic gorszego nie czeka. — Stanął i wziął ją za rękę. — Matko, nie jestem już dzieckiem i młodzieńcem. Pozwól, że będę takim, jakim jestem i że pójdę, dokąd chcę. Mam inne zadania do spełnienia, niż zbudowanie Jonasowi chaty, a Sarze stajni. Stary świat

butwieje, a stare niebo zapada się. Pozwól mi odejść, matko, i być cieślą, który zbuduje wam królestwo.

Wszerz i wpoprzek przelatują gwiaździste snopy po ciemnem niebie. Marja puszcza syna naprzód do miasteczka, drepce powoli za nim i łka. Jest sama i nie ma nad nim mocy. Dzień w dzień staje się coraz bardziej niepojęty.

* * *

Między ludem w Galilei panuje dziwne wzburzenie, które rozszerza się daleko po Samarji i Judei aż do Jeruzalem. Pojawił się nowy prorok. Było ich wielu w owych czasach, ale ten jest inny. Jak zawsze w takich czasach: najpierw niektórzy nadsłuchują gorączkowo, niepokoją swoim podnieceniem drugich, niepokoją chaty i całe wioski, dotychczas obojętne. A więc wszyscy wypatrują nowego proroka. Starzy mówili zawsze za czasów obcych rządów o królu i wybawicielu, który wybrany naród uczyni wielkim i potężnym. Z pokolenia na pokolenie wykładacze pism pocieszali czekających i spragnionych. Tak więc pod nieznośnymi rządami obcych powstała w umysłach niecierpliwość, narodowe pożądanie i religijne wyczekiwanie, jakiego nie było dotąd w tak wysokim stopniu.

I patrz! Po kraju krążą dziwne pogłoski. Jak wiatr wiosenny na Libanonie, topią lody, budzą kiełki i burzą serca. Tam na pustyni jest człowiek, który głosi nowe słowo. Długo przemawia do kamieni, bo jak powiadą, nie są one tak twarde

jak umysły ludzi. Kamienie to powtórzą. Góry się rozpadną i otchłanie napełnią, iż wyrówna się droga dla nadchodzącego wybawcy.

Ludzie są chciwi takiej wieści. Najpierw powiadają jedni:

— Pójdę i posłucham go, abym się uradował.

Ci wracają odmienieni i wzywają innych, aby szli także i zobaczyli niezwykłego człowieka. Ma na sobie grube odzienie z sierści wielbłąda miast płaszcza, związanę około bioder pasem skórzanym. Włos jego jest czarny, długi i skłębiony, twarz opalona słońcem, a oko jego płonie czasem jak pożar. Ale nie jest Arabem ani Amaletykiem, jest z wybranego narodu. Nad jeziorem znają go nawet bliżej. Syn lewity Zacharjasza, pochodzi z Galilei, tego przedziwnego kraju. Galilejczycy drwili z niego początkowo jako z jednego ze swoich i z myślą o Jezusie mówili, że ta Galilea jest jakimś błogosławionym krajem, bo nowi głosiciele prawd moralnych rodzą się w nim jak grzyby po deszczu! Prorok odpowiedział mi na to ostro, że chyba nie wiedzą, co należy sądzić o narodzie, jeśli wychodzą z niego sami kaznodzieje?

Nazwisko proroka pustynnego — wypisuję je — brzmi Jan. Coraz więcej ludzi napływa do niego, a każdy opowiada cuda. Poluje na szarańczę i zjada ją, zabiera miód pszczołom i pożera go. Gardzi zwykłem pożywieniem ludzi i ich zwyczajami. Od czasu betlejemskiej rzezi dzieci żyje na pustyni, mieszka w jaskini, położonej wysoko na skalistej górze. Wydaje się, że kocha bardziej dzikie zwierzęta, niż ludzi, których płaszczyka

cnoty nienawidzi, bo utkany jest z fałszywej obłudy i złośliwości.

Nazywają go prorokiem.

— Jest on taki — opowiadają dosłownie — iż dziwi nas, dlaczego rabini i wyżsi kapłani milczą w Kafarnaum, Tyberjadzie i Jeruzalem. Mówi tak, że mogliby go skazać na śmierć. Ale prorok nie lęka się. Głosi nową naukę, a kto się z nim połączy, tego głowę polewa wodą na znak czystego przymierza.

— A jaka jest jego nauka? — pytają inni.

— Idźcie tam sami!

I tak płyną ku pustyni rzesze i rzesze z Judei i Galilei. Prorok udał się nad Jordan, nieco powyżej, gdzie rzeka wpada do Morza Martwego. Pusta zwyczajnie okolica zapełnia się różnymi ludźmi, między nimi są rabini i nauczyciele, którzy okazują chęć pokuty, ale chcą podejść proroka. Prorok stoi na kamieniu; jedną ręką przyciska koniec skóry wielbłądziej do uwłosionej piersi, drugą wyciąga do nieba i rzecze:

— Rabini, i wy tu jesteście? Lękacie się gniewu nieba, który się zbliża i szukacie ratunku u czyniącego pokutę? Wy nabożni obłudnicy, co kamienujecie tego, który naruszy wam włos powiewem słowa, a wielbicie tego, który przynosi ofiary ludzkie. Baczcie, aby pokuta wasza nie stała się waszym sądem. Jeśli jest prawdziwa, przyjmijcie na waszą głowę wodę, na znak, że chcecie być czyści na duszy.

Takie wypowiada słowa. Uczeni w piśmie uśmiechają się szyderczo, inni szemrają na cierpkość jego mowy, ale przyklękają. Jan bierze

kamienną czarę, zanurza ją w wodzie Jordanu i zlewa głowy, aż strumyki spływają po karku i czole.

Jakiś człowiek podnosi głowę i zapytuje proroka:

— Dajesz nam przykazania?

Prorok odpowiada:

— Masz dwie szaty, a jedno ciało. Tam pod dębem stoi człowiek, który ma ciało, ale nie ma szaty. Nie daję żadnego przykazania. Ale ty je znasz.

Mężczyzna idzie tam i daje swoją drugą szatę temu, który niema żadnej.

Jakiś chudy starzec, celnik z Jeruzalem, zapytuje, co ma czynić, gdyż każdy, który przechodzi ulicą, ma na sobie szatę.

— A zatem nie żądaj większego cła, niż to, które przypisuje ustawa. Nie wyciągaj ręki po srebrniki i nie przymykaj oczu, aby nie widzieć ukrytych rzeczy.

— A my? — pyta jakiś żołdak rzymski. — Nie jesteśmy panami naszego życia, nie będziemy więc mieć przykazania.

— Macie miecz. Ale miecz jest przemocą, nienawiścią, żądzą, chciwością. Strzeżcie się! Waszym grzechem i sądem jest miecz. Potem znowu występują kobiety i ukazują zwycięską minę.

— Mędrcu ty! — wołają. — Nie mamy żadnych praw, a przeto nie mamy żadnych obowiązków? Mów!

I prorok mówi:

— Prawa weźcie sobie sami a otrzymacie obo-

wiązki. Przykazaniem kobiety jest: Nie będziesz cudzołożyć!

— A cóż mówisz mężczyznom? — zapytują.

— Mężczyźni mają prócz tego przykazania, jeszcze wiele innych. Nie powinnyście kusić ich kształtami swego ciała, gdyż mają spełnić ważniejsze zadania na ziemi, niż zadowolenie kobiety. Nie powinnyście nęcić ich barwą swoich policzków, ani siecią swoich włosów, ani pełnią swoich piersi. Nie powinnyście ściągać na siebie oczu mężczyzn jaskrawą szatą i błyszczącemi klejnotami. Nie powinnyście pysznić się jak gołębie, bo jesteście fałszywe jak węże.

Rozgniewało to kobiety i próbują zastawić na niego pułapkę. Przeto uśmiechają się słodko i pytają:

— Mądre twoje słowo, o proroku, dotyczy zapewne tylko kobiet z ludu. Kobiety królewskie są wyłączone?

Wtedy powiada prorok:

— Kobiety królewskie nie są z innej materji niż żebraczka, leżąca ciągle na ulicy. Kobiety królów są na oku całego świata, przeto muszą przestrzegać przykazań z podwójną i potrójną surowością. Jeśli jednak Herod wygania prawowitą swoją żonę, córkę arabskiego króla i utrzymuje jawny, kazirodczy stosunek z żoną swego brata, niech ich porazi szatan!

— Słyszałyście wszystko — mówią kobiety i idą do rzeki. Potem podnoszą koniec swej szaty aż ponad kostki, wstępują do rzeki, tam gdzie jest płytka i obnażają brunatne swoje karki, aby je oblał wodą dziki prorok. Wiele mężczyzn

ciśnie się do rzeki, ale prorok odłamuje cedrową gałęź i wypędza obłudne pokutnice. Wielu cieszy się, że grzech niema nad tym człowiekiem mocy.

Potem przystąpił do niego starzec, aby zapytać, kim on właściwie jest.

— Czyli jesteś mesjaszem, którego czekamy?

— Mesjaszem nie jestem — odpowiada prorok. — Ale przyjdzie po mnie. Toruję mu tylko drogę, jak wiatr poranny, zanim wzejdzie słońce. Jako niebo wyższe jest od ziemi, tako on będzie wyższy odemnie. Modlę się, abym godzien był rozwiązać rzemyka u butów jego. Ja was zlewam wodą, on chrzcić was będzie ogniem. Podzieli was na tych, co są złej i dobrej woli. Łopatą zgarnie pszenicę do stodoły, a plewę spali. Gotujcie się, albowiem królestwo boże bliższe jest niż sądzicie.

Tłum jest niespokojny. Nad górami Galilei zbliżają się chmury, których krawędzie błyszczą jak srebro. Powietrze wisi jak brzemię nad doliną Jordanu, a w cedrach nie chwieje się żadna gałązka. Cudzoziemcy z Samarji i Judei nie znają tego człowieka, który zstąpił z kamieni i kroczy teraz ku prorokowi. Ma na sobie szatę z błękitnej wełny, spływającą aż poza kolana, iż widać nogi w sandałach. Snadnie możnaby go uważać za rękodzielnika, gdyby jego głowa z wysokiem, bladem czołem i ciężkimi, jasnymi kędziorami nie była taka królewska. Na podbródku wełni się delikatna broda, a wielkie, ciemnobłękitne oczy płoną tak przedziwnie, iż niejednego zbiera lęk. I pytają się wzajemnie:

— Któż to jest taki z okiem ognistem?

Człowiek ten zbliżył się do proroka. Jedna ręka zwisa, druga przyciśnięta do piersi. Cicho powiada:

— Janie, ochrzcij i mnie wodą!

Prorok spogląda w twarz młodego człowieka i zdejmuje go lęk. Cofnął się o dwa kroki — nie wiedzą dlaczego. Czyli i on wie?

— Ty? — mówi prawie bezdźwięcznie. — Chcesz być odemnie ochrzczony?

— Chcę czynić pokutę — za wszystkich. Zacznij wodą, co się skończy krwią.

Tako im się zdawało, że słyszeli. Niewidziany nigdy zapał ożywia człowieka, który tak mówi.

— To marzyciel! lunatyk! — szepcą do siebie ludzie.

— Nie, to nieprawda, nieprawda! — gorączkują się drudzy.

— Czyli nie mówił o krwi?

— Taki młodzian i chce czynić pokutę!

— Przytem dumny jak Rzymianin.

— Z płomiennem okiem Araba!

— Patrząc na jego włosy, powiedziałbym że to Germanin.

— To nie jest Rzymianin ani Arab, ani Germanin — woła ktoś ze śmiechem — to jest cieśla z Nazaretu.

— Ten, co przemienia wodę w wino?

— Teraz wierzę, że tak chętnie chrzci się wodą.

— Mówią, że przez niego Herod pomordował dzieci.

Tłum usłyszawszy to, uspokaja się i patrzy na przybysza z wyrazem lęku.

Stary Herod uważał go za Mesjasza...!

Powiew czci przebiega lud. Bo Jezus wstępuje do rzeki. Brzegi chmur, wiszących nad ziemią, lśnią purpurą wieczoru.

Oczy ludu zwracają się teraz na biały punkt, tkwiący w tarczy jasnego nieba, najpierw jako płatek kwiatu, potem jako drgająca chorągiewka. Jest to gołąb, który opada coraz niżej i krąży nad głową chrzczonego.

— Umiłowany mój synu...!

Ludzie szepcą do siebie:

— Czyj to głos powiedział teraz: Umiłowany mój synu?

— Czyli niema na myśli tego, którego chrzczą teraz wodą?

Niektórych przebiega dreszcz po całem ciele. Wydaje się, jakoby niewidzialny Bóg chciał go przedstawić ludziom!

— Zapytamy go sami, czyim jest synem — mówią i cisną się do rzeki. Wtedy odszedł, a nad rzeką zapadł wieczorny zmrok pustynny.

Tej samej nocy Marja siedzi w swojej izbie w Nazarecie i szyje. Często wygląda przez okno, gdyż nie chce ułożyć się do snu, zanim Jezus nie wróci. Gdy przed dwoma dniami wyszedł do drzwi, odwrócił się jeszcze raz, popatrzył na nią i rzekł:

— Matko, idę do ojca.

Myślała, że chce pójść na cmentarz, aby pomodlić się na grobie Józefa, jak to już często czynił. Bo miejsce umarłych jest bardzo

opuszczone. Kiedy więc nie wraca, ani pierwszego ani następnego dnia, ogarnia ją smutek. A więc czekała przez całą noc.

Następnego dnia wszyscy mówią już w miasteczku:

— Cieślę widziano u proroka. Dał się ochrzcić!

— Marzyciel idzie do marzyciela.

— Powiedz raczej, do fałszywego proroka. Czemże to jest bowiem innem, jeśli jakiś człowiek twierdzi, że potrafi zmyć grzechy garścią wody?

Na to rzekł jakiś poganiacz osła, który nadszedł ulicą:

— Otóż to właśnie! Do tego dochodzicie, wy Izraelici, z waszemi zmywaniami.

— Ach, co się to teraz słyszy. Wszystko wskazuje na bliski koniec świata.

— Ty — syczy mu jakiś do ucha — wyznam ci otwarcie, że nie byłoby wielkiej szkody.

— I Jana to opętało, tego młodego cieślę. Wiecie, że porzucił ciesielstwo? Wypowiada słowa, których nikt nie rozumie.

Ktoś słyszy: „Słowo stało się ciałem."

Potrząsają głowami. Ale Marja siedzi przy oknie i wygląda.

* * *

W kilka dni potem przychodzą nad Jordan dwaj żołdacy, nie poto, aby się wychrzcić, ale aby pojmać pustelnika i zaprowadzić do króla Heroda w Jeruzalem. Ów przyjmuje go życzliwie i powiada:

— Przywołałem cię do siebie, ponieważ mówią, że jesteś prorokiem.

— Nazywają mnie prorokiem i chrzcicielem.

— I ja chcę ciebie posłuchać. Odeprzesz wszystko, co mówią przeciw tobie wrogowie.

— Jeśli to byli tylko wrogowie, to odeprzeć łatwo.

— Mówią, że znieważałeś mój królewski dom. Miałeś powiedzieć, że król żyje w hańbie z żoną swego brata. Powiedziałeś tak?

— Nie zaprzeczam.

— Przyszedłeś, aby to odwołać.

— Panie — powiada prorok — przyszedłem, aby to powtórzyć. Żyjesz w hańbie z żoną swego brata. Wiedz, że nadchodzi sprawiedliwe królestwo. Przychodzi z swoją łaską i swoim sądem. Odpędź tę kobietę!

Herod blednie z gniewu, że człowiek z pospólstwa przemawia do niego w ten sposób. Królewskie uszy nie mogą tego znieść, każe wrzucić proroka do więzienia.

Ale następnej nocy król ma ciężki sen. Widzi, jak z murów pałacu staczają się w przepaść kamienie, z świątyni i pałacu buchają płomienie i w powietrzu huczy burza nieskończonych jęków. Gdy się budzi, przypomina sobie słowa: Wy, którzy kamienujecie proroków! Wtedy zdecydował się wypuścić proroka.

Oto nadszedł czas, że Herod obchodzi dzień swoich urodzin. Jakkolwiek zwyczaj wschodni doradzał niegdyś obchodzić urodziny w żałobie, to właśnie król nie ma do tego powodu. Herod urządza na cześć tego dnia uroczystość, na którą zaprasza najznakomitszych swego państwa, aby uraczyć ich wszelkiemi uciechami i odbierać od

nich hołdy. Bawi się po królewsku, bo na zabawie obecna jest Herodjada, żona jego brata i jej córeczka, rozkwitająca tak wspaniale jak matka. Taniec, który wykonywa przed jego oczyma, ukazuje gibkie jej ciało, obnażane zazdrośnie przez miękką szatę, przypiętą luźno złotemi klamrami. Tedy w szale zabawy zbliża się król ochoczo do dziewczyny, kładzie na jej gorącym karku ramię, z którego osunęła się purpura, tak iż jest nagie, podsuwa jej do ust puhar z winem i każe jej pić. Ona uśmiecha się, ale nie pije, jeno powiada:

— Mój panie i królu! Jeśli teraz wypiję z twego puhara, będziesz pił z moich warg. A te nieskalane róże należą do mego oblubieńca.

— Któż to jest taki, kto się odważa mienić szczęśliwszym od króla? — pyta Herod.

— Nie znam go jeszcze — szepce dziewczyna. — Będzie nim ten, który mi ofiaruje najosobliwsze wiano...

— A jeśli nim będzie Herod?

Dziewczyna zwraca na niego okrągłe swoje oko i milczy. Pod rozkosznem spojrzeniem tego oka odchodzi niemal od zmysłów.

— Ty zachwycie mój! — szepce. — Żądaj, czego chcesz!

Ale dziewczyna jest przygotowana przez swoją matkę, chcącą się zemścić na Janie, iż swoim nawoływaniem do pokuty pragnie jej odebrać królewskiego kochanka. Przeto córeczka szepce słowa:

— Potrawy z twego stołu, o królu!

— Potrawy do jedzenia? Mów jaśniej!

— Każ wnieść na złotym półmisku osobliwą potrawę jako wiano.

— Nie wiem, czego żądasz.

— — — Głowy proroka.

Król pojmuje, odwraca się i rzecze:

— Okrucieństwo, na imię ci niewiasta!

Wówczas dziewczyna płacze i jęczy wśród łkań:

— Wiedziałam o tem. Kobieta jest dla ciebie tylko kwiatem polnym. Łamiesz go, aby był sianem. A gdy się stanie sianem, przychodzą osły. Człowieka, który zniesławił ciebie i moją matkę kochasz bardziej niż mnie.

— Przenigdy! Stanie się to, czego żądasz, jeśli winien jest śmierci.

— Jakżeż ten, którego kocha król, może być winnym śmierci! — wzdycha dziewczyna i pada zemdlona. Król chwyta ją, przyciska do piersi — i czego nie dokonały słowa, tego dokonało to dotknięcie. Prorok przepłaca je życiem.

Uczta jest pełna przepychu. Wszystko co najlepsze z całego kraju zgromadzone jest w łakociach i perlistem winie. Pod marmurowemi kolumnami stoją harfiarze i chwalą w pieśniach króla. Herod siedzi między dwiema niewiastami, a na czole jego spoczywa wieniec z czerwonych róż. Pije wiele wina i tak łapczywie, że perlisty trunek spływa po jego długiej, rzadkiej brodzie. Czy lęka się ostatniej potrawy? — — O północy wnoszą ją. Okryta jest białem płótnem, widać tylko kunsztownie rzeźbiony brzeg półmiska. Herod drży i wskazuje potrawę młodej niewieście, siedzącej po lewej jego ręce. Gwałtownym ruchem

odchyla ona płótno, i spojrzcie! Na półmisku leży głowa mężczyzny, z czarnemi włosami i brodą we krwi, ciekącej jeszcze z szyji. Otwartemi oczyma wpatruje się w kobietę, co pełna rozkosznej grozy tuli się do króla. Wtedy otwierają się usta głowy i wypowiadają słowa:

— Królestwo boskie jest bliskie!

Przerażenie i strach:

— Kto to powiedział? — wołają liczne głosy.— To głowa proroka woła po śmierci!

Wtedy powstaje tumult w całym pałacu, gdyż okrucieństwo to jest najbardziej niesłychane ze wszystkiego, co się kiedyś stało w złotym domu. Jak długo powstrzymywana wściekłość, co nagle wybuchnie — tak szał niesie się po mieście i ogarnia Jeruzalemczyków. Tłum porywa kobiety Heroda i rzuca jej pospólstwu na zabawę. Król musi uciekać. — Dalej opowiada legenda, że podczas swojej ucieczki wpadł w ręce króla Arabów, który pomścił srogo swoją wygnaną córkę.

Tak to nikczemnicy z domu Heroda targnęli się na świadka tego, który się teraz pojawi.

* * *

Po przyjęciu chrztu Jezus wędrował nad brzegami Jordanu, długo i długo — o czasie nie myślał. Potem wyszedł na skalistą górę i gdy oko jego przyzwyczaja się do zmroku i rozgląda się wkoło, patrzcie, oto jest na pustyni. Objawienie przy chrzcie oderwało go od ziemi. W tajemniczej twarzy zarysowuje się szlak nowej drogi, którą chciał wędrować. Jaki spokój wieczny dokoła

niego! Jednak nie jest sam na nagich kamieniach; nigdy nie był tak samotny, jak tutaj wśród nocnej grozy pustyni. Szepce wielkie milczenie. Gwiazdy na niebie migocą i migocą i zdają się błyszczeć jeszcze gwałtowniej, im dłużej spoczywa na nich jego oko. Opadają jakby zwolna w dół i stają się słońcami i coraz to nowe legiony płyną z głębi i nadlatują ciągle, wielkie i małe i najmniejsze i coraz to nowe napływają z nieskończoności — niepowstrzymane źródło światła niebiańskiego!

Jezus stoi nieporuszony. A gdy zwraca w niebo swoje oko, wydaje się, jakby było ono ogniskiem wszelkiego światła...

Tak zapomniał o świecie i pozostał na pustyni. Z dnia na dzień zapuszcza się dalej, mimo otchłani i wyjących zwierząt. Kamienie ranią jego nogi, ale on tego nie czuje; węże kąsają jego stopy, ale on tego nie czuje. Jakie źródło go wykarmi i jaka szczelina skalna da mu schronienie — o to nie dba ten, który żyje w Bogu. Inni uważali świat i jego potęgi za surowych władców, dla niego są niczem, bo z nim i w nim jest siła. Nie jest to już stary, ciasny, z duszy żydowskiej zrodzony, po ludzku cierpiący Jehowa; jest to pan ogarniający wszystko, dzierżący w swej dłoni niebo i ziemię, schylający się do każdego ziarenka, aby je obudzić i wołający do ludzi: Przychodźcie! Uświadomił w sobie Boga — cóż się komu może jeszcze stać!

Pewnego dnia zstąpił między kamiennymi jarami do wybrzeża Morza Martwego, rozścielającego się spokojnie i połyskującego czarną tonią, a tylko u brzegów wzburzonego białą pianą. Daleko gubi

się powierzchnia wody w ciemnościach, zakrywających dal ciężkim i czarnym oparem. Na brzegu sterczą rozłupane bloki skał, a wierzchołki ich żarzą się czerwono jak żelazo w kuźni. Jest to zorza wieczorna. Jak olbrzymie pochodnie wznoszą się te wieże, a z nich spływa różowy blask na nagi piarg, zmywany przez wodę. Ze ściany kamiennej sypał się od wieków delikatny, żółty piasek, który leży teraz na brzegu, jak wielkie, spadające stromo pola. Wygląda jak suchy, sypki miał, a Jezus, który po nim kroczy, pozostawia ślady swoich stóp. Co chwila powiew wiatru zaciera je, wzbija w górę tumany piasku i wymiata czarne rafy. Na tych stromych polach piaszczystych, poprzerywanych złomami skał i ciągnących się w nieskończoność, można poślizgnąć się i ugrzęznąć. Patrz na wystające tu i tam kości, resztki zdechłych zwierząt, golenie i czaszki ludzi, którzy zginęli jako osiedleńcy lub stali się pastwą lwów. Takie czaszki z wyszczerzonemi zębami wzywają wędrowca do odwrotu, jeśli kocha swoje życie. Tu jest śmierć! Jezus kładzie ręce na piersi. Tu jest życie! Im większa samotność, tem większa bliskość Boga.

Chętniej niż na wybrzeżu przebywa Jezus na wzniosłości skał, skąd widać dalekie nieba i chmury, ciągnące jak bezdomne ludy i zwolna znikające.

W takiej kamienistej pustyni spotyka pewnego dnia arabskiego wodza. Olbrzymi mąż w ciemnym płaszczu Beduinów, z szarą brodą i płaskim nosem w kościstej twarzy. Z krzaczastych jam ocznych wybłyskują dwie niespokojne iskry. Pas jego

najeżony bronią, na głowie spoczywa żelazna obrączka, podtrzymująca zwichrzoną czuprynę. Z zadowoleniem patrzy ów człowiek na młodego pustelnika i nazywa go robakiem, który będzie prosił, aby go łaskawie zdeptano. Chyba, że zechce do niego przystać albo zginąć na gorących kamieniach.

Jezus nie zważa na surowe słowa. Widzi w obcym tylko człowieka, któremu najchętniej zdradziłby całą radość swojej duszy. Jest tak pełen miłości, iż nie może jej podźwignąć. A jednak strzeże jej jak wierny skarbnik. Powiada więc:

— Nie jestem robakiem, którego się depce, ale synem człowieczym, niosącym wam nowe królestwo.

— Ach, Mesjasz! Jezus z Nazaretu, nieprawdaż? Słyszałem już o tobie. Gdzie masz swoich żołnierzy?

— Nie zwyciężę mieczem, ale duchem.

Człowiek pustyni potrząsa szyderczo głową.

— On chce zwyciężyć duchem! Ale nie gardzę tem. Jesteś mocarzem słowa, i to coś znaczy. Słuchaj, synu człowieczy, podobasz mi się. I ja pragnę nowego królestwa, powinniśmy się złączyć.

Na to powiada Jezus:

— Kto chce, może iść ze mną. Ja nie idę z nikim.

— Przyjacielu, nie znasz mnie? — pyta wódz. — Jestem Barabasz, król pustyni. Trzy tysiące Arabów słucha mojego skinienia. Spójrz na tę dolinę. To jest klucz do królestwa Mesjasza!

To co wódz nazywa kluczem do królestwa

Mesjasza, jest to wojsko, leżące pokotem tam na równinie jak ciemna, daleko na pustyni rozpostarta plama, w której roi się jak w mrowisku. Wódz wskazuje to i powiada:

— Patrz, to jest moje ramię. Ale ja nie zwyciężę swojem ramieniem, i ty nie zwyciężysz swojem słowem. Bo mnie brak do ramienia słowa, a tobie do słowa ramienia. Mnie potrzeba proroka, tobie wojska. Król z mówcą, a weźmiemy Jeruzalem! Wiedz, że się przeliczyłem. Przez wiele lat łudziłem się, że siła tkwi w ciele. Karmiłem więc ich ciała, hodowałem starannie i żywiłem, aby byli silni. Ale miast aby byli silni i śmiali, stali się leniwi tchórzliwi. I kiedy z tem wojskiem chcę wyruszyć, aby uwolnić Jeruzalem od Rzymian, śmieją mi się w twarz i odpowiadają słowami, których ich sam niegdyś wyuczyłem: Mamy to jedno życie, to jedyne życie i nie narazimy go na niebezpieczeństwo. A kiedy zapytuję: Nawet za wolność? Odpowiadają: Nawet za wolność, gdyż nie będziemy mieli nic z wolności, jeśli nas zabiją. Są to leniwe bestje, które opuścił zapał i ochota. I oto spotykam ciebie, człowieku! Jesteś mistrzem słowa i powiadasz, że zwycięża się duchem. Chodź ze mną! Zejdź ze mną i zachęć ich do czynu! Jest nas legion, broń nasza jest silna — brak tylko płomiennego ducha, a tym jesteś ty. Bohater z płomiennym mówcą, tak zawsze zdobywano królestwa. Zejdź ze mną, powiedz, że jesteś prorokiem, pobudź ich przeciw Jerozolimie i krzyknij: Tak chce Bóg! Jeśli się roznamiętnią, pogonią tam jak szatan, zduszą cudzoziemców, a ty w świątyni Salomona nauczać będziesz o Mesjaszu.

Będziesz głosił że przyjdzie, albo że nim jesteś, jak chcesz. A gdy to osiągniesz, możesz zakładać królestwo i jak u stóp Boga legną u twojego tronu wszystkie wspaniałości świata. Chodź, proroku, daj mi słowo, a ja ci dam swój miecz!

— Odejdź, piekielny kusicielu! — woła Jezus i z oczu jego pada błysk, którego wódz nie może znieść.

A potem Jezus jest znów samotny między cichemi skałami i pod gołem niebem.

A że pod tem świętem niebem pustyni, gdzie zstąpił do niego ojciec, duch jego wyzwolił się zupełnie, a serce napełniło się coraz żywszą i płomienniejszą miłością — przeto dokonało się. Opuszcza świątynię i odchodzi w żyzny kraj, do ludzi. Wie dobrze i jasno, co jest jego posłannictwem na ziemi.

* * *

Na wschód od Nazaretu, gdzie kraj opada lekko, a między górami i uroczemi niwami leżą miłe wioski, rozciąga się jezioro Genezaret, zwane także Morzem Galilejskiem. Skaliste góry Naftali, wystające miejscami z brzegów, miały być gęsto porośnięte za czasów Dawida. Jednak powoli, gdy obca kultura ogołociła góry, urodzaj przeniósł się na pagórki i doliny.

Niedaleko stamtąd, gdzie Jordan wpada do jeziora, po lewej stronie rzeki, pod piaszczystą górą Betsaidy, zielenieje nad brzegiem jeziora lasek cedrowy, którego nasienie przyniósł niegdyś wiatr z Libananu. Przywiązana do pnia, kołysze się

w cieniu na czarnej wodzie łódź rybacka. W spróchniałych miejscach zatkana jest trawą wodną, deski i pale spojone są gałęziami oliwnemi. Dwa wystające, skrzyżowane kije przeznaczone są na żagiel, leżący teraz w okręciku, ponieważ śpi na nim żeglarz. Ta brunatna tkanina z sierści wielbłądziej jest najcenniejszem mieniem człowieka. Jeśli płynie po wodzie, to chwyta ona wiatr, jeśli wędruje po lądzie, służy mu za płaszcz, jeśli śpi, jest jego łożem.

Gałązka cedrowa muskała tak długo rzadki kosmyk włosów na łysinie małego, starszego mężczyzny, aż się przebudził. Naraz spostrzega siedzącą na piasku młodą kobietę. Ona chce uciec z okrągłym swoim koszykiem, ale rybak woła do niej żywo:

— Słuchaj-no, Beko, córko Manassusa, dokąd niosą cię białe jak kość słoniowa stopy?

— Moje stopy są równie brunatne, jak twoje — odpowiada Beka. — Porzuć swoje naigrawanie się, Szymonie.

— Dlaczegoż miałbym się naigrawać, jesteś rybackiem dzieckiem jak ja. Jeno dźwigasz zbyt ciężki koszyk.

— Niosę memu ojcu jadło.

— Manassus miał dzisiaj dobry połów. Patrz, tam za palmami Hiumu unosi się dym. Smaży ryby. Ale ja nie jadłem od wczoraj.

— Wierzę ci, Szymonie. Ryby jeziora Genezaret nie wpadają nikomu do ust upieczone. Kto jak dziecko leży w kołysce i zdaje się na łaskę bogów...!

Szymon wstał i stoi na kołyszącej się łodzi, rozstawiwszy szeroko nogi dla utrzymania równowagi.

— Beko — powiada — daj pokój bogom, oni nas nie karmią, ale zjadają ludziom sami co najlepsze.

— Zatem czcij jednego Boga, który karmi ptaki.

— I rzuca Żydów pod panowanie Rzymian. Nie, Jehowa nie podoba mi się również. Jestem więc opuszczony i stoję sam jak krucha trzcina.

— Cóż ci pomogę, że jesteś sam? — pyta córka Manassusa. — Czyż niema cór w Galilei, żyjących również samotnie?

— Beko, cieszy mnie, że tak mówisz — odpowiada rybak. — Jakże jednak znaleźć może Szymon zadowolenie na ziemi, jeśli nie jest w zgodzie z samym sobą? I dlatego nie cieszy mnie także rybołóstwo. Wszystko mi dolega. Często, gdy tak leżę i patrzę w niebo, przychodzi mi na myśl: Gdyby teraz zerwała się burza i porwała łódź na pełne morze — w ciemną, groźną zawieruchę, leżałbyś wtedy, Szymonie, i wyciągałbyś przed siebie ramiona, wołając: Bogowie albo Boże, róbcie ze mną, co chcecie!

— Nie mów tak, Szymonie! Bóg nie pozwala z sobą żartować. Bierz!

Tak mówi Beka i wyciąga dla niego z kosza soczyste winogrona.

Szymon bierze je i mówi:

— Beko, za rok będziesz miała takiego, który odnajdzie w tobie radość, jakiej napróżno szukam u proroków.

Wtedy odchodzi cała drżąca w stronę błękitnego dymu, wznoszącego się za palmami Hiumu.

Nie dziw, że rybak długo za nią spogląda. Jakkolwiek czuje się obco u ludzi, ponieważ nie rozumieją należycie tego, co przepełnia jego duszę, jednak czuje bolesną pustkę, gdy jest sam. Czuje, że jest niezrozumiany przez ziemię, a opuszczony przez niebo. Lęka się żywiołów, a pismo nie trwoży go. Potem mały człowiek rzuca się na twarz, zanurza rękę w wodzie i skrapia swoje czoło. Następnie siada na ławce w łodzi i spożywa słodki dar Beki.

W tej samej chwili skrzypie na brzegu piasek i zbliża się smukły mężczyzna z kijem pielgrzymim w dłoni, w długim, brunatnym płaszczu. Czarna jego broda sięga aż do pasa, gdzie rzemień opasuje odzież. Cień od szerokiego kapelusza przysłania wysokie jego czoło, oko zwraca się na rybaka w łodzi.

— Rybaku, czy jesteś gotów przewieść trzech ludzi przez jezioro?

— Jezioro jest wielkie — odpowiada Szymon, wskazując na słabą łódź.

— Ludzie ci chcą być jeszcze dzisiaj w Magdali.

— Zatem droga prowadzi przez Betsaidę i Kafarnaum.

— Ludzie są znużeni — odpowiada drugi. — Przybyli z pustyni, potem przez Nazaret, Kannę i Chorazin, drogą okrężną.

— Jesteś może jednym z nich? — pyta Szymon. — Znam ciebie. Odbyliśmy razem połów ryb w Hamat?

— Możliwie, że się znamy — odpowiada drugi nieco figlarnie. Znają się bowiem bardzo dobrze. Tylko Szymon stał się tak dziwny.

Teraz powiada ów:

— Jadę chętnie. Ale sam widzisz, że moja łódź jest zła.

Potem namyśla się i powiada:

— I tyś jest znużony, mój przyjacielu, wędrowałeś długo, a ja leżałem przez cały dzień w cieniu. Nie zasłużyłem na jadło. Chcesz, abym ci dał winogrona?

Czarnobrody nachyla się, bierze winogrona i znika za cedrami.

Idzie do cienistego miejsca, gdzie znajdują się dwaj inni mężowie, obaj w długich, ciemnych szatach wełnianych. Jeden jest jeszcze młody i ma delikatną twarz, niemal jak kobieta, z długiemi włosami. Leży rozciągnięty na murawie, o skałę oparty stoi w pobliżu jego kij pielgrzymi. Drugi siedzi wyprostowany. Znamy go. To jest Jezus, cieśla z Nazaretu. Przybył z pustyni przez Judeę i Galileę, gdzie przyłączyli się do niego współtowarzysze idei, pewien wioślarz nazwiskiem Jakób i jego dawny uczeń Jan. Wspiera teraz głowę na ręce, podczas gdy druga ręka spoczywa na głowie drzemiącego Jana.

Długobrody nadbiega szybko i woła głośno:

— Mistrzu, dostałem tu dla ciebie winogrona!

Mistrz wskazuje na śpiącego młodzieńca, aby go nie budzić głośną mową. Potem mówi powoli:

— Jakóbie! Czy powinienem wybaczyć ci kłamstwo, dla usługi, jaką mi chcesz wyświadczyć? Któż wie o mnie? Winogrona podarowano tobie.

— I ja je też spożyję — odpowiada Jakób. — Pozwól tylko, że je spożyję tak, jak mi najlepiej smakuje.

— Uczyń to!

— Smakuje mi najlepiej, kiedy widzę, że ty się nimi raczysz.

Jezus przyjmuje dar i powiada:

— Jeśli zjemy my obaj, mój kochany Jakóbie, cóż zostanie dla Jana? My jesteśmy zahartowani, ale on nie jest przyzwyczajony do mitręgi. Sądzę, że najlepiej się uraczymy wszyscy trzej, jeśli Jan zje winogrona.

Ponieważ długobrody nie sprzeciwia się temu, Jan, przebudziwszy się, otrzymał winogrona. Jakób zawiadamia o gotowości rybaka, więc idą na brzeg i wsiadają do łodzi.

Szymon przypatruje się z ciekawością zmęczonym cudzoziemcom i chwyta raźno za wiosła. Fale pluskają i łódź, kołysząc się, wypływa na szeroką wodę, której brzegów ani końca nie widać w południowej godzinie. Potem jak mówią obaj do mistrza, myśli: Rabin, a to jego uczniowie. Na pytanie mistrza o jego życie i zawód odpowiada rybak z czcią i dodaje umyślnie, że nie cieszy się szczególnem szczęściem, ponieważ łowi nieraz dniami i nocami, nic nie złowiwszy, i z tym samym skutkiem mógłby leżeć w łodzi i kołysać się na falach.

Mistrz pyta go z uśmiechem, co on mówi na łowienie ludzi.

— Nie wiem, co to znaczy.

— Masz już trzech w swojej sieci! — powiada wesoło Jakób.

— Uchowaj mnie Bóg — woła rybak — którego jeszcze dzisiaj prosić będziemy o pomoc. Patrzcie, tam nad górami Hiumu gromadzi się coś. Jest teraz

tak pięknie, iżby się zdawało, że jest to słoneczne niebo. Ale te białe brzegi, te białe brzegi! Za godzinę będzie burza!

— Podnieś żagle, rybaku, i wypocznij! — powiada Jakób. — I ja się znam na tem rzemiośle.

— Zatem nie powiedziałbyś dzisiaj: podnieś żagle! — rzecze Szymon.

— Słuchaj — mówi Jakób — znasz rzekę, która z gór Golanu przynosi do tego jeziora czarny piasek i czerwone rybki z szpiczastemi główkami. Nad tą rzeką stała moja chata, musiałeś ją znać.

— I już tam nie stoi? — pyta Szymon.

— Stoi jeszcze, ale nie należy już do mnie — mówi Jakób. — Opuściłem ją, aby pójść za mistrzem. Znasz go, Szymonie?

Ostatnie słowa wyszeptał za plecami mistrza. Ów siedzi w milczeniu na desce i patrzy na spokojną powierzchnię wody. Odpoczynek sprawia mu zadowolenie, wietrzyk rozwiewa łagodnie jego loki. Jan owinął sobie przedtem głowę chustką, aby ją ochronić przed promieniami słońca.

— Za kogo go uważasz? — pyta Jakób, wskazując Jezusa.

A rybak odpowiada:

— A za kogo ty uważasz tego?

Wskazuje palcem w dal, widzi burzę. Góry otulone są szarą mgłą, napływającą wśród błyskawic. Przed nimi przewalają się syczące węże wody, tryskając białymi grzebieniami. Podmuch wiatru uderza w łódź i z głębi poczynają wybuchać wody, tak iż łódź przewraca się na bok jak kawałek drewna. Ponieważ Szymon nie podniósł żagli, nie potrzebuje ich teraz zwijać. Kłęby piany przelatują

przez maszty, belki trzeszczą. Teraz zbliżają się chmury, pędząc przed sobą syczące i huczące fale. Wkrótce łódź otacza wilgotna, szalona noc, oświetlona tylko blaskiem błyskawic. Szymon wypuścił dawno wiosła z rąk, wyciągnął ramiona i woła: „Jehowo!“ Odpowiedzią na to z góry są pioruny, więc rybak pada na twarz i jęczy:

— On nie pomaga, wiedziałem o tem. Nikt, nikt nie pomaga.

Jakób woła mistrza. Strach rzuca go na dno. Jezusa niema. W dzikim lęku woła go po imieniu.

— Zginął, jesteśmy zgubieni!

Jan jest spokojny i patrzy w ciemność, ogarnięty szałem czy zachwytem.

Woda tryska im w twarz, iż prawie oszołomieni trzymają się kurczowo chwiejącej się belki.

— Gdyby Bóg był z nami! — woła nagle Jakób i w śmiertelnej trwodze zmagają się z burzą.

Jan, marzyciel, nie podnosi nawet ręki. Nachylony nad krawędzią patrzy uparcie w dziki, szary zamęt. Tam w mgle spostrzega świetliste koło, a w niem pojawia się postać, która zbliża się i oto patrzcie, po morzu kroczy powoli w stronę statku Jezus. Pod jego stopami wygładzają się fale, morze rozjaśnia się szeroko, na dalekim brzegu wyłaniają się skaliste wieże Hiposu, a za niemi zachodzi wieczorne słońce. Jezus siedzi między swoimi i wyrzuca im w łagodnych słowach małoduszność.

— Byłem wpośród was! Ślepy jest ten, który widzi, a nie wierzy, a widzącym jest ten, który wierzy, nie widząc.

* * *

Z świętej ciemności wyłania się znów ziemski blask i ukazuje mi życie w Magdali nad jeziorem. Ruch tam wielki. Rybacy i wioślarze, pasterze i rzemieślnicy z miasta i ludzie z okolicznych wsi i gór zebrali się na placu, gdzie spławiają łodzie. Rozeszła się bowiem wieść, że nadchodzi nowy prorok. I znów między tłumem chodzą natrętne gadki: Jest to wschodni czarnoksiężnik, mający cudowną moc i leczący chorych. Wydarzyła się więc w Kafarnaum ucieszna historja. Był tam prorok i przyniesiono do niego na łóżku paralityka, żebraka, który żył z swoich sparaliżowanych nóg. Otóż prorok nie może znieść żebraków, którzy wystawiają na widok swoją chorobę, udają ubóstwo, aby się o nic nie troszczyć a dobrze żyć. Takim odbiera prorok chętnie narzędzie żebractwa, a mianowicie ułomność, aby ich zmusić do pracy. Wyleczył więc paralityka, powiedział: „Teraz idź i weź z sobą łoże.“ A chory nie był tą odmianą zachwycony: tam przyniesiono go na łożu, a z powrotem musi nieść łoże sam.

Inni twierdzą, że prorok jest Egipcjaninem i umie przepowiadać. Na to ktoś dowcipnie odpowiada, że gdyby nie umiał przepowiadać, nie byłby prorokiem.

— Na ojca Abrahama! — woła jakiś stary przewoźnik — gdyby prorocy przepowiadali zawsze prawdę, ziemia zanurzyłaby się i zatonęła dawno w morzu! I ja mogę przepowiedzieć: Jeśli on przyjdzie, to będzie tutaj.

— To będzie wkrótce tutaj — śmieje się jakiś chłopak rybacki — bo już przybywa.

Łódź przybija, kołysząc się na falach, a we-

wnątrz siedzą czterej ludzie.

— Który to jest?

— Ten z czarną brodą.

— Hii, zawracaj głowę osłu swoimi głupstwami. Ten z brodą, to jest Jakób, wioślarz z doliny Jordanu.

— A więc to ten z łysiną.

— Ależ Assanie! Znacie chyba rybaka Szymona z Betsaidy, który raz w miesiącu zjawia się tutaj na targu, aby swoimi niskimi cenami psuć drugim interes.

Gdy wysiadają na brzeg, towarzysze ledwie mogą utorować mistrzowi drogę przez ciżbę. Ludzie patrzą na niego i są rozczarowani. Ten prorok jest im zbyt bliski. Gdyby choć nim był rzeczywiście. Cieśla z Nazaretu. A więc przecież! „No, ten nam zamieni wiarę. Za starą da nam nową.“ — „Stara ma już dziury.“

Jak to ludzie zwyczajnie plotą i drwią.

Coraz gwałtowniej ciśnie się tłum, gdyż niektórzy przybyli zdaleka i chcą go zobaczyć i usłyszeć zbliska.

Nadarzyła się ku temu dobra sposobność dzisiejszego wieczora. Zciemniło się już; na palu zatknęli smolną pochodnię, rzucającą smętne, czerwone światło na rojący się tłum. Jezus chce iść szybko naprzód i nie może. Jakaś ścigana kobieta padła mu do nóg. Młoda kobieta z rozpuszczonemi włosami, drżąca ze strachu, klęczy przed nim i obejmuje jego nogi. Jezus pochyla się ku niej, chce ją podnieść, ale ona objęła kurczowo jego nogi i nie może się uspokoić. Teraz wołają do niego:

— Co chce od niego ta uwodzicielka, ta betańska żmija!

Jezus kładzie dłoń na jej głowę. Stoi wyprostowany i pyta głośno:

— Któż jest ta kobieta, że macie prawo znieważać ją?

— Kto ona? Spytaj syna Joba. Poślubiła przed kilkoma tygodniami starego, dzielnego syna Joba, przyjaciela swoich rodziców. Oszukuje go i ugania za młokosem! Ta ladacznica!

Nie można przytoczyć wszystkiego, co nagadali na bezbronną istotę. Właśnie kobiety krzyczały najgłośniej. Szczególniej jedna, żona rybaka, jest tak dalece zgorszona, że drze swoje szaty i strzępy rzuca na grzesznicę. Cokolwiek tylko wynaleźć mogła dzika złość — to tryska z ust oskarżycielki, która wywodzi piskliwą skargę, że takie stworzenie hańbi imię kobiety i żąda zapalczywie, aby występną ukamienowano. Wkrótce tłum krzyczy za nią: „Ukamienować ją!“ i młody tragarz, stojący blisko żony rybaka, pochyla się, aby chwycić kamień i rzucić nim na grzesznicę. Jezus zasłania ją ręką i woła:

— Nie dotykajcie jej! Kto z was jest bez grzechu!? niech rzuci na nią kamień.

Niechętnie spuszczają ramiona, a ci, co trzymają w rękach kamienie, opuszczają je skrycie na ziemię. Ale Jezus zwraca się do ściganej kobiety i powiada:

— Nie uczynią ci nic złego. Powiedz mi tylko, co się stało.

— Panie! — jęczy i znowu obejmuje jego nogi — zgrzeszyłam!

I łka i płacze, iż nogi jego wilgotne są od jej łez.

— Zgrzeszyłaś! — powiada łagodnym głosem, który wzrusza serce wielu. — Zgrzeszyłaś. A teraz ci żal. I nie próbujesz oczyścić się. Wstań, wstań! Grzech zostanie ci odpuszczony!

— Co? Jak? — mruczy tłum — cośmy słyszeli? Wybacza wiarołomnej? Maże jej hańbę? Doprawdy, ten prorok znajdzie mir.

Gdy Jezus słyszy ich niezadowolenie, mówi głośno:

— Wiedźcie, że jestem jak pasterz. Pasterz idzie, aby szukać zaginionych owiec. Nie zapędza ich do wilków, ale sprowadza łagodnie do swojej stajni, aby je uratować. Nie należy się radować dumnymi, ale gotowymi do skruchy. Tamci upadają, ci wznoszą się na wyżyny. Posłuchajcie, co wam powiem. Był raz człowiek, który miał dwóch synów. Jeden syn jest dobrego usposobienia i strzeże majętności. Drugi jest krnąbrny i pewnego dnia powiada do ojca: „Daj mi część mojej majętności, chcę wyruszyć w obce kraje!“ Ojciec jest tem zasmucony, ale ponieważ młodzieniec nalega, daje mu jego część i syn odchodzi. Gdy jeden brat pracuje w domu, pomnaża mienie i oszczędza, drugi żyje w dostatku i przyjemnościach, trwoni na szerokim świecie swoje mienie i ubożeje do tego stopnia, iż musi się najmować jako poganiacz świń i jeść z wieprzami wytłoczyny. Staje się chory, nędzny i wzgardzony od świata. Wtedy przypomina sobie ojca, którego najpodlejszy najemnik żyć może w dosycie. Zbiedzony i poszarpany wraca do domu, klęka przed ojcem i powiada: „Ojcze, zbłądziłem ciężko! Nie

jestem godzien zwać się twoim synem, pozwól mi więc być twoim najgorszym najemnikiem." Wtedy ojciec podniósł go, przycisnął do swojej piersi, kazał go odziać w kosztowny strój, zabić cielę i napełnić dzbany winem, aby wyprawić ucztę i sprosił znajomych, aby się z nimi radowali. Wszyscy przybyli, prócz drugiego syna. Ów każe oświadczyć: Jako przez całe życie służył ojcu wiernie, a nie zabito dla niego ani cielca ani kozła. Woli sam w izbie jeść chleb i figi, niż siedzieć przy stole biesiadnym z próżniakiem i marnotrawcą. Na to każe mu powiedzieć ojciec: „Zazdrosny człowieku! Twój brat był stracony i uratował się. Uważaj, aby twoja zazdrość nie zgubiła i ciebie. Chodź i raduj się ze mną!" Przeto powiatam wam, że więcej cieszy się ojciec niebieski z nawróconego grzesznika niż z dumnego sprawiedliwego.

Teraz wystąpił z tłumu faryzeusz, z godnością owinął płaszczem okazałe ciało i wypowiada zdanie żydowskiego mędrca:

— Tylko sprawiedliwy istnieje przed Bogiem!

Na to odpowiada Jezus:

— Czy nie znacie przypowieści o owym celniku, który klęczał na końcu świątyni i nie miał odwagi zbliżyć się do ołtarza, ponieważ był biedakiem? Ale przy ołtarzu stał pyszny faryzeusz i modlił się: „Panie Boże, jakże ci dziękuję, że nie jestem takim biedakiem, jak ów stojący w kącie." Gdy wychodzą z świątyni, serce celnika pełne jest łaski a faryzeusza pozostało puste. Zrozumieliście to?

Na to niektórzy ustąpili się. Jezus pochyla się do grzesznicy i powiada:

— Wstań, pokorna dzieweczko, i odejdź w pokoju!

Ludzie uspokoili się trochę, ale w duszy nurtuje ich obawa.

Tymczasem Jakób chce ugodzić się z rybakiem o zapłatę za przejazd. Szymon zasłania twarz płaszczem i powiada:

— Nie drwij. Dość zostałem ukarany. Wstydzę się mojej trwożliwości. Teraz widzę, że nie jestem rybakiem ani wioślarzem, ale nieużytecznym człowiekiem. Czy wiesz, co uczynił ze mną ten człowiek, którego nazywacie mistrzem? Kto go widział podczas burzy i słyszał jego mowy o grzesznikach, ten od niego nie odejdzie. Nie, takiego jeszcze nie widziałem. Gdyby byli jeszcze tutaj Manassus i jego córka Beka i mój brat Andrzej!

— Przyjdą i oni — powiada Jakób.

— Jak to jest, Jakóbie — zapytuje rybak — że możesz przebywać z tym człowiekiem i pielgrzymować z nim?

— To jest całkiem proste, mój przyjacielu. Idę za nim. Moje nędzne mienie może brać, kto chce: Ja idę za nim.

— Ale dokąd, Jakóbie, dokąd wędrujecie?

A Jakób odpowiada:

— Do państwa bożego, na wieczne życie.

Teraz rybak dotyka niepewną ręką ramienia Jakóba i powiada:

— I ja chcę z wami.

Zaledwie upłynęła godzina, a powstaje nowa wrzawa. Dolatuje z domu wyplatacza sieci. On

i jego sąsiad ciągną żonę pierwszego, tę samą, która tak bardzo zgorszyła się przedtem grzesznicą. Jeden chce ją zawlec do proroka, ale wyplatacz sieci mówi: „W tych sprawach jest on złym sędzią!“ i chce ją zaciągnąć do jeziora. Ale ludzie popychają ją do Jezusa i opowiadają, co się stało. Pochwycono tę niewiastę z tragarzem Joelem. Obwiniona wyrywa się i przeczy gwałtownie, gryząc trzymającego ją męża w rękę. Przychodzą inni i potwierdzają oskarżenie, że kobieta lży jak najęta i zmusza męża do milczenia, wypominając mu jego występki.

Jezus płonie gniewem. Woła głośno:

— Biada obłudnikom, wiarołomnym i nierządnym! Albowiem będą sądzeni!

Wtedy wrzeszczy przyłapana niewiasta:

— Mówisz o sądzie? A sam nie jesteś sprawiedliwy! A może to sprawiedliwe, jeśli z dwu kochających jedną błogosławisz, a zasię drugą przeklinasz?

A Jezus na to:

— Zaprawdę powiadam wam: Ci, co pokutują, będą zbawieni, a ci, co czynią inaczej, będą potępieni.

Potem odwraca się i w zamyśleniu kroczy wzdłuż brzega, ku cichej nocy. A za nim idzie rybak Szymon. Dotyka długiego jego rękawa i błaga:

— Panie, weź mnie z sobą!

Pyta go Jezus:

— Czego szukasz u mnie, rybaku Szymonie? Jeśli ktoś szuka szlifowanego kryształu a znajdzie surowy diament, wówczas zniechęca się, albowiem

nie zna wartości. Popatrz na tę upartą kobietę, powiada ona, że nie jestem sprawiedliwy, ponieważ jestem surowy. Jutro mogą tak zawołać dziesiątki nieprawnych, pojutrze stu, a niebawem ten, którego dziś chwalą, może być otoczony zawziętymi wrogami, a wraz z nim ci, co mu sprzyjają. Słowo moje burzy żądnych panowania, a pokora moja drażni możnych. Nasienie, które sieję, zniszczą ogniem i mieczem. Szymonie, nie widziałem, jakobyś był najsilniejszym na jeziorze. Żądam wiele. Jeśli chcesz być ze mną, musisz porzucić wszystko, co jest teraz twoje. Mieć świat a zarazem mnie, tego nie zdołasz. Jeśli możesz wyrzec się, zapomnieć i cierpieć, pójdź za mną. A jeśli możesz umrzeć, pójdź za mną.

— Panie, idę z tobą.

— Jeśli możesz to, tedy brzemię jest lekkie. Posiądziesz wtedy spokój, jakiego nikt na świecie nie znajdzie.

— Panie! — woła głośno Szymon — idę z tobą!

Słyszeli to również inni, którzy szli za nim wzdłuż jeziora. Dziwią się słowom, które słyszą, a grzesznica, którą uratował, nie chce od niego odejść. W dali słychać jeszcze krzyk potępionej. Potem tłum rozprasza się powoli. Jezus szuka noclegu dla siebie i swoich uczni.

* * *

W jakiś czas po owym dniu zebrało się kilku z owych, którzy byli wśród tłumu w Magdali, w domu arcybożnika Jaira. Odbywa się czuwanie przy zmarłym. W środku izby na długim stole

leży młodziutka córeczka arcybożnika, obłóczona w białe płótno. Arcybożnik jest tak zbolały, że przyjaciele jego nie mogą go pocieszyć. Krzyczy z żalu, wymyśla Bogu i przeklina ludzi, którzy nie mogą mu pomóc. Wtedy oświadczają niektórzy, że należy przywołać Jezusa z Nazaretu, którego widzieli odpoczywającego wraz z swoimi uczniami pod cedrami Hirahu. Opowiadają o cudach, które czynił w ostatnich dniach. Na drodze do Kafarnaum leżał jakiś człowiek z synkiem, opętanym przez ducha bezwładu. Dziecko miało upaść na ziemię z zapienionemi ustami i zacisnęło zęby i palce tak kurczowo, że ojciec chciał je z rozpaczy udusić. Był już z dzieckiem u uczniów Jezusa, ale ci byli bezradni. Poszedł więc do mistrza i krzyknął do niego gniewnie: „Jeśli potrafisz, pomóż mu!“ — „Nie dopuszczaj, abyśmy wszyscy przez niego cierpieli“, miał odpowiedzieć prorok i uzdrowił dziecko. I opowiadają wiele innych rzeczy. Z drugiej strony jeziora miał wrócić mowę głuchoniememu, a w Betsaidzie wrócić wzrok ślepemu. Przedewszystkiem zaś tam w Naimie wiedzą wszyscy, jak wskrzesił młodzieńca, którego wynoszono już z domu na marach! Jest tu pewien właściciel winnicy, który zna ową starą kobietę, co błagała na klęczkach proroka, aby uwolnił ją od jej choroby. Na to rzekł Jezus: „Jesteś stara i chcesz jeszcze żyć! Cóż ci się tak bardzo podoba na ziemi? A ona odpowiedziała: „Na tej ziemi nie podoba mi się nic. Nie chcę jednak prędzej umierać, zanim nie przyjdzie mesjasz, który mi otworzy niebo.“ Po tych słowach wstała i poszła. Takie rzeczy czynił, ale

nie lubi, aby o tem mówiono. Tako opowiadają sobie ludzie, zgromadzeni u zwłok dzieweczki.

Wśród nich jest również pewien stary człowiek z rodzaju tych, którzy mówią wszędy o swojej mądrości. Oświadcza on, że ów którego miłuje lud, czyni łatwo cuda. A ktoś inny powiada: „Otóż właśnie miłość jest cudem.“

Po tych rozmowach postanawiają poprosić proroka do domu.

Jezus wszedłszy, widzi żałobne zebranie i arcybożnika Jaira, z żalu rozdzierającego na sobie szaty. Spostrzega dziecko, ułożone na długim stole i zapytuje:

— Poco przywołaliście mnie? Gdzie jest nieboszczka?

Arcybożnik rozwija płótno, ukazując leżącą dziewczynę. Jezus patrzy na nią, podnosi nieco rączkę, dotyka się jej i kładzie łagodnie z powrotem.

— Dzieweczka nie umarła — powiada — ale śpi.

Na to jęli się niektórzy śmiać. Wiedzą przecież, co jest żywe a co umarłe!

Jezus zbliża się i powiada:

— Poco przywołaliście mnie, jeśli mi nie wierzycie? Jeśli przyszliście tu, aby być koło zmarłej, nie macie tu nic do czynienia.

Gniewnie wychodzą z izby. Jezus zwraca się do ojca i matki:

— Nie smućcie się. Przygotujcie córeczce jakąś strawę.

Potem bierze dziecko za zimną rękę i powiada cicho:

— Dzieweczko! Dziewieczko! Wstań, już jest ranek!

Matka wydaje okropny okrzyk radości, bo dziecko otwiera oczy. Jezus stoi obok, a oni słyszą jak powtarza:

— Wstań, dzieweczko!

Gdy dzieweczka, mająca dwanaście lat, stoi na nogach i kroczy po podłodze, rodzice rzucają się niemal na Jezusa, aby mu podziękować. Ale on wzbrania się:

— Znam waszą podziękę. Będziecie czynić to, czego nie chcę. Pójdziecie na krzyżujące się drogi i zawołacie: Wskrzesił nasze dziecko! A wtedy przyjdą i zażądają, abym leczył ich ciała, gdy ja przyszedłem poto, aby leczyć dusze. I zażądają, abym wskrzeszał umarłe ciała, gdy ja jestem poto, aby wieść ich dusze do życia wiecznego.

— Panie, jak to mamy rozumieć?

— Gdy przyjdzie czas i przekonacie się, jak mało znaczy ziemski kształt i doczesne życie, zrozumiecie. Jeśli wskrzesiłem wasze dziecko, jak powiadacie, jaką podziękę jesteście mi dłużni? Czyli wiecie, co czyni ten, który człowieka zadowolonego spycha w otchłań nędzy? Dzieweczka ta będzie dziewicą, matką, staruszką. Straci niebo i będzie go szukała z lękiem. Dobrze, jeśli przyjdzie wtedy do mesjasza i poprosi go:. Umarła mi dusza, panie, wskrześ ją do wiecznego życia. Jeśli jednak nie przyjdzie — lepiej byłoby, gdyby się dzisiaj nie obudziła.

Matka mówi pokornie:

— Co ty czynisz, mistrzu, musi być słuszne.

Jezus wychodzi. Zostali jego zwolennikami, aż po dni prześladowania.

* * *

W tym samym czasie na drodze do Tyberjady nie wiodło się dobrze celnikowi Lewi. Współziemianie jego wyprawili mu pewnego dnia na górze nieco hałaśliwą serenadę. Na dachu jego domu dali Lewiemu trzaskiem desek i dźwiękiem panewek dobitnie do poznania, jak go poważają od czasu, gdy w służbie pogan ściąga cło uliczne, a nawet w szabat domaga się pieniędzy.

Chudy celnik siedzi w kącie swego domu i widzi, jak sypie się kurz z dachu, zdającego się uginać pod silnemi uderzeniami. Widzi również, jak zaglądająca przez okno jutrzenka rozsnuwa przez izbę jasne pasmo, w którem cząsteczki kurzu tańczą jak małe gwiazdki. Słyszy, widzi i milczy. Gdy ludzie wyhałasowali się na dachu, skaczą na ziemię, robią jeszcze wymowne gesty w stronę okna i odchodzą.

Z bocznej izby wychodzi teraz mała, ruchliwa niewiasta, podbiega do mężczyzny i mówi:

— Dobrze ci tak, Lewi!

— Wiem o tem, Judyto — odpowiada Lewi i wstaje. Postać jego jest tak smukła, iż musi pochylić głowę, aby nią nie uderzyć o powałę. Broda jego zwiesza się w cienkich kosmykach, nie ma jeszcze ani jednego siwego włoska, chociaż twarz jego jest szara i znużona.

— Ukamienują cię, Lewi, jeśli zostaniesz pachołkiem Rzymian! — woła kobieta.

— Nienawidzili mnie i przedtem, gdy nie byłem jeszcze pachołkiem Rzymian — powiada Lewi. — Od owego święta kuczek, na którem powiedziałem, że mamona i żądza użycia odtrąciły wybrany naród od Boga Abrahama i rzuciły go pod panowanie Jowisza, od owego dnia nienawidzą mnie.

— Sam przecież zbierasz mamonę! — wyrzuca mu Judyta.

— Właśnie dlatego, że mnie nienawidzą, muszę zdobyć siłę, na której mógłbym się oprzeć, gdy nie mam koło siebie nikogo. Jest to siła, którą wzgardzony pokonywa najbardziej zawziętych nieprzyjaciół. Nie rozumiesz mnie? Popatrz!

Schyla się w ciemny kąt izby i zdejmuje stary gałgan, ukazując kamienne, podobne do moździerza naczynie.

— Same rzymskie pieniądze! — dodaje, mlaskając językiem — wkrótce stworzę z nich małą armję. A gdy urośnie, nie będą sąsiedzi wspinać się na dach, aby wydzwaniać Lewiemu skorupami pieśń pochwalną. Przyjdą wtedy z cymbałami i harfami.

— Lewi, powiem ci, kim jesteś — woła niewiasta i wszystkie muskuły drgają na jej czerwonej twarzy.

— Jestem celnikiem, wiem o tem — odpowiada niedbale Lewi i znowu kładzie starannie gałgan na garnek z pieniędzmi. — Znienawidzony celnik, który wydziera swojemu ludowi pieniądze z worka, aby oddawać je obcym, który pobiera cło uliczne od żydów, chociaż sami wybudowali

tę drogę. Takim jestem, moja Judyto! A dlaczego stałem się rzymskim sługą? Oto dlatego, aby zdobyć pieniądze i móc ostać się wśród tych nienawidzących mnie ziomków.

— Lewi, jesteś sknerą — powiada Judyta — zagrzebujesz pieniądze w kamiennej dziurze, miast kupić mi grecki płaszcz, jaki nosi Rebeka i Amalja.

— Zatem zostanę sknerą — odpowiada Lewi — bo greckiego płaszcza nie kupię ci. Cudze stroje spychają nas żydów bardziej w otchłań zatraty, niż mój rzymski urząd i moje rzymskie pieniądze. Strojenie się, pycha i wesołe życie, oto jest bezbożność, a nie urząd celnika na drodze. Granica celna nie jest zła w czasach, gdy lud nasz poczyna uciekać z swego kraju, wynosząc z niego dobro, a wnosząc zło. Od czasu ustawy Mojżesza o rolnictwie nie zaprowadzono jeszcze lepszego zarządzenia, jak rzymskie cło drogowe. Co mają do czynienia żydzi na drodze?

— Wkrótce zobaczysz — mówi Judyta. — Jeśli za dwa dni od tej chwili nie otrzymam greckiego płaszcza, zobaczysz mnie na drodze, ale z tyłu.

— Nie jesteś brzydka i z tyłu — odpowiada figlarnie Lewi.

Na dworze puka młotek. Celnik spogląda przez okno i rozkazuje żonie otworzyć rogatkę. Judyta wychodzi, podnosi przeraźliwy krzyk i nie otwiera rogatki. Drogą przybyło kilku ludzi, stają przed rogatką, a Judyta żąda uiszczenia cła. Występuje mały człowiek z łysiną. Jest to rybak z Betsaidy. Oświadcza, że nie posiadają pieniędzy. To wzbu-

dza w niej gniew, gdyż postanowiła w skrytości zbierać odtąd pieniądze na własną rękę, aby zdobyć swoją grecką purpurę, jaką nosi Rebeka i Amalja.

Lewi, usłyszawszy jej krzyk, wychodzi i powiada:

— Puść ich, Judyto. — Widzisz, że to nie są przekupnie. Nie popsują drogi, bo mało już mają podeszwy na nogach.

Na to Judyta zamilka, ale spogląda ukradkiem na jednego z mężczyzn, który stoi smukły i wyprostowany w swoim błękitnym płaszczu, z spadającymi na ramiona lokami, zwraca ku niej blade swoje oblicze i patrzy na nią poważnie. Co za człowiek! Może nie podobało mu się coś u mnie, myśli. A może nie widzi na mnie greckiego płaszcza, jaki noszą już wszędzie inne kobiety?

— Dokąd prowadzi droga? — pyta celnik wędrowców.

— Dzisiaj wyszliśmy z Magdali — odpowiada rybak Szymon.

— Pora więc, abyście nieco odpoczęli w moim cieniu. Słońce piecze dziś wcześnie.

Gdy Judyta widzi, że istotnie gotują się do odpoczynku, spieszy szybko do izby, wdziewa na siebie barwne chusty, lśniący naramiennik i sznur pereł, który nabyła niedawno od sydońskiego handlarza. Pojawia się znów i wnosi figi i daktyle.

Wysmukły, blady mężczyzna — jest to Jezus — podaje owoce dalej, nie wziąwszy dla siebie nic. Przenikliwy jego wzrok niepokoi ją. Może uda się go zmienić. Jeszcze powabniejsza i śmielsza w swej zalotności staje przed nim.

— Niewiasto — powiada wkońcu — tam na miedzy rośnie oset. Posiada kolce na łodydze i kwieciu, pokryty jest kurzem przydrożnym i zżarty przez owady. Ale piękniejszy jest niż pyszny człowiek.

Judyta drgnęła. Biegnie z powrotem do domu i zatrzaskuje za sobą drzwi, aż jęczą ściany. Celnik rzucił na Jezusa przychylne spojrzenie i wzdycha.

Wtedy mówi do niego Jezus:

— Miłujesz ją?

— Jest mu przecież najbliższa! — zauważa jakiś wesoło spoglądający człowiek z pielgrzymiej gromadki. Figlarne słowo odnosi się do wczorajszej mowy Jezusa o miłości bliźniego.

Lewi potakuje z namysłem głową i mówi:

— Tak, moi ludzie, jest ona moim najbliższym — wrogiem.

— Jest twoją małżonką? — pyta Szymon.

Nie odpowiadając na to, rzecze celnik:

— Jestem celnikiem — a więc jestem znienawidzony dokoła, jak sięgnie oko. Ale wszyscy ci razem nie wyrządzają mi tyle przykrości, co ten jeden bliźni w moim domu.

Jeden z pielgrzymów kładzie dłoń na jego ramieniu:

— Uczyń więc tak, przyjacielu, aby nie była twoim bliźnim. Chodź z nami. I my porzuciliśmy nasze niewiasty i wiele innych rzeczy i poszliśmy za nim. Nie znasz go? To jest człowiek z Nazaretu.

Celnik wpada w osłupienie. Oto jest ten człowiek, o którym mówi cały kraj, prorok, cudo-

twórca? Ten młodzieniec? Który tak ostro występuje przeciw Żydom! Czyli i ja, myśli Lewi, nie mówiłem niemal tak samo podczas owego święta kuczek? I podrażniłem tem ludzi. A tego słuchają z czcią i biegną za nim. Czyli i ja to uczynię? Cóż mnie powstrzymuje? Czyli mnie, wzgardzonemu, nie wypowiedzą lada chwila służbę? Czyli nie wypędzą mnie z domu tak samo dziś jak jutro? A czyż niewiasta moja nie chce być podziwiana na drodze z tyłu? Z jednem tylko nie mogę się rozłączyć, ale mogę to wziąść ze sobą.

Zwraca się więc do proroka, podaje mu pozostałe owoce i powiada:

— Kochany mistrzu, bierz!

Jezus mówi powoli i łagodnie:

— Miłujesz mnie, celniku?

Celnik poczyna drżeć, omal nie wypuściwszy z rąk owoców. To słowo! I to spojrzenie! Nie może odpowiedzieć.

— Jeśli mnie miłujesz, to choć ze mną i znoś z nami dolegliwości.

— Radości, panie, radości! — woła Szymon.

W owej godzinie ciągną na drodze muły ciężki wóz. Poganiacze smagają brutalnie zwierzęta pętlicami sznurów i klną przytem, że znów jest rogatka celna. Celnik odbiera od nich przepisaną ilość pieniędzy i zakazuje im znęcać się nad zwierzętami. Odpowiedzią jest uderzenie batem w twarz. Gniewnie podnosi Lewi swoje ramię na poganiacza. Wtedy zbliża się Jezus, chwyta go za ramię i mówi:

— Czy ów uczynił krzywdę?

— Krzywdę!

— To nie czyń mu jej.

Wtedy woła dowcipny człowiek:

— Jeśli idziesz z nami, celniku, możesz mieć dwoje policzków, prawy i lewy. Ale nie wolno ci mieć ręki, słyszysz?

Uwaga ta miała się odnosić do pewnego powiedzenia mistrza, który chętnie wypowiada, gdy bezbronny i swobodny stoi naprzeciw gniewnego nieprzyjaciela. Niektórzy karcą jego słowa surowem spojrzeniem.

— Ależ to prawda! — śmieje się człowiek.

Mistrz powiada:

— Pozwólcie Tadeuszowi mówić, co chce. Przecież wczoraj zniósł spokojnie gniew Araba.

— Tak, ponieważ nie znaleźli pieniędzy, pobili Tadeusza.

— Ale gdyby je znaleźli u nas, musielibyśmy się bronić — rzecze celnik. — Inaczej pochwalilibyśmy rabunek.

— Celniku, widać, że nie znasz zupełnie mistrza, powiada człowieczek, którego wołano Tadeusz. — My i pieniądze!

Na to mówi Jakób:

— Nie warto o tem mówić, a cóż dopiero spierać się o to. Przemocą nie zaprzeczysz dokonanemu rabunkowi. Jeśli się oprzesz, możesz łatwo uczynić napastnika mordercą.

Po tej rozmowie celnik wchodzi do domu. Postanowienie jest powzięte. Spokojnie chce się pożegnać z żoną, potem włożyć pieniądze do woreczka i przywiązać do ciała. Pierwsze nie stało się, ponieważ Judyta uciekła tylnemi drzwia-

mi i drugie również, ponieważ Judyta wypróżniła kamienne naczynie, a pieniądze wzięła z sobą.

Zasmucony Lewi wyszedł z domu cłowego, stanął przed Jezusem i wzniósł w górę ręce:

— Jestem gotów, panie, weź mnie z sobą!

Mistrz mówi:

— Lewi — Mateuszu, i ty jesteś mój!

Tadeusz nadchodzi z owocami:

— Bracie, posil się po raz ostatni przy swoim stole. Myśl odtąd o tym, który karmi ptaki i stroi kwiaty.

Gdy kroczą raźno zakurzoną drogą, a nowy uczeń opowiedział im o swojej stracie, woła wesoło Szymon:

— Masz szczęście, Lewi-Mateuszu! Z czem inni rozstawali się tak ciężko, tobie poszło jak z płatka.

Dom celnika stał w owym dniu pusty, a przechodnie dziwili się, że droga między Magdalą a Tyberjadą jest dzisiaj wolna.

* * *

W ten sposób zebrało się koło cieśli nazareńskiego coraz więcej uczniów i przyjaciół, którzy chcą mu towarzyszyć w jego wędrówkach po kraju. Bo Jezus jest zdecydowany. Myśli tylko o tem, aby jako wędrowiec nieść ludziom swoją nowinę o Ojcu niebieskim i królestwie bożem. Wybrał sobie szczególniej kilka z pomiędzy uczniów, aby przygotowywali dla niego wszędzie przyjęcie i nocleg. Obowiązkiem ich jest również wprowadzanie ładu na zgromadzeniach ludu; a tym, którzy nie mogli zrozumieć słów mistrza,

mieli uczniowie służyć jako wykładacze, o ile sami pojęli nową naukę. Do tych wysłanników należy Jan cieśla, który był niegdyś uczniem Jezusa, bliski krewny mistrza, jak mówi pismo. Inni z jego uczniów nazywali się Jakób, cieśla okrętowy, Szymon, Andrzej i Tomasz, rybak, Lewi-Mateusz, celnik, Tadeusz, rymarz, następnie — pamięć moja jest słaba — Jakób, pastuszek, Szymon, wioślarz, Filip z Jerycho, Bartłomiej, kowal i Judasz, lichwiarz z Kariotu. Podobnie jak Szymon i Mateusz, porzucili oni wszyscy swoje zawody i urzędy, aby pójść z bezgranicznem poświęceniem za nim, którego nazywają swoim panem i mistrzem.

Jakże więc odważę się przedstawić mistrza! Osobę jego trudno opisać. Nikomu nie pozostała obojętna, kto się kiedyś z nią zetknął. Oczarowuje nietylko swoją pokorą i łagodnością, ale jeszcze bardziej swoją energją i swoim gniewem, który wybucha świętym płomieniem, jak u nikogo na świecie. Ludzie nie mogą się napatrzyć postaci człowieka o wysmukłej, wysokiej postawie. Oto jest jego głowa z lekko spowitymi, brunatnoczerwonymi lokami, spadającymi z boku i z tyłu aż na ramiona. Oto jest jego szerokie, białe czoło, którego w cieniu grzywy nie może opalić żadne słońce. Podobnie jak u Greków, zarysowuje się prosta i silna linja nosa, a pełne, czerwone usta ocienione są miękką brodą. Oto są oczy, te wielkie, mroczne oczy z przedziwnym ogniem. Jest ogień, co płonie w zwyczajny dzień tkliwie i gorąco, ale w godzinę objawienia błyska wspaniałym żarem szczęścia, albo ciska skry gniewu,

tak straszliwie, jak upalne wiatry letnie Libanonu. Dla tego spojrzenia nazwało go wielu „okiem ognistem". Nosi skromną, długą szatę, lecz nie nosi ani kapelusza ani kija. Na nogach ma zwyczajne sandały, które niekiedy zapomina związać, albowiem w swojem natchnieniu nie czuje twardych dróg ziemskich. Tak więc wędruje po kamieniach pustyni jak po pokrowcach kwitnących dolin. Jeśli kiedy towarzysze jego jęczą wśród burzy i upału, a członki ich szarpią ostre kamienie i ciernie — on jest spokojny i milczący. Nie szuka umartwień jak owi święci wschodu, ale też nie lęka się ich. Jest wrogiem zewnętrznych wystąpień, ponieważ odwodzą od życia duchowego i gładką swoją formą mogą obudzić fałszywy pozór wypełnienia. Chętnie korzysta z zaproszenia weselników i weseli się wraz z nimi; w czasie uczty je i pije swobodnie aż do granic umiarkowanej sytości. Współbiesiadników uracza opowiadaniem przypowieści i legend, w których umie podać ludziom najgłębsze objawienia. Od czasu, gdy opuścił mały domek w Nazarecie, nie posiada żadnej ziemskiej rzeczy. Jeśli czego potrzebuje w swych wędrówkach dla siebie i swych uczniów, żąda tego od bogaczy. Zachowanie jego jest niekiedy szorstkie i przesycone gorzką ironją, nawet tam, gdzie litościwie naucza i pomaga. Nawet wobec swoich uczniów, których gorąco kocha — szczególniej delikatnego Jana — pełen jest powagi swego posłannictwa, aby z słabych ludzi uczynić gorliwych mężów bożych. Oddziela to co mu dogadza, od tego czego nie lubi tak surowo, iż nawet ślepy mógłby to poznać. Nie pochwala, gdy kto

łączy dobre ze złem. Najbardziej nienawidzi wykładaczy słów, obłudników i ludzi podstępnych, woli już raczej jawnych grzeszników. Dla swojej osoby ustępliwy, w nauce nieugięty, oto są główne rysy jego osoby. Odsuwa od siebie wszelką osobistą niechęć, wszelką nienawiść, wszystko co może zatruwać serce. Dusza jego, to zaufanie i dobroć. Tak wysoko ceni dobroć, a tak surowo potępia samolubstwo, że jeden z jego uczniów może powiedzieć, że grzech z dobroci wiedzie prędzej do Boga, niż czynienie dobra z egoizmu. Wrogie objawy i niechęć są dla niego źródłem szczęśliwości. Szczęśliwość! Czyż słowo to nie przyszło na świat z Jezusem?

— On mówi zawsze o szczęśliwości — powiada raz ktoś do Jezusa — co rozumiesz przez szczęśliwość?

A Jan:

— Kiedy uzyskasz zupełny spokój, iż nie zakłóci twojej duszy żadna światowa żądza ani żadna gorycz, iż wszystko stanie się w tobie miłością i ufnością, jak gdybyś spoczywał w wieczności Boga i nic ci już nie zagrażało — oto jest prawie to, co się zwie szczęśliwością. Ale nie wypowie tego żadne słowo, jeno ten, kto pojmie, wie.

Przeto jest w Jezusie dumna odwaga wspólności z Bogiem, którą obdarza każdego, kto z nim idzie. Należałoby jednak powiedzieć: Gdzie Jezus jest najbardziej boski, tam jest najbardziej ludzki. W radosnem wyrzeczeniu się żądz światowych, mienia ziemskiego i troski doczesnej uwalnia się od tego brzemienia, które unieszczęśli-

wia najwięcej ludzi. W wspólności z Bogiem jest prostodusznem dzieckiem, a zarazem mądrym artystą życiowym. Wolny jest od obawy przed przypadkowością i niebezpieczeństwami, nie troszczy się o stratę i upadek. Wszystko idzie podług jego woli, ponieważ jest to wola Boga i używa życia z prostotą i czystem sumieniem. Czy to nie jest prawdziwa ludzkość? Czyli ta radosna ludzkość nie prowadzi właśnie do boskości?

Tak to wędruje pod owem niebem, po starodawnej ziemi, nazwanej świętym krajem aż po koniec czasu.

Aż oto nadchodzi ów dzień. Ów wielki dzień szabatu.

Długo koczowały szare, wilgotne opary nad dolinami Galilei, na wzgórzach Libanonu zwieszały się ławice mgieł z mroźnym dreszczem deszczowym. A po owych ponurych dniach wstaje czysty, jasny ranek wiosenny. Z kamiennego wzgórza roztacza się dokoła kwitnący kraj. W dolinach świeża zieleń, przecięta lśniącymi strumykami. Na poręczach, na wzgórkach, gąszcza pinji, drzew figowych, oliwnych i ciemnych cedrów. A na płotach winogrady i uprawne krzewy różane. W łagodnem powietrzu wielogłosowe śpiewy ptaków i świeży podmuch wiatru wiejącego od morza. Tam, na zachodzie, błękitne pasmo śródziemnomorskich wód, a na wschodzie przebłyskuje przez dalekie ściany skalne Martwe morze. Na południu stepy i żółte wały, gdzie zaczyna się pustynia. A w stronie zmierzchu wzgórza Libanonu pokryte ciemnym lasem i jasnemi ścianami,

z śnieżystemi głowami. Nad wszystkim panuje wielki, słoneczny spokój.

Płaszczyzny łagodnych pochyłości pokryte są ludźmi, których w takiej ilości nie widziały niwy nigdy. I wciąż jeszcze napływają z wszystkich miasteczek i zagród. Miast iść do synagogi, jak każe zakon, spieszą na to wzgórze; miast oddać się miłemu spoczynkowi, jak tego domaga się ich upodobanie, idą tam przez kamieniste pole; miast odwiedzić przyjaciela i sąsiada, wspinają się samowtór na wzgórze. Bo wszyscy wiedzą, że tam jest Jezus i będzie mówił. Oto stają teraz albo siadają na płaskich kamieniach, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, biedni i bogaci. Nie którzy przybyli tylko z ciekawości i zapuszczają się w wesołe pogawędki; inni milczą i czekają. Ci, którzy go znają, szepcą do siebie w podnieceniu, a Szymon powiada do Jakóba:

— Nigdy jeszcze nie biło moje serce tak silnie, jak dzisiaj.

Oto stoi na szczycie góry, on — Jezus.

Jeśli przedtem tłum szumiał głucho jak morze, teraz następuje cisza i spokój, jak gdyby wszyscy ludzie skamienieli w zapatrzeniu. On sam stoi w swojej długiej, jasnej szacie pod błękitnem niebem jak biały posąg. Lewa ręka spuszczona łagodnie, prawa spoczywa na piersi. Powoli ale wyraźnie zaczyna mówić. Nie wyniosłym tonem kaznodziei, ale szybko i płomiennie, niekiedy wzywając krótko, gdy myśli skupiają się w wielkie słowo. Nie, jakoby wymyślił sobie mowę przedtem albo zaczerpnął ją z ksiąg. Wypowiada

to w płomiennym natchnieniu, co wyniknęło z jego najgłębszej istoty, co przekazały mu wieki.

„— — — Jestem posłany, abym was wołał. Przychodzę do wszystkich, ale najpierw do ubogich. Przychodzę do smutnych, udręczonych, do chorych, uwięzionych, gnębionych. Przychodzę z radosną nowiną od ojca niebieskiego."

Po tym wstępie patrzy pełen pokory daleko na wielką przyrodę — jakby oddawał jej słowo, jeśli wie coś lepszego. Ale przyroda milczy, wszystkie stworzenia milczały i słuchały o tej godzinie.

Wtedy Jezus ogarnia znów rzeszę spojrzeniem i zaczyna mówić, jak nigdy jeszcze ludzie nie słyszeli.

— Bracia! Radujcie się! I jeszcze raz mówię wam: Radujcie się! W niebiesiech żyje dobry ojciec. Obecny jest wszędzie, moc jego nie ma granic, a my jesteśmy jego dziećmi, które ukochał. Wszystkim zsyła promienie słańca, nikogo nie spuszcza z oka. Patrzy każdemu w ciemne serce i bez jego woli nie spadnie nikomu włos z głowy. W wolę człowieczą wkłada pragnienie szczęśliwości i wieczne życie. Słuchajcie, co wam teraz powiem w jego imieniu:

Wy wszyscy, którzy szukacie wybawienia, pójdźcie do mnie. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy cierpią i są smutni. Rozczarowani i opuszczeni przez świat uciekają do życia w Bogu. Błogosławieni pokorni i pokój czyniący. Albowiem serca ich nie zakłóci nienawiść i wina,

żyją jako radosne dzieci Boga. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości. Albowiem są sprzymierzeńcami Boga i znajdą sprawiedliwość. Błogosławieni czystego serca. Żadne kuszące żądze nie zakrywają im oblicza Boga. Błogosławieni miłosierni. Miłosierdzie jest skuteczne i przynosi w potrzebie miłosierdzie. Błogosławieni po trzykroć błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości. Albowiem ich jest królestwo niebieskie. Radujcie się wszyscy i weselcie się — ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało radości, jakie gotuje wam niebo. Tedy słuchajcie mojego posłania. Wielu powiada, że przyszedłem rozwiązywać stary zakon. Tak nie jest. Przyszedłem, aby wypełnić w zupełności stary zakon, ale nie podług pisma, jeno w duchu. Podług litery wypełniają go doktorzy zakonni, którzy każą w świątyniach i chcą prowadzić lud. Jeśli jednak czynić będziecie jak oni, nie bedziecie sprawiedliwi i nie znajdziecie królestwa bożego. Powiadają doktorzy zakonni, abyś nie zabijał. A ja powiadam, abyś się nie gniewał i lżył. A ktoby się gniewał i sądził, będzie winien sądu. Twoje skromne ofiary nie pomogą ci, jeśli mieć będziesz coś przeciw bratu twemu. Powiedziano starym: Nie będziesz cudzołożył. A ja powiadam wam: iż nie powinien nawet myśleć o żonie bliźniego swego. Lepiej wyrwij oko i odrzuć je od siebie, niżby miało ono jej pożądać. Lepiej odetnij rękę twoją, niżby miała sięgać po żonę brata twego. Powiedziano starym: nie będziesz krzywoprzysięgał. A ja powiadam ci, abyś zgoła nie przysięgał ani na Boga, ani na duszę, ani na twoje

dziecko. Jest, jest, nie, nie, oto wystarczy. A teraz powiedzcie, czyli rozwiązuję zakon? Żądam raczej całkowitego jego wypełnienia. Ale są przykazania, które rozwiązuję. Słuchajcie. Powiedziano: Oko za oko, a ząb za ząb. A ja wam powiadam, abyście się nie sprzeciwiali człowiekowi złemu. Co możesz sprawiedliwie uczynić dla siebie, uczyń, dalej się nie posuwaj. Lepiej jest cierpieć krzywdę, niżli czynić ją. Łagodnością pokonaj nieprzyjaciela. Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nastaw mu i drugiego. Może to przełamie jego gniew. Jeśli ktoś chce ci wziąć wierzchnią suknię, spytaj go łagodnie, czyli nie potrzebuje i spodniej. Może zawstydzi się swojej chciwości. Jeśli cię ktoś prosi o coś, co mu możesz dać, nie odwracaj się, a jeśli masz dwie suknie, daj jedną z nich temu, który nie posiada żadnej. Powiedziano starym: Będziesz miłował bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego. To jest fałszywe. Kochać tego, który mnie kocha, a nienawidzieć tego, który mnie nienawidzi, to łatwo. Tak czynią i bezbożni. A ja wam powiadam: miłujcie bliźniego, ale czyńcie dobrze tym, którzy was mają w nienawiści. Słuchajcie, bracia, i głoście całemu światu to, co wam mówię: **Miłujcie nieprzyjacioły wasze, czyńcie dobrze tym, którzy was mają w nienawiści.**

Tedy zamilka, a wśród rzeszy powstaje głuche poruszenie. Kulę ziemską obiegła o tej godzinie święta nowina, jakiej nie było od stworzenia świata.

Jezus mówi dalej:

— Czyńcie dobrze tym, którzy was mają w nienawiści. Tak czyni również Bóg ludziom, gdy mu bluźnią. Bądźcie we wszystkiem podobni Ojcu niebieskiemu. Czyniąc wszelkie dobro, czynicie je dla Boga, a nie dla człowieka. Dlatego drugie przykazanie jest jako pierwsze, gdy mówi: Kochaj Boga nadewszystko, a swego bliźniego jak siebie samego. Strzeżcie się jednak, abyście sprawiedliwości waszej nie czynili przed ludźmi. Gdy tedy czynisz jałmużnę, czyń ją w skrytości i nie mów o niej, niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni. Jeśli się nie uwolnisz od dóbr świata, nie wnijdziesz do królestwa bożego. A gdy pościcie, nie bądźcie jako obłudnicy smutnymi. Bądź wesoły, abyś się okazał ludziom, iż pościsz! Jeśli nie czcisz dnia bożego, nie ujrzysz Ojca. Ale gdy się modlić będziesz, czyń to w komorze swojej w skrytości. W cichej pokorze jesteś Ojcu w niebiesiech najbliższy. A modląc się, nie mówcie wiele jako poganie. Nie ten bowiem, który pochlebia swojemu Ojcu, mówiąc nieustannie Panie, Panie, przemawia do niego, ale ten, który spełnia jego wolę. Wznieś swoje serce w ufności i zdaj sie na wolę tego, który jest w niebiesiech. Czcij imię jego, szukaj jego królestwa. Proś o odpuszczenie swojej winy i odpuść winy swojemu wrogowi. Proś o codzienną strawę, abyś był silny na pokusy i wolny od niepewności i złej żądzy. Tak się tedy módl, a będziesz wysłuchany. Bo kto sprawiedliwie prosi, ten bierze, a kto nieustannie kołacze, temu otworzą. Czyli znajdzie się między wami ojciec, któryby błagającemu o chleb dziecku podał kamień? A jeśli już biedak wypeł-

nia prośbę swego dziecka, o ile prędzej wypełni ją potężny, dobry ojciec w niebiesiech! Ale nie troszczcie się zbytnio, cobyście jedli; taka troska niweczy czystą radość. Gdyście nagromadzili żywność, przychodzi śmierć. Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, ale skarbcie sobie skarby w niebie, które będą wam pożyteczniejsze i które weźmie dla was Ojciec na wieczne życie. To jest zapas, który przyniesie pożytek waszym potomkom, którzy go odziedziczą w duszy. Człowiek jest taki, że przywiązuje swoje serce do swoich skarbów. Jeśli skarby jego są boskie i dusza jego będzie boską. Kto dba tylko o ciało, ten nie może dbać o duszę, gdyż żaden nie może dwom panom służyć. Nabywajcie tedy co wam potrzeba na dzień, a nie troszczcie się o jutro. Nie troszczcie się, co będziecie jeść i czem w następnych latach przyodziewać. Zaufajcie temu, który żywi ptaki i stroi kwiaty. Azaż ojciec niebieski nie kocha ludzi więcej niż wróble i lilje polne? A więc nie zasmucajcie waszego życia troskami, radujcie się w Bogu, waszym ojcu. Myślcie o królestwie niebieskiem, wszystko inne jest uboczne i przychodzi samo do siebie. Widzę, bracia, że słowa te są wam bliskie. Ale baczcie wpierw, czy prorok żyje podług swoich słów. Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy inaczej żyją niż nauczają, wilcy w odzieniu owczem. Kto się kiedyś na mnie powoła, patrzcie wpierw na jego czyny, jak na owoce drzewa. Sądźcie człowieka podług dzieła, ale nie potępiajcie go! Zanim go potępicie, pomyślcie, że i wy będziecie sądzeni! Którą miarą mierzyć będziecie, wam odmierzą!

Jak często, przyjacielu, widzisz źdźbło w oku brata twego, gdy w oku twoim tkwi cała belka! Odrzuć wpierw swoje błędy, zanim zganisz twego brata. Jakaż ciasna jest droga, która wiedzie do zbawienia, gdy się omija przepaść z lewej, wpada się w prawą. Abyście mogli znaleźć wąską drogę, posłuchajcie, co wam powiem: **Wszystko tedy, cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili: i wy im czyńcie.** — — Tedy, bracia i siostry, w krainie ojców, kto musi wrócić do swojego zawodu, niechaj wraca i pamięta o nowinie, którą przyniosłem. Wszelki, który słucha tych słów moich a nie czyni ich, będzie podobny mężowi głupiemu, który zbudował dom swój na piasku. Wszelki tedy, który słucha tych słów moich i czyni je, buduje dom swój na opoce i żadna burza nie zniszczy go. Słowo to, mówię wam to w imieniu ojca niebieskiego, przetrwa wszelką mądrość świata. Kto je słyszy a nie czyni go, jest dla mnie zgubiony, kto je czyni, żyć będzie wiecznie.

Tak kończy się owa mowa, która stała się największem wydarzeniem świata. Ostatniego zdania przeraziło się wielu, gdyż słyszeli słowo, ale są za słabi, aby je wypełnić. Wahanie ich nie uszło jego uwagi, a ponieważ nikt nie może odejść od niego niepocieszony, wydaje się niektórym, jakoby posłyszeli:

— Królestwo boże należy do tego, który nieustannie o nie zabiega. Wszyscy je znajdą, nawet słabi, którzy są dobrej woli.

* * *

Szabat ów z kazaniem na górze stał się wielce znamiennym dniem. Ludzie nie chcieli się rozejść. Cisną się do Jezusa, aby całować jego suknię. Wielu, którzy wątpili, nie chce go opuścić. Chcą mu wszędzie towarzyszyć i dzielić jego los. Ale jak go rozumieją dusze ze świata? Czego się spodziewają? Dzisiaj beztroskliwość, jutro potęga! Jaki mocarz! Odrywa rzesze od rodzinnej ziemi i każe im tworzyć zbrojne zastępy. Jakże to będzie, gdy roztoczy światową moc Mesjasza! Mowa na górze — jak sądzi wielu — była tylko próbą siły, zmierzającą do zahartowania siły dla świętej walki o królestwo Mesjasza, które ma być założone na ziemi.

Z Judei przybyli ludzie, przybiegli z doliny Jordanu, napłynęli z gór. Wędrują z nadmorskich miast Tyru i Sydonu, a nawet są niektórzy z krajów daleko za morzem, aby zobaczyć, czy to prawda, co wszędzie rozpowiada lud. Przynoszą dary na osłach i wielbłądach, z czego Jezus bierze najkonieczniejsze dla siebie i swoich przyjaciół, a nadmiar oddaje albo rozdziela między rzeszę. Wielu jest bowiem, którzy chcą cierpieć głód i sycić się jego słowem. Potem poczynają przywlekać chorych, z których paru leczy i pociesza. Ale im więcej słyszą o cudach z chorymi i ułomnymi, tem bardziej pożądają cudów, tak że Jezus staje się szorstki i musi im nieustannie przypominać, poco przyszedł. Dał im również do poznania, że nie jest tym Mesjaszem, od którego oczekują uwolnienia i wskrzeszenia państwa żydowskiego. Uważają to jednak za mądrą powściągliwość, ponieważ nie nadszedł jeszcze czas

wystąpienia wodza. Inni stoją zdala i rozmyślają nad głębokiem znaczeniem jego słów, które można chyba pojąć i wypełnić. Początkowo wydaje się im to łatwe i wesołe, beztroskliwe i znośne. Szczególniej odpowiada to ubogim, którzy mogą z nędzy uczynić cnotę, sądząc, że ich lenistwo i opieszałość jest zasługą. Ale wkrótce przekonują się, że słowa mistrza muszą być przecież inaczej pojmowane. I Samarytanie chwytają wieści z zagranicy o przedziwnej nauce o niebie na ziemi. Kiedy stare pismo mówiło o zbawieniu przyszłem, to Jezus ten mówi o zbawieniu obecnem.

Między uczniami znajduje się pewien lichwiarz z Karjotu. Ale ten bywał dotąd u proroka tylko w szabaty; w powszednie dnie liczył grosze na swoim stole i obliczał procenty. Nie idzie mu to gładko, przy liczeniu musi myśleć o mistrzu i przelicza się. A gdy jest u mistrza, musi myśleć o pieniądzach i nie słyszy jego słów. Jedno musi porzucić, ale nie może się zdecydować. Jednak podczas tej mowy na górze zdecydował się, iż nie wróci już do pieniędzy, zostanie z Jezusem, taka niezłomna jest jego wiara. Postanowienie to napełnia go taką błogością, jak gdyby pożyczył jakiemuś poczciwemu człowiekowi pieniądze na dwieście procent. Wybrany bowiem został strażnikiem mieszka i będzie skarbnikiem w królestwie Mesjasza.

Jedyni, którzy mniej lub więcej stoją na uboczu, to Galilejczycy. Ci znali proroka jako cieślę i nie wiedzą, jak się mają do niego odnosić. Wtedy powiada raz, że i u niego ziszcza się, jako prorok nie jest poważany w swojej ojczyźnie. W tym czasie

bywał Jezus często w Nazarecie, zawsze w towarzystwie rosnącego orszaku, tak iż matka nie może z nim pomówić w cztery oczy. Ale w tym rozwoju kiełkują już pierwsze oznaki nadchodzących prześladowań. Doktór zakonny przestrzegał raz przed nim w bóżnicy, jako przed uwodzicielem. Z zapalczywą gorliwością przedstawił zatracenie, na jakie narażają się wszyscy, którzy wierząc słowom tego człowieka, porzucają wiarę swoich ojców. „Jest tylko jedna wiara!" — zawołał — i jeden tylko Bóg, ale nie jest to wiara i Bóg tego odszczepieńca, ale wiara Mojżesza i Bóg Abrahama, Izaka i Jakóba. A ten Bóg przeklina fałszywego proroka i wszystkich jego popleczników, iż szatan ma go w swojej mocy. „Pożałowania godni — dodaje chytrze — są tylko jego krewni, szczególniej nieszczęśliwa matka, która na hańbę rodziny i ku zgorszeniu całego kraju zrodziła takiego syna. A potem rozbudza doktór zakonny nadzieję, że może przecież uda się poskromić zbłąkanego, który tak ciężko grzeszy przeciw przykazaniom, jeśli nie miłością, to wkońcu powagą i siłą, aby znów wrócił do uczciwego rzemiosła, w którem żył niegdyś na chwałę Boga.

I wtedy zdarzyło się, że Marja, idąc z bóżnicy do domu, została wyszydzona przez złośliwych sąsiadów. Nie powiedziała nic, uspokoiła swoje płaczące serce.

Pewnego dnia zaprosił Jezusa do stołu pewien zwolennik jego, mieszkający nad jeziorem. Dom pełen jest stronników, którzy nie mogą znaleźć ani miejsca ani misy. Czekają na cud. Jezus jest

wesoły i mówi o tem, jak bardzo dziwi się, iż ludzie gonią za małymi cudami, a nie widzą wielkich. W tych cudach, których się od niego domagają, powiada pewien uczeń, nie jest najważniejsze to, że kamienie przemieniają się w chleb, a chorzy wracają do zdrowia, lecz że wzbudzają one wiarę. Wiara jest największym z cudów. Gdy jeszcze rozmawiają, wywołują Jezusa; pod cedrami stoi ktoś, kto chce z nim mówić. Dwaj krewni jego stoją przed nim i pytają go krótko i węzłowato, co zamierza czynić, czy wróci do Nazaretu czy też nie. Jeśli nie, traci dom i warsztat — niechaj wie o tem.

Jezus odpowiada im:

— Idźcie i powiedźcie najstarszym w Nazarecie: Kto potrzebuje domu, niech go bierze, kto potrzebuje warsztatu, niech go używa. I pozwólcie wędrować w pokoju temu, który chce zbudować dom ojca, gdzie jest wiele mieszkań.

Stoją dalej i mówią:

— Jeśli głuchy jesteś na naszą mowę, jest jeszcze ktoś.

Wtedy występuje matka. Owinęła głowę niebieską chustką, jest strapiona i ledwie może mówić, bo duszą ją łzy. Bierze go za rękę:

— Synu mój! Do czego to prowadzi? Czyli możesz wziąć zato odpowiedzialność na siebie? Porzucasz wiarę i odbierasz ją tylu innym.

Na to Jezus:

— Ja odbieram im wiarę? Popatrz, daję im wiarę.

— Ależ dziecko, nie mogę tego pojąć. Buntujesz cały kraj. Ludzie opuszczają swoje domy,

rodziny, swoją pracę i idą za tobą. Jaki to urok rzuciłeś na nich?

— Idą za posłaniem — rzecze. — Jak jeleń źródła, tak pragną pocieszenia.

— Nazywasz to pocieszeniem, gdy głodują i marzną na pustyni? — wtrąca jeden z krewnych. — Nazywasz to pocieszeniem, gdy marnieją, aż łachmany spadają im z ciała i wpadają w ręce żołdaków jako złoczyńcy? Strzeż się, stanie się jeszcze coś, władcy z Cezarei i Jeruzalem nie pozwolą na to. Poskromią haniebnie podżegacza — i mówią już o tem.

— Kto jest podżegaczem?

— Ty jesteś nim!

Jezus dziwi się temu słowu i powiada:

— Ja? Ja, który im mówię: Bądźcie pokorni! Miłujcie się, czyńcie dobrze nieprzyjaciołom! Ja jestem podżegaczem?

— Mówią, że chcesz być Mesjaszem, który zdobywa królestwo.

— Królestwo, które nie jest z tego świata.

Marja pada w jego ramiona:

— Mój drogi synu, porzuć to. Jeśli ma być inaczej, Bóg to uczyni bez ciebie. Patrz, jak samotną stała się matka twoja w Nazarecie! Wróć ze mną do naszego spokojnego domu i bądź znów moim dobrym, słodkim Jezusem. A ci oto, spójrz, kochają cię, są przecież także twoimi braćmi.

Wtedy Jezus wyciąga swoje ramię, wskazuje na swoich uczniów, cisnących się koło domu:

— Oto są moi bracia! Ci, którzy wraz ze mną uznają Ojca niebieskiego, są moimi braćmi.

Krewni cofają się i bezradnie załamują ręce:

— Oszalał! Opętał go djabeł!

Lud, który spogląda z ulicy przez płot, lituje się nad opuszczoną kobietą, chciałby pośredniczyć i wtedy odzywa się jakiś dźwięczny głos:

— Szczęśliwa jest matka, która ma takiego syna! Błogosławić ją będą narody!

Jezus odwraca się poważnie:

— Błogosławieni, którzy słuchają słowa boskiego!

Matce wydaje się, jak gdyby miecz wbił się w jej serce. Ludzie dziwią się i szepcą do siebie:

— Dlaczego jest on tak surowy dla swojej matki?

Na to odpowiada im uczeń Jan:

— Jedyne zbawienie widzi w Bogu Ojcu. Wiele ludu nawrócił do niego, i właśnie ci, których najbardziej miłuje, nie chcą słyszeć o posłannictwie niebieskiem. To go boli i czyni surowym.

Jezus zabiera jeszcze raz głos i mówi:

— Kto chce być moim uczniem, a jego rodzice i rodzeństwo nie wierzą we mnie, ten musi opuścić rodziców i rodzeństwo, aby pójść za mną. Kto ma żonę i dziecko, które gardzą mojem posłannictwem, ten musi opuścić żonę i dziecko i pojść za mną, jeśli chce być moim uczniem. Kto nie kocha Boga bardziej niż matki i dziecka, brata i siostry, niż siebie i swego życia, nie jest godzien Boga.

Wielu jest zasmuconych tą mową i mruczy:

— Żąda zbyt wiele.

Na to rzecze Jan:

— Kto wierzy naprawdę w Ojca niebieskiego, **nie może** inaczej mówić. Czuje sam najlepiej, jak

trudno jest zrywać wszystkie więzy. Czyż nie widzicie, jak walczy z sobą i pokonuje serce, aby nie miało nad nim mocy! Żąda od swego ucznia wszystko, ponieważ daje mu wszystko. Widzimy już, że to, co nam daje, jest więcej warte niż wszystko, co my zato ofiarujemy.

Krewni jego odeszli. Przemawiają gwałtownie przeciw Jezusowi. Tego nie może słuchać matka, zostaje w tyle i sama wspina się po kamienistej drodze. W smutnej duszy modli się:

— Powierzam mój los Bogu. Niech się dzieje Jego wola!

I nie przeczuwa, że to jest modlitwa jej syna — że stała się uczniem Jezusa.

* * *

Sława Jezusa stała się tak wielka, iż wszystko o niego zabiega. Ubodzy błagają go, aby puścił ich do swojego stołu, gdzie słowo stało się ciałem. Bogaci zapraszają go do swoich stołów. Odmawia większości z nich, tylko niektórych przyjmuje.

Do tych, którzy pokornie czekają w tyle, a jednak pragną z nim mówić, przystępuje sam. W okolicy żyje człowiek, którego największem pragnieniem jest tylko to, aby zobaczyć proroka. Otóż, kiedy słyszy, że Jezus idzie drogą, poczyna drżeć i myśli, co teraz uczyni? Chciałbym mu spojrzeć w twarz i nie mam odwagi. Bo jako celnik nie jestem nigdzie poważany i nie wiele jestem wart. A przytem otacza go zawsze wiele ludzi, a ja jestem niski i nie mogę patrzeć ponad głowy. Gdy więc Jezus zbliża się, wspina się na

drzewo płonnej figi i spogląda w dół przez gałęzie. Jezus spostrzega go i woła głośno:

— Zacheuszu, zstąp prędko! Albowiem dziś potrzeba mi mieszkać w domu twoim.

Celnik zeskakuje z drzewa, idzie do niego i rzecze ze smutkiem:

— Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do domu mojego. Jedno twoje słowo, a pragnienie moje jest spełnione.

Ludzie dziwią się, że prorok wyszczególnia właśnie tego wątpliwego człowieka. Zacheusz nie posiada się z radości, że mistrz go zna i zawołał go po imieniu. Zastawia przed gościem wszystko, co dom jego posiada. Ale Jezus rzecze:

— To są dobre rzeczy. Żądam jednak najkosztowniejszej rzeczy, jaką posiadasz.

— Co to jest, panie? — pyta przerażony Zacheusz, myśli bowiem, że dał mu wszystko najlepsze — wszystko, co mam, jest twoje.

Wtedy Jezus bierze go za rękę, patrzy na niego miłośnie i rzecze:

— Zacheuszu, daj mi swoją duszę!

Człowiek ten stał się jego uczniem.

Potem je pewnego dnia przy stole pewnego bardzo uczonego męża, który jest wielkim sędzią obyczajów. Prócz wielu innych gości jest też wielu uczniów i toczą się po części uczone, po części namiętne rozmowy o piśmie. Jezus początkowo milczy, przyszło mu może na myśl, jakby to było miło słuchać tam w domu matki słów wiernej prostoduszności, niż sprzeczać się tutaj z pyszałkami o martwe litery. Ale wciągają go wkrótce do rozmowy. Ktoś porusza przykazanie

o miłości bliźniego i jak to często bywa, najprostsze rzeczy wikłają się i stają niezrozumiałe, gdy dostaną się w obroty różnych sądów mędrców. Wtedy jeden z gości powiada:

— To dziwne. Właśnie o najważniejszych sprawach nie myśli się, ponieważ są jasne. A naraz, gdy się człek nad nimi zastanowi, nie rozumie ich. I nie wiem właściwie, kogo mam kochać jak siebie samego.

— Bliźniego twego! — poucza go sąsiad, uczeń Mateusz.

— Słusznie, mój przyjacielu! Gdybym tylko wiedział zawsze, kto jest moim bliźnim. Przez dzień przesunie się koło człowieka mnóstwo ludzi i gdy mi jeden z nich podstawi nogę, to ów jest w owej chwili moim bliźnim. W tej chwili mam dwóch bliźnich — ciebie i Zacharjasza. Któryż z was obu jest tym, którego mam kochać jak siebie samego? Przykazanie mówi przecież tylko o jednym. A jeśli ty nim jesteś albo Zacharjasz, dlaczego mam was kochać więcej niż mistrza, który siedzi tam daleko przy stole, a przeto nie jest moim bliźnim?

— Człowiecze, to jest głupia mowa! — rzecze uczeń Bartłomiej.

— A zatem naucz mnie! — rzecze tamten.

Uczeń poczyna mówić i chce objaśnić, kto jest bliźnim, ale nie może podołać, myśli jego mącą się. Tymczasem pytanie doszło aż do mistrza. Kto jest — prawdziwie pojmując — bliźnim?

Jezus odpowiada i opowiada przypowieść.

— Człowiek niektóry zstępuje z Jeruzalem do Jerycha. Droga jest odludna i napadają nań zbóje,

którzy go łupią, zadają mu rany i zostawiają na poły umarłego. Po chwili zstępuje tąż drogą niektóry kapłan, a ujrzawszy go leżącego zauważa, że to cudzoziemiec i idzie dalej. Po chwili znowuż idzie Lewita, widzi go leżącego i myśli: Jakiś ciężko ranny albo umarły, nie chcę mieć przykrości z powodu cudzoziemca — i mija. Wkońcu nadchodzi człowiek z wzgardzonego narodu Samarytanów. Spostrzega bezsilnego, zatrzymuje się i wzruszony jest miłosierdziem. Pokrzepia go winem, nalewa do ran oliwy, podnosi i niesie do najbliższej gospody. Tam daje gospodarzowi pieniądze, aby miał o nim staranie, aż wyzdrowieje. — No jakżeż myślicie? Kapłani widzieli w nim cudzoziemca. Ale Samarytanin — swojego bliźniego.

Teraz tłumaczą to sobie tak: Twój bliźni, jest to człowiek zdany tylko na twoją pomoc, któremu możesz pomóc. Wprawdzie szczęście rozdziela ludzi, ale nieszczęście łączy ich.

Wtedy uczeń Tomasz wtrąca się do rozmowy i wyraża wątpliwość, czy można żądać od wielkiego księżnika, aby zsiadał z konia i podnosił nędznego żebraka z rowu ulicznego?

Pyta go Jezus:

— Tomaszu, czy będąc kiedyś wysokim księżnikiem i jadąc, znajdziesz mnie leżącego w rowie przydrożnym — pozostawisz mnie swojemu losowi?

— Panie! — krzyczy przerażony uczeń.

— Widzisz, Tomaszu. Co czynisz najbiedniejszemu, mnie czynisz.

Wtedy pyta jeden z gości:

— Czyli należy czynić dobrze tylko biednym, a nie bogatym i możnym?

A Jezus na to:

— Jeśli jesteś żebrakiem na ulicy, a nadjeżdża książę, nie możesz mu uczynić nic dobrego. Ale gdy koń jego potknie się, a on spada, to pochwyć go, aby snać nie rozbił głowy o kamień. Bo w owej chwili stał się twoim bliźnim.

Wtedy niektórzy szepcą do siebie:

— Wydaje się niekiedy naprawdę, iż on żąda poważnie, aby miłować wszystkich ludzi. To jest przecież za trudne.

— To jest bardzo łatwo, bracie — mówi Bartłomiej uragliwie. — Miłować miliony ludzi, których nie widzisz i którzy ci nie dolegają, to łatwo. Tak miłują i obłudnicy i bohaterowie słowa. A gdy twierdzą, że miłują całą ludzkość albo swój naród, są twardzi dla najbliższego bliźniego.

— Łatwo jest miłować to co dalekie — mówi teraz Jezus — i łatwo jest miłować pokornych i dobrych. A jako uczynisz, gdy brat obrazi cię i czyni ci nieustannie krzywdę? Nie siedem razy winieneś mu wybaczyć, ale siedemdziesiąt siedem razy. Idź i strofuj go serdecznie. A gdy ujrzysz, że brat twój uratowany, raduj się.

Gdy jeszcze mówią, do izby wdziera się młoda kobieta, jedna z tych, które wszędy za nim kroczą i niecierpliwie czekają pod drzwiami, gdy mistrz przebywa w domu na odwiedzinach. Zgarbiona przebiega, prawie niepostrzeżenie, przystaje u nóg Jezusa i zaczyna namaszczać z naczynia jego stopy. Jezus nie wzbrania się. Ale gospodarz, który go zaprosił, myśli w duchu: Nie, nie jest to

prorok, inaczej wiedziałby, kto jest owa kobieta, która namaszcza mu teraz stopy. Czyż to nie jest grzesznica z Magdali? — Jezus odgaduje jego myśli i mówi:

— Przyjacielu, powiem ci coś. Pewien człowiek ma dwóch dłużników. Jeden dłużny był mu pięćdziesiąt, zasię drugi pięćset groszy. Ale że obaj nie mogą zapłacić, odpuszcza obydwom dług. Powiedz mi, który będzie czuł dla niego większą wdzięczność?

— Naturalnie, że ten, który winien najwięcej — odpowiada gospodarz.

A na to Jezus:

— Prawdę mówisz. I tej niewieście darowano wiele. Pytasz dlaczego? Słuchaj, zaprosiłeś mnie do swego domu, służebnicy twoi napełnili tę izbę różanemi woniami, bo przez okno wpada świeże powietrze, uszy moje pieściła muzyka dzwonków i harfy, bo z dworu dolatuje głośny śpiew ptaków. Podali mi wino w kosztownym krysztale, gdy ja jestem przyzwyczajony pić z pospolitej czary. A że po długiej pielgrzymce przez stepy mogły mnie boleć poranione nogi, o tem nie pomyślał nikt, jeno ta niewiasta. Odpuszcza się jej wiele grzechów, iż wielce umiłowała.

Sędzia obyczajów musi milczeć. Słychać wkoło wśród uczniów: Jezus Chrystus. Bo Chystus znaczy Pomazaniec. Myślą przytem o pomazaniu nóg, a jeszcze bardziej o obiecanym pomazańcu, Mesjaszu, i znów przypominają sobie ową potężną mowę na górze, która odmieniła ich dusze.

Ale są niektórzy, co nie mogą przetrawić, że prorok jest tak dobry dla tej upadłej kobiety.

— Jakże inaczej — szepcą — mówi on z tą młodą kobietą, a jak inaczej z swoją matką.

A gdy widzą, że jest w jego orszaku i towarzyszy mu wszędzie, wkłada mu sandały, gdy droga jest kamienista, niesie mu płaszcz, gdy jest gorąco, ogarnia ich pozorna niechęć, ale w duszy są zadowoleni i prowadzą ze sobą różne figlarne mowy. Jezus zauważył to i nie zamilkł.

— Jesteście tak podli i zepsuci — woła raz do nich — że między mężczyzną a kobietą widzicie tylko grzech? Czyli niezdolni jesteście pomyśleć, że duch może pokonać ciało? Może, powtarzam to, może. Tak, jeszcze więcej, gdzie życie w duchu jest silne, tam niema ani mężczyzny ani kobiety. Nie każdy potrzebuje tego.

— Człowiek jest słaby! — mówią.

Na to jeden z uczniów:

— Niechaj więc będzie mocny. Niech wzmocni swoją wolę, wszystkie swe siły i całą wartość włoży w życie duchowe i zobaczy, jak się zmysły uspokojają, jak się powoli wyzwala i dokonuje większych rzeczy, niż to człowiek może osiągnąć.

Ale złośliwość ich nie jest jeszcze uśmierzona i znowu zapytuje jeden z nich, dlaczego Bóg stworzył Adama i Ewę, jeśli chciał mieć tylko czyste duchy?

Na to odpowiada mistrz:

— Cóż wy chcecie? Gdyby była dla mnie taką kobietą jak Ewa, byłaby siostrą. A jeśli jest siostrą, byłaby taką jak Ewa. Dlaczego baczycie na to tak czujnie? Ponieważ myślicie tylko o ciele, a kochacie tylko grzech. Wy podpatrywacze i bogobojnisie! Dopuszczalibyście się codziennie

nienaturalnych występków, gdyby Bóg nie poskromił był Adama i Ewę! Wy synowie gliny, szukajcie żony, nie poto aby popełniać wszeteczeństwa, ale aby je zwalczyć. Niechaj każdy spełnia na swój sposób zamiary Boga i wymiata nieczystości z proga własnych drzwi!

Od tego czasu szemracze umilkli i żaden nie waży się już ani jednem słowem tknąć siostrzanego stosunku proroka do niewiasty z Magdali. Ale czasami żałują, że ten wspaniały mężczyzna nie ma rodziny. I przed oczyma jego duszy jawi się miły obraz: Warsztat w Nazarecie, a w świąteczny wieczór siedzi on zacisznie wraz z matką, żoną i dzieckiem. Ale prędko pokonuje tę zjawę. Potrafią to niezliczeni. Ja muszę czynić to, czego nie potrafi nikt.

Pewnego dnia, gdy mistrz schodzi do Kafarnaum, ciśnie się znów rzesza. Kobiety prowadzą małe dzieci za rękę, jeszcze mniejsze dźwigają na łonie, aby im pokazać przedziwnego człowieka. Inni malcy przeciskają się między nogami ludzi, aby go zobaczyć i ucałować jego suknię. Odpędzają ich, aby nie nękali mistrza. Chrystus stoi pod drzewem figowem i woła głośno:

— Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie!

A dzieci z pyzatymi policzkami, z kędzierzawemi główkami i jasnemi oczkami przyskakują, aż koszulki fruwają, i otaczają go, jedne wesoło, drugie lękliwie i bojaźliwie. Jezus siada na trawie, przyciąga je do siebie, najmłodsze bierze na ręce. Patrzą początkowo szeroko rozwartemi oczyma w jego przyjaźną twarz; żartuje z nimi, wtedy uśmiechają się delikatnie albo śmieją się głośno. I bawią się

jego kędziorami, oplątując ramiona dokoła jego szyji. Małe stworzonka są tak poufałe i zadowolone i tak rączo biegają dokoła proroka, że tłum stoi w milczącej radości. Ale również Jezus przejęty jest błogą radością, iż głośno woła:

— Ich jest królestwo niebieskie!

Słowo ulatuje nad rzeszą jak powiew wiosenny. Ale niektórych ogarnia lęk, gdy mistrz dodaje:

— Patrzcie, jakie one są: dobre, pobożne i wesołe. Zaprawdę mówię wam: Ktokolwiek nie będzie jako to dzieciątko, nie wnijdzie do królestwa Bożego! I biada temu, ktoby zgorszył jedno z nich; lepiejby mu było, gdyby mu uwiązano kamień młyński do szyji i wrzucono do morza! Kto jednak przyjmie dzieciątko dla mnie, mnie przyjmie!

Wtedy odgadują, że człowiek ten nie potrzebuje budować własnego ogniska, gdyż wszystkie wielkie i małe dzieci ziemi należą do niego.

* * *

Kraj galilejski był zasobny w biednych, ale ubogi w bogatych. Należałoby więc sądzić, że Jezus, przyjaciel ubogich, będzie tu człowiekiem właściwym. A właśnie w tym kraju nauka jego nie mogła się przyjąć. Wśród tylu biednych bogacze są tem potężniejsi, a ci użyli całego swojego wpływu, aby proroka obalić i zniweczyć jego pracę. Najlepszymi narzędziami możnych byli doktorzy zakonni i od nich rozeszła się wieść, że lud, który przyjmie zasady tego człowieka, zginie w krótkim czasie. Bo biedni, którzy dobrowolnie rezygnują z ostatniego mienia, musieliby stać się

jeszcze biedniejszymi, a bogaci, którzy wykorzystują przywileje, staliby się jeszcze bogatszymi. Wyrażają przez to przypuszczenie, że nie bogaci, ale biedni przyjmą naukę proroka, podczas gdy wiemy, że Jezus zwraca się szczególniej do bogatych i wzywa ich do nawrócenia się na korzyść biednych. Ale oni mówią: Bogaci nie nawracają się, ale pożerają łagodnego ucznia Jezusa, jak wilk owcę. Wielu wierzy w to i zniechęca się: Prorok ma wprawdzie dobre zamiary, ale zbyt wielkie nadzieje — nic z tego nie będzie.

Rozchodzi się przytem wieść, że Jezus dał się pomazać. Dać się pomazać, to znaczy chcieć być wysłannikiem Boga, Mesjaszem! A to się sprzeciwia panującemu porządkowi, królowi. — Tak tłumaczą mówcy w bóżnicach, w domach i na ulicach; zamilczają jednak, że pomazania dokonała pospolita osoba, aby uzdrowić poranione nogi. W rzeczywistości ostrzegaczom tym nie chodzi o naród ani o króla, ale o ich przepisy.

Gdy niewiasta, która pomazała mu nogi zauważa, że jest przez nią podawany w wątpliwość, odchodzi własną drogą. Żaden człowiek nie lgnie tak do niego jak ona i żaden nie odchodzi tak spokojnie. Nie idzie z powrotem do starego męża w Magdali, którego poślubiła z litości a zapomniała z miłości — idzie do swoich krewnych w Betanji. Od czasu, gdy prorok wywyższył ją i rozgrzeszył przed całym ludem — nikt nie zamyka przed nią domu. Więc też przyjęto ją.

Jezus spostrzega, jak coraz bardziej chwieje się pod nim rodzinna ziemia, jak ludzie odnoszą się coraz nienawistniej, jak odmawiają mu noclegu

i zastawiają pułapki. Wyrusza więc z tymi, którzy przy nim zostali, daleko w kamieniste góry Judei. W drodze zyskuje nowych zwolenników, a na pustyni przybywają ludzie z rozmaitych plemion, z tłumokiem i o kiju pielgrzymim, aby usłyszeć osobliwego proroka. Jednym obrzydła już pusta mądrość faryzeuszów, innych rozczarowały złe rządy w kraju i próżne obiecanki Rzymian, lub są przygnębieni gospodarczym upadkiem pracy, zatratą duchów i zdziczeniem ludzi. Niektórzy uciekli przed zbójeckiemi bandami pewnego Barabasza, które grasują w pustyni. Przybyli więc tutaj i łakną żywego słowa, aby napoić swoje zasmucone dusze. Jan woła do nich:

— Nauka jego jest pokarmem. Słowo stanie się ciałem i nakarmi duszę. Kto je spożyje, nie umrze.

Tysiące ich czuwa przy nim dzień i noc i syci się. A wielu prosi, aby uczniowie polali im głowy, na znak, że i oni stali się wyznawcami i chcą żyć w czystości.

Oto jest jedna z owych gwiaździstych nocy na pustyni. Jedna z owych nocy gwiezdnych, gdy gwiazdy skrzą się przeczystą jasnością i wykrzesują z kamieni błękitny odblask i migotanie—jakby zmartwychwstanie odrodzonych dusz. Jeden z uczniów patrzy na to gwiaździste niebo skrzące się wśród cichej nocy i mówi:

— Bracie, przeraża mnie ta nieskończoność!

Na to drugi uczeń:

— A ja się raduję tą nieskończonością!

— Uciekam przed moją tęsknotą do Ojca niebieskiego.

— A ja niosę Ojcu niebieskiemu moją radość!

Wszyscy rozłożyli się szerokim kręgiem dokoła Jezusa. Chcą wypocząć, ale nie mogą zasnąć. Noc jest zbyt wspaniała.

A wtedy ktoś zaczyna mówić:

— Tutaj jest tak, jak w Królestwie Boga.

Na to drugi podnosi głowę, spoczywającą na podłożonej ręce i mówi:

— Czyli wiesz, jak jest w Królestwie Boga?

Teraz tamten milczy, ale po chwili odpowiada:

— Jakkolwiek nie wiem, myślę o tem chętnie. Tak często opowiada on o królestwie niebieskiem. Chciałbym wiedzieć o niem nieco więcej.

— Zapytajmy go.

— Spytaj go ty.

— Nie mam odwagi.

— Spytajmy Jana. On go zna najlepiej, on będzie wiedział z pewnością.

Jan leży na piasku, z głową opartą o kamień. Za poduszkę służą mu miękkie loki. Ale i on nie śpi. Pełzają tam i pytają obcesowo, gdzie jest królestwo niebieskie, o którem mówi tak często mistrz. Czy pod ziemią, czy też nad słońcem? I kiedy powstanie, wkrótce, czy też za tysiąc lat?

Jan mówi:

— Jak długo już jesteście z nim?

— Siedem tygodni.

— I nie wiecie jeszcze, gdzie jest królestwo niebieskie? Zatem nie rozumiecie jego mowy.

— Mówi przecież językiem naszych ojców.

— On mówi językiem królestwa niebieskiego. Przypomnijcie sobie: Królestwo niebieskie jest tam, gdzie jest miłość.

— A gdzie jest miłość?

— Jak myślicie?

— Miłość, tak myślę, musi być w sercu.

A na to Jan:

— A przeto wiecie, gdzie jest królestwo niebieskie.

Patrzą na siebie i ciągle jeszcze nie pojmują. Wtedy Jan idzie do Jezusa, który siedzi na skale i patrzy na daleką noc, jak gdyby była pełna tajemnic. Oblicze jego jest tak jasne, jak gdyby skupiło się na niem światło gwiazd.

— Mistrzu — mówi Jan. — Nie możemy zasnąć. Opowiedz nam o królestwie niebieskiem.

Jezus odwraca się i wskazując na najbliższych uczniów mówi:

— Dane wam jest poznać tajemnicę królestwa niebieskiego. Innym mówię tylko w podobieństwach. Albowiem królestwa niebieskiego nie można wybudować z drzewa lub kamienia jak świątynię, nie można go zdobyć jak królestwa, nie można go oglądać ziemskiem okiem jak kwitnącego ogrodu i nie można powiedzieć, że jest tu albo tam. Królestwo Boga musi być zdobyte siłą woli, kto jest silny i wytrwały, osiągnie je. Oko i ręka jego muszą być nieustannie skierowane ku owemu pługowi, który orze na wielkie żniwa. Kto przyłoży dłoń do tego pługa, a patrzy na inne, nie jest godzien Królestwa bożego. Ale ten, który myśli poważnie, osiągnie je przez noc. Ziarno wczoraj rzucone na rolę, wschodzi — człowiek nie wie jak. Ziarno jest słowem o Bogu, rozsiewanem na wsze strony. Część pada na drogę i pożerają go ptaki. Część zaś pada na tarninę i dusi się. Część pada na miałką ziemie, kiełkuje, ale usycha w gorącem słońcu. Tylko najmniejsza część pada na żyzną ziemię i przynosi bujne owoce. Tak jest ze słowem boskiem. Złe skłonności zżerają je, ziemskie troski duszą je, palące zmysły wysuszają je, ale serce ludzkie tęskniące do Boga przyjmuje je i słowo staje się w niem królestwem niebieskiem.

W spoczywającej rzeszy podnosi się coraz więcej głów. Bo on mówi! Przeto powstaje poruszenie i wszystko słucha.

Jezus natęża głos i poczyna tak mówić:

— Wielu z tych, co mnie słuchają, ma królestwo niebieskie w sobie. Ale strzeżcie się! W nocy przychodzi nieprzyjaciel i nasiewa kąkolu. Słowo jest jako ziarno gorczyczne. Najmniejsze jest ze wszystkiego nasienia: ale kiedy urośnie, stawa się drzewem. Może całkiem niepostrzeżenie wpadło ci słowo do serca. Nie zważasz na nie, przechodzisz mimo, ale ono kiełkuje pocichu, naraz przychodzi światło zrozumienia i oto posiadasz królestwo niebieskie. A potem podobne jest kwasowi, który całą twą istotę porusza i zmienia. Podobne jest królestwo niebieskie skarbowi ukrytemu w roli: który znalazłszy człowiek, skrył, a od radości jego odchodzi i wszystko co ma sprzedaje, a oną rolę kupuje. I jest jako perła, za którą kupiec oddaje wszystkie bogactwa. Ale jest także jako światło lampy, do której trzeba ciągle dolewać oliwy, aby nie zagasło. Jeśli zgaśnie, nie masz już światła, gdy nagle ktoś cię napadnie. I posłuchajcie tego: Pan królestwa niebieskiego jest jak król, który na usilne prośby odpuszcza służebnikowi wszelki dług. Ale służebnik nie darowuje długu swojemu dłużnikowi, ale każe go

wrzucić do więzienia. Wtedy wzywa go król przed swój sąd i mówi: Ulitowałem się nad tobą, a ty nie zlitowałeś się nad swoim dłużnikiem. Przeto oddaję cię teraz na tortury, aż oddasz mi wszystko do ostatniego grosza. Kto nie przebacza, temu nie będzie wybaczone.

Jezus zamilkł, a rzeszę przenika dreszcz lęku. Jan przychodzi do owego człowieka, który go pytał i mówi:

— Wiesz teraz, co on myśli przez Królestwo Boga?

— Wszystko jest dla mnie ciemne, ale przeczuwam.

— Chwilowo to wystarcza. Pomyśl, że aby pokazać królestwo niebieskie, wybrał noc. Człowieku, jeśli masz królestwo niebieskie, to masz go w sobie. Jeśli go tam niema, to napróżno będziesz go szukał gdzieindziej.

Niektórzy kiwają ze smutkiem głowami. Nie mogą tego pojąć.

Wtedy nadchodzi starzec i zwraca się do Jezusa z zapytaniem, co ma czynić? Jest człowiekiem światowym, żył dotąd tylko dla świata, a teraz słyszy, że zapóźno już dla niego nawracać się.

— Jakże więc dostanę się do królestwa niebieskiego?

Na to rzekł Jezus, co następuje:

— Pewien gospodarz najmuje robotników do swojej winnicy. Jednego najmuje rano, drugiego w południe, a ostatniego wieczorem, gdy praca jest już prawie na ukończeniu. A gdy przyszło do zapłaty, daje każdemu równe pieniądze. Wtedy szemrają ci, którzy przyjęci zostali rano i w południe, że pracowali dłużej w mitrędze dnia i żarze słonecznym, a nie dostają większej zapłaty, niż ten, który przyszedł wieczorem i pracował ledwie godzinę. Na to odpowiada gospodarz winnicy: Umówiłem się z wami pierwej o zapłatę i byliście zadowoleni. Cóż was to obchodzi, jeśli darowuję coś drugiemu! Kto późno do mnie przychodzi, przychodzi równie w porę, jak ów rano. Główna rzecz, aby do mnie przyszedł.

Wtedy starzec poczyna płakać z radości, że został przyjęty, chociaż przybył tak późno do winnicy boskiej.

Ponieważ mistrz odpowiada tak chętnie każdemu, przeto garną się w tym czasie inni, prosząc, aby im wytłumaczył wiele niezrozumiałych spraw. Oto opowiedział im raz historję o królu, który zaprosił na gody ludzi z drogi, gdy zawiedli zaproszeni goście. Owi przybywają, ale jeden nie ma szaty godowej. Tego każe król wrzucić w ciemności. Mistrz chciał przez to dać podobieństwo, ale nie mogą go zrozumieć. Król jest za srogi, winien wprzód wiedzieć, że ludzie z drogi nie noszą szaty godowej.

Jezus milczy, Jakób mówi:

— A zaproszeni winni wiedzieć, że na gody królewskie nie przybywa się w podartych i poplamionych szatach. Wezwani są wprawdzie wszyscy, ale kto jest brudny i zuchwały, wrzucony zostanie znów w ciemności. Nikt nie wejdzie nieprzygotowany.

I jeszcze jedno z jego podobieństw o królestwie niebieskiem niepokoi ich. Owo o niesprawiedliwym włodarzu, którego pan pochwala, iż tak rozsądnie

zatroszczył się o siebie z powierzonymi mu pieniądzmi. Włodarz ten wie mianowicie, że ma być zwolniony i odpuszcza potajemnie dłużnikom swego pana część długu, aby przyjęli go potem do domów swoich. I on uczynił sprawiedliwie!

—Czyli można kupić królestwo niebieskie za dobro, które nie jest naszą własnością?

Wtrąca się wtedy jakiś poganiacz mułów:

— O tej przypowieści myślę sobie tak: Nikt z nas nie posiada na tej ziemi żadnej własności. My wszyscy jesteśmy tylko włodarzami dóbr i jeśli dajemy z nich potrzebującym, to jesteśmy wprawdzie niesprawiedliwymi włodarzami, bo dajemy to co do nas nie należy, a jednak czynimy sprawiedliwie.

Na to tłumaczenie wzruszyli niektórzy ramionami, szczególniej bogaci i wykładacze pisma nie chcą się z niem zgodzić. Ale Jezus mówi w modlitwie: „Czczę ciebie, Ojcze, że objawiłeś prostaczkom wiele rzeczy, zakrytych przed mędrcami."

Ale ciągle jeszcze przychodzą uczniowie, aby wypytywać się wzajemnie, czego nie rozumieją. Tak naprzykład Tomasz nie wie, co mistrz rozumie przez słowo prawda. On jest prawdą. Należy wielbić Boga w prawdzie, a kto jest prawdą, ten pojmuje słowo Boga.

Co mówi Jan, najmłodszy z nich?

— Synowie świata nazywają to prawdą, gdy rozbiją młotem kamień i stwiedzą, że jest to wapno. Uważają to za prawdę, gdy wiedzą, jakie są rodzaje ryb w morzu i robaków w ziemi i gdy potrafią odmierzyć liczbami przestwór nieba. Nazywają to prawdą, gdy stwierdzą, jak kiełkuje nasienie i jak się rozpada w proch ciało ludzkie po śmierci. Zaprawdę, każdy to widzi własnemi oczyma. Ale czy oko ziemskie jest prawdą? A czy powiada on: Winniście **znać** prawdę? Nie, powiada on: winniście być prawdą.

Być prawdą. Być bez obłudy i fałszu, dziecinnie wiernym i szczerym w usposobieniu i w tym duchu wielbić Boga. Znowu inny uczeń mówi:

— Jeśli on mówi, że ja jestem prawdą, znaczy to: Ja jestem **prawdziwym** człowiekiem, całym człowiekiem, doskonałym człowiekiem, pierwszym doskonałym człowiekiem, jak go chciał mieć Bóg, z tą możliwością, że i my będziemy mogli być kiedyś jak on.

Rozmyślają więc nad pojęciami królestwa niebieskiego, i niejeden raduje się na dzień i godzinę, ponieważ sądzi, że znalazł to, czego szukali mędrcy wszystkich czasów.

Biedni, wzgardzeni i nieszczęśliwi gromadzą się coraz liczniej dokoła niego. Osobliwy obóz pustynny pełen jest często chorych, strudzonych i zrozpaczonych. Wielu przyszło z dalekich stron, z ciężkiemi troskami, ale pełni nadziei. A teraz, gdy widzą go tam stojącego wyniośle i poważnie i nauczającego w głębokich słowach, opuszcza ich odwaga i nie dowierzają swoim siłom. Wahają się. Wtedy wyciąga on ramiona i woła:

— Przystąpcie bliżej! Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście utrudzeni i obarczeni, a ja was pocieszę. Nie przyszedłem poto, aby sądzić i karać. Przyszedłem szukać, co zgubione,

leczyć, co chore, wskrzeszać, co umarłe. Przyszedłem do smutnych, aby ich pocieszyć, do upadłych, aby ich podnieść. Daję siebie samego za wyzwolenie ich od cierpień. Panowanie moje nie jest z tego świata, jestem władzcą w Królestwie Boga, gdzie wszyscy są błogosławieni w ufnej, radosnej miłości. Przyjdźcie do mnie, zbłąkani i występni! Mam dla was radość i wieczne życie!

Uczniowie patrzą na siebie ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie przemawiał z tak wzniosłą łagodnością. Rzesza skupiła się koło niego z łkaniem, słowa jego ukoiły wielu jak oliwa rany. Tylko nieliczni myślą, jak to jest możliwe, aby człowiek mówił tak dumnie, miłośnie i bosko. Ogarnięci natchnieniem i ufnością powierzają się mu, głodni sycą się jego obecnością, ślepi widzą, wątpiący wierzą, ułomni chodzą, martwe dusze odżywają.

Szymon jest wciąż bardzo uradowany, ilekroć przybywają nowi wędrowcy i gdy ci, co odchodzą, składają ślubowanie, że będą pełnić nauki mistrza. Natomiast rozgniewany jest srogo, gdy odmawiają, ponieważ nie można wykonać jego żądań. Na takie próżne gniewy Szymona opowiada znów Jezus pewną przypowieść:

— Człowiek niektóry ma dwóch synów, z których jednemu rozkazuje iść na rolę, aby tam pracował. Jeden powiada: Tak, ojcze, pójdę tam natychmiast. Potem rozmyśla się, że praca będzie ciężka i nie idzie. Drugi syn oświadcza ojcu wprost, że nie pójdzie na rolę, bo mitręga jest za wielka. Ale gdy jest sam, myśli: Postaram się

przecież spełnić wolę ojca, idzie na rolę i pracuje. Jak myślicie, który z nich obu miał słuszność?

Jakiś badacz pisma odpowiada:

— Ten, który mu przyrzekł pójść. Powiada bowiem pismo: Kto spełnia przykazanie.

Jezus jest zdumiony tym dowodem. Mówi ze smutkiem:

— To zdumiewające, jak fałszywie wykładają oni pismo. Zaprawdę, pierwej znajdą królestwo niebieskie jawni grzesznicy, niż ci wykładacze pisma!

Od owej chwili Szymon nie radował się już nigdy pustemi przyrzeczeniami i nie gniewał się z odmowy tych, którzy przychodzą może potem w pokorze, aby podjąć ciężką pracę. Jak niegdyś na jeziorze czekał z siecią, czeka i teraz cierpliwie, czyli nie zechcą przyjść. I rozmyśla nad tajemnemi słowami mistrza: Wielu jest powołanych, ale mało wybranych.

* *
*

W królewskiem mieście Jeruzalem żył w owym czasie szczęśliwy mąż. Posiada wszystko, co uprzyjemnia życie: wielkie bogactwa, potężnych przyjaciół i piękne przyjaciółki, które codziennie wieńczą mu głowę różami. Życie jego jest jeszcze młode, wszystkie życzenia jego spełnione, prócz jednego, tego, aby tak zawsze trwać mogło. I kiedy wśród głośnych zabaw nadejdzie chwila skupienia, kiedy zastanawia się nad sobą i rozważa swoje szczęście, ogarnia go lęk. Tak, ogarnia go lęk, bo widzi codziennie wszędzie, jak dobrobyt

przemija, a mary tych, którzy jeszcze wczoraj żyli w zadowoleniu, wędrują do grobów.

Aż oto słyszy ów szczęśliwy i zalękniony człowiek, że tam na pustyni żyje prorok, który posiada wieczne życie. Zna on niezniszczalne bogactwa i szczęśliwości i pół świata biegnie do niego, aby w nich uczestniczyć. A więc postanawia i Symon — takie jest jego nazwisko — pójść do tego człowieka. Chowa swoje klejnoty do skrzyń żelaznych, oddaje swemu zarządcy pieczę nad swojemi pałacami, winnicami i okrętami, razem z wszystkimi parobkami, oddaje swoje nałożnice opiece bogów i zgromadza koło siebie niewolników. W miękkiej, jasnej szacie, ozdobionej złotem i klejnotami, z krzywym mieczem u boku, na kapeluszu szeleszczące pióra rzadkich ptaków, tak wyjeżdża na rosłym karoszu z miasta. Towarzyszy mu orszak służebników; u boku jego jadą na afrykańskich wielbłądach ruchliwi murzyni, trzymając nad nim krążek olbrzymiego wachlarza i chłodząc jego twarz powiewem kolorowych piór. W złotych naczyniach niosą z sobą owoce wschodu i południa, smakowite przyprawy z zwierząt morskich i ptaków, wyborne wino, wonne kadzidła i poduszki do spania. W pewnem miejscu — orszak ten spotyka czarne postacie, niosące zmarłego. Leży on na wysokiej desce, owinięty w płótno, a nad nim krąży w powietrzu kruk. Symon odwraca się z niechęcią, natura jego wzdraga się przed wszystkiem, co martwe. Każe rozrzucić między orszak pogrzebowy pieniądze i najchętniej zarzuciłby na wszystkie cierpienia i żałoby pstrą, klejnotami ozdobioną zasłonę.

Gdy przybywa w góry, cudzoziemskie zwierzęta poczynają potykać się i pozostają w tyle. Karosz stawia niepewne kopyta na dźwięczące płyty, głowa jego wspina się i nie chce iść naprzód. Symon naradza się, jakby pójść dalej. Krajowcy przyprowadzają muły i ofiarowują mu, ale on odmawia. Na takim pospolitym zwierzęciu nie chce stanąć przed prorokiem, który posiada klucz do niezniszczalnych skarbów i nieskończonego życia. Niewolnicy muszą zbudować lektykę, Symon kładzie się na miękkie poduszki pod lśniącym celtem i tak niosą murzyni pana w pustyni. Gdziekolwiek odpoczywają w oazie, zamienia się ona na królewski obóz; służebnicy podają mu napój źródlany w kryształowych puharach, zwinni kucharze przyprawiają mu jadło, piękne kobiety, których skóra jest delikatna jak jedwab a brunatna jak miedź, rozpuszczają przed nim czarne włosy, zabawiają go grą na harfie, a uzbrojeni pachołkowie strzegą go przed wodzem zbójów Barabaszem.

Ponieważ kraina staje się coraz bardziej nieprzystępna, iż mimo użycia wszystkich środków nie można uniknąć niektórych trudności, Symon przypomina sobie wygodę w swoim pałacu w Jeruzalem i myśli o powrocie. A jednak jakaś siła ciągnie go ku prorokowi i chęć poznania nieśmiertelności. Przez nagie pagórki wracają ludzie, którzy znają już nauczyciela, co przebywa na drugim końcu pustyni, zgromadził koło siebie wszelki lud i mówi o wiecznem Królestwie Boga. Przeto lektyka wędruje dalej i następnego dnia schodzi przez jałowe rozpadliny skalne w dolinę, ocienioną kilkoma drzewami oliwnemi i figowemi.

Dokoła jednego z takich drzew stoją i siedzą przykucnięci ludzie, przeważnie nędzne, zrozpaczone postacie, nędzarze, błądzący po świecie bezdomni i opuszczeni przez miłość. Otuleni w liche łachmany i zgarbieni zwracają swoje twarze ku drzewu — bo stoi on i mówi:

— Nie bądźcie smutni i wątpiący. Nie stracicie nic na kuszącym świecie. Do was należy ojciec i jego królestwo. Zawierzcie mu, jesteście jego dziećmi. Pocieszajcie się miłością, lżej wam będzie, jeśli będziecie kochać, niżli nienawidzieć. A we wszystkiem, co się wam przydarzy, dbajcie pilnie o duszę, gdyż tylko ją możecie stracić.

Symon słyszał dokładnie dziwne słowa i pomyślał: Czyli to ten? Nie, mędrzec nie siada wśród gromady pospólstwa. A jednak mówią, że to on.

Symon zstępuje z swojej lektyki, jedną ręką przyciąga do siebie miecz wygięty jak sierp, aby nie brzęczał po kamieniach. Tak posuwa się powoli. Zgniła woń pleśni, unosząca się z starych szat, pot rzeszy — jakie wstrętne! Zgromadzeni cofają się z lękiem przed tą świetlaną postacią władzcy, jakiej nie widzieli jeszcze w otoczeniu mistrza. Jezus stoi spokojnie pod drzewem figowem i widzi nadchodzącego cudzoziemca. Trzy kroki przed nim pan ten staje, przykłada rękę do czoła i pozdrawia go jak jakiegoś króla.

— Panie — mówi cudzoziemiec, a głos jego nie jest tak ostry i donośny jak przedtem, gdy wydaje rozkazy swemu orszakowi, ale przytłumiony i zalękniony — przychodzę do siebie z dalekiej drogi. Długo ciebie szukałem.

Jezus wyciąga do niego w milczeniu rękę.

Symon jest podniecony, chciałby przemówić w wyszukanych słowach, ale słowa nie chcą płynąć z jego ust. Jąkając się mówi:

— Panie! Słyszę, że znasz wieczne życie, przeto przychodzę do ciebie. Powiedz mi, gdzie go szukać? Co mam czynić, aby mieć żywot wieczny?

Jezus czyni krok naprzód, spogląda na niego poważnie i mówi:

— Jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania Mojżesza.

— Mojżesza? — odpowiada zdumiony cudzoziemiec. — Przecież czynię to. Jakkolwiek pochodzę z pogan, w tych rzeczach poddałem się ludowi, wśród którego żyję. Ale nie o to chodzi. I Żydzi umierają. A ja chciałbym żyć wiecznie.

Wtedy mówi Jezus:

— Chcesz żyć wiecznie, to trwaj przy tym, który żyje wiecznie. Szukaj Boga przed wszystkiemi rzeczami i miłuj bliźniego twego jak siebie samego.

— O Panie! — mówi Symon — staram się to czynić, a jednak lękam się.

Na to Jezus:

— Lękasz się, ponieważ winieneś i chciałbyś to czynić, a nie czynisz. Posiadasz pałace w mieście, włości na wsi, okręty na morzu, wyładowane kosztownościami. Posiadasz tysiące niewolników. Twoi zarządcy wypełniają książki, gdy spisują to, co posiadasz.

— Panie, wiesz o tem wszystkiem?

— Przyjacielu, twój strój lśni od bogactwa.

Spójrz na tych ludzi, którzy mi towarzyszą. Złe mają odzienie, a radosną duszę. Jeśli zamierzasz czynić poważnie, oddaj wszystko, co masz.

— Oddać? Wszystko co mam?

— Musisz to oddać i stać się jak oni. Potem przyjdź do mnie, zaprowadzę cię do żywota wiecznego.

Gdy Jezus powiedział jeszcze to i owo, cudzoziemiec pochyla głowę i cofa się powoli. — Co? Mam się zrównać z tymi pospolitymi, żebraczymi ludźmi. Zejść dobrowolnie z mego wysokiego stanowiska w tę bezgraniczną nędzę? Nie, tego nikt nie potrafi. Nikt.

Wraca do swojego orszaku i jest niezmiernie zasmucony.

Jezus spojrzał za nim w zamyśleniu, łagodnem okiem.

— Któż to jest? — pyta jakiś uczeń. — Odziany jest zupełnie w płaszcz królewski. Takich jedwabi nie widziano jeszcze. Czy to książę z dalekiego wschodu? Jeśli przyszedł poto, aby nas obdarować, to zapomni teraz o swoim zamiarze.

Nie zważając na figlarną mowę mistrza, mówi z namysłem:

— Trudno jest wnijść bogaczowi do królestwa niebieskiego. Wola ludzka jest za słaba. Zmysły ich przesycone są upojeniem, a dusze ich omdlewają w tęsknocie. Tak, moi przyjaciele, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez dziurę igielną, niż bogatemu wnijść do królestwa niebieskiego.

Słowa te wypowiedział bez goryczy, raczej ze smutkiem. A wtedy ktoś mówi:

— Tak, gdy przykazania są za ciężkie, stają się źródłem grzechów. Bo musi się je przekroczyć.

Jezus spogląda na wątpiącego i mówi:

— Pocóż ja przyszedłem? Pocóż wam pokazuję, jak lekkie jest brzemię? Czyliż nie widzicie na sobie, jak się człowiek staje wolny, gdy ustaną wszelkie troski i zabiegi? Poznacie to dopiero wtedy, gdy spłynie na was łaska ojca.

Uszy ich ledwie to słyszą. Przepych rozprószył już ich uwagę i pożądliwemi oczami patrzą za orszakiem, który powoli oddala się z swoimi końmi, wielbłądami, murzynami i pięknemi kobietami. Stary, garbaty Izraelita, który przykucnął za głazem kamiennym, szepce z pewną złośliwością:

— Zdaje mi się, że woleliby odjechać z tym poganinem, niż czekać tutaj na łaskę Ojca niebieskiego.

Symon leży znów na swojej kołyszącej się lektyce i rozmyśla. Próbuje pogodzić nieudałej sprawy z własnem sumieniem. — to jest fantasta, ten prorok! Co to znaczy królestwo boże? Urojenia i marzenia! mogą tylko uczynić ludzi leniwymi i bezsilnymi. Nauka dla nicponiów i wagabundów. Tak wygląda jego: Wiecznie żyć! Tak, istotnie: Jak długo żyje, sądzi, że ma słuszność, a gdy umrze, nie może już wiedzieć, że nie ma słuszności. Posiadacz a nie właściciel swoich dóbr? Musiałby je oddać, rozdzielić między ubogich? To ubóstwo, wykluczające wszelki polot i strącające w nędzną codzienność. Nie, to nie jest moje zbawienie. Zresztą moja podróż przez pustynię

będzie miała dla mnie jeden przywilej. Teraz będzie mi znów lepiej w domu.

Jednak nadarzyła mu się sposobność ponownego spojrzenia na świat, od którego się teraz odwrócił. Wielu ludzi, znęconych przepychem jego orszaku, szło za nim zdala. I trzej uczniowie poszli za nim, jedynie poto, aby wywołać nieporozumienie. U źródła bijącego z szczeliny skalnej i pokrytego zieloną murawą, dognali znakomitego cudzoziemca. Murzyni nie chcą ich dopuścić, ale Symon uważa ich za nieszkodliwych i każe ich przyprowadzić przed siebie.

Jakób, jeden z uczniów, mówi:

— Dostojny panie, szkoda! Jesteście jednym z tych nielicznych, którzy opuścili bezowocnie naszego mistrza. Nie jest to tak źle, jak sądzicie. On sam powiada, że kto tylko posiada silną wolę, nie jest stracony. Prowadzi już do tego wola wiecznego życia.

— Po to? — woła Symon — to, czego on żąda, jest niemożliwe!

A Jakób:

— Mistrz myśli zawsze o najwyższym celu i mówi w wielkich słowach, aby lepiej utkwiły w pamięci.

Symon wzbrania się, machnąwszy ręką, ozdobną w złote pierścienie:

— Oddać wszystko, wszystko, co się posiada! Żyć w nędzy...!

Wtedy występuje inny uczeń, staje w swoim wypłowiałym stroju i mówi:

— Popatrzcie na nas, panie! Czyż oddaliśmy wszystko? Nie mieliśmy więcej niż dzisiaj, a to

cośmy mieli, posiadamy dziś. Nasz brat Tomasz ma tylko jedną szatę, ponieważ jest dużej tuszy, a ja mam dwie szaty, ponieważ szybko marznę. Gdybym miał złe nogi, mistrz zezwoliłby mi używać muła, jak zezwolił Tadeuszowi. Każdy ma to, czego potrzebuje. Jesteście dostojnym panem i potrzebujecie więcej niż każdy z nas. Ale to, co posiadacie, nie możecie tak prędko zużyć sami. A jednak potrzebujecie tego, ponieważ zatrudniacie wiele setek ludzi, pracujących dla dobra kraju i żyjących z was. Powiadam wam, że zupełnie dobrze możecie być jego uczniem.

A Jakób mówi:

— Ale jeśli ktoś chce odbyć pielgrzymkę po królestwo boże i jedzie jak cesarz indyjski! Nie, mój panie, ponieważ nie możecie już zerwać zupełnie ze światem, ćwiczcie się i czyńcie tymczasem jedno. Miłujcie waszych bliźnich. Zatrzymajcie swoją jedwabną szatę, ale odziejcie także nagich. Zatrzymajcie swego konia pod wierzch, ale podarujcie ułomnym kule. Zatrzymajcie waszą godność, ale wyzwólcie niewolników. Dajcie pachołkom to, co się im należy. Jeśli jednak myślicie, że to, co wydobędziecie z pól, kopalni, warsztatów, należy tylko do was, biada wam! Wierzcie mi, dostojny panie, że bogactwo, które posiadacie, jest zawsze niebezpieczne dla życia. Najpewniejszą ochroną przeciw zazdrości, zawiści i napaściom jest ubóstwo.

— To mogę uczynić — oświadcza Symon.

— Dobrze, zatem powiedzcie waszym niewolnikom: Jesteście wolni. Jeśli chcecie mi dalej służyć, będę dla was dobry. Chcecie iść własną drogą,

weźcie sobie żywność, szaty, wielbłądy, co wam potrzeba. Uczynicie to, cudzoziemcze?

— Marzycielu! marzycielu! — woła gwałtownie Symon. — Jak ty patrzysz na ludzi! Takimi oni nie są, tak nie jest.

— Ale kiedyś będzie — mówi uczeń.

— To jest mesjasz, który burzy państwo, miast je budować! — woła Symon, wskakuje na lektykę i daje znak do wymarszu.

Orszak postępuje powoli przez ciemne pola kamienne. Uczniowie patrzą za nim w milczeniu.

Na żółtym śniegu leży starzec. Jest tak malutki i szary jak duch górski. Starzec ten jest na dalekiej, pustej przestrzeni jak u siebie w domu. Lubi pustynię, gdzie mieszkają wielkie myśli. Lubi pustynię, gdzie spodziewa się znaleźć bramę wiodącą do nicości. Obserwował rozmowę i gdy teraz uczniowie wracają tuż koło niego, podnosi się powoli z piasku i pyta:

— Czego szuka ów niecierpliwy człowiek, z którym rozmawialiście?

— Szuka siły wiecznego życia.

— Wiecznego życia? — woła zdziwiony starzec. — I dlatego każe się ów człowiek wlec po pustyni? Jacy to są dziwni ludzie. Poszedłbym nie wiem gdzie, aby znaleźć moją nirwanę. Wiecznego życia życzę tylko moim wrogom. Już dawno powiedziano mi, że mam sto lat. Jeśli jesteście mędrcami, pouczcie mnie i powiedzcie, co mam czynić, aby osiągnąć nicość?

Są zdumieni. To jest niezwykłe zjawisko. Istniejący, który nie chce istnieć! Ale Jakób wie, co mu odpowiedzieć.

— Przyjacielu, pragnienie twoje jest skromne, ale nie może się spełnić. Nicość nie istnieje. Jeśli umrzesz, stracisz tylko ciało, ale nie siebie. Może nie będziesz żył, ale będziesz istniał, jak dzisiaj nie żyjesz, a jesteś. Oddychać i czekać, to nie znaczy żyć. Życie, to jest spełnienie, miłość — królestwo niebieskie.

— Moim królestwem niebieskiem jest nirwana — mówi starzec i znów zagrzebuje się w piasek. — I w błogiej samotności spoczywam w nirwanie!

Gdy idą dalej, mówi Jakób:

— On lęka się wiecznego bytu, ponieważ nie zna żadnego Boga. Ale bliżej jest nas, niż ów bogacz z swoją żądzą świata.

Symon ruszył dalej i koło wieczora dotarł do oazy Kaba. Tam każe rozbić na noc namioty. Dokoła służebnicy, wielbłądy, zwierzęta, w środku namiot, w którym spożywa wieczerzę, rozciąga się na poduszkach i każe się wachlować do snu dziewczętom. Ale nie spał dobrze. Ma ciężkie sny: W Jeruzalem pali się jego dom, na wzburzonem morzu rozbija się okręt, nieuczciwi strażnicy włamują się do jego skrzyń. A wśród tego słyszy nieustanne wołanie: Oddaj wszystko! — O północy budzi się. Ale to nie jest sen, ale okropna rzeczywistość. Dokoła namiotów huczy stłumiona wrzawa, czarne postacie skradają się z błyszczącą bronią, w obozie pełzają po ziemi. Przed Symonem stoi smukły, osmalony mężczyzna, otoczony Beduinami, dzierżącymi pochodnie i noże.

— Nie lękaj się, piękny panie — tak przemawia do przerażonego Symona, początkowo niewiadomo, czy życzliwie czy też szyderczo. — Zakłócamy

wprawdzie wasz spokój, ale nie przychodzimy w złym zamiarze, jeśli nie będziecie się opierać. Oddaj wszystko, co masz!

W pierwszem oszołomieniu sądzi napadnięty, że słyszy głos proroka—ale wkrótce zauważa różnicę. Prorok i jego uczniowie oddają wszystko, co mają. Ten człowiek zabiera wszystko, co mają inni.

— Znam ciebie już, dumny obywatelu Jeruzalemu. Jestem Barabasz, zwany królem pustyni. Nie próbuj opierać się. Trzystu uzbrojonych mężów trzyma w tej chwili honorową straż przed twoim obozem. Z twoją służbą pogodziliśmy się już, a także z twoim rycerzem pancernym, ci nie sprzeciwiają się.

Tako rzecze wódz, a biedny bogacz pojmuje, co to znaczy. Pachołkowie jego zabici, jego czeka to samo niebezpieczeństwo. Jak to powiedział ów uczeń proroka? Bogactwo zagraża życiu, a ubóstwo chroni je! Gdyby był rozpuścił swój orszak i rozdał mu wszystko, a sam ruszył piechotą jak pospolity pielgrzym, sztylety zbójów nie zwracałyby się teraz przeciw jego piersi. W nagłej wściekłości wybucha:

— Bierz więc, co jest, i nie szydź ze mnie, ty przeklęta bestjo pustynna!

— Spokojnie, spokojnie, kochany panie! — mówi wódz, gdy tymczasem brunatni ludzie zgarniają dywany, szaty, broń, klejnoty i złote puchary i wrzucają do wielkiego worka. — Patrz, pomagamy ci uprzątać!

— Precz z tem rupieciem! — woła Symon — zostawcie mnie w spokoju!

Wódz Barabasz mruczy:

—Zdaje mi się, przyjacielu, że zbyt spoufaliliśmy się z sobą, abym cię mógł puścić z powrotem do Jeruzalem. Miałbyś tam na mnie zbyt wielką chętkę i wysłałbyś Rzymian, aby mnie szukali i odstawili do pięknego grodu królewskiego. Podług mojego gustu żyje się na pustyni przyjemniej. Powiedz mi tylko, gdzie są ukryte twoje rulony złota, które taki pan jak ty zawsze z sobą wozi lub gdzieś przechowuje. Nie? To pójdziesz spać.

Ten, który wyruszył, aby znaleźć wieczne życie, może teraz stracić doczesne. W trwodze śmiertelnej, z potem zimnym na czole, poczyna się targować z królem pustyni o swoje życie. Daje za nie nietylko to wszystko, co tu jest. Rzadkie korzenie i futra przywiozą mu ze wschodu najbliższe karawany, złoto w sztabach, diamenty i perły przybędą indyjskimi okrętami, wszystko to wyśle na pustynię i doda jeszcze piękne niewolnice, aby ozdobić ich piersi klejnotami. Niech mu tylko zostawią samo życie.

Z szyderczo uśmiechniętą twarzą, marszcząc swój płaski nos, wódz daje mu do zrozumienia, że Barabasza nie można przekupić kobietami i obiecankami, na to jest już za mało młody. Ale, że nie puści nikogo, aby naprowadził na niego kata, na to jest zbyt mądry. Ma natowiast inne życzenie. Smukła, biała szyja dostojnego obywatela przystroi go lepiej, niż metal albo jedwab. — Z kieszeni płaszcza wyciąga jedwabny sznur, gdy tymczasem dwaj Beduini przytrzymują Symona.

Równocześnie przy blasku pochodni drugi wódz zajęty jest w obozie ładowaniem zdobytych skarbów na wielbłądy. Ilekroć potknie się o trupa,

przeklina, a gdy skończył robotę, szuka swego towarzysza. Skrępowane kobiety jęczą głośno, nie z powodu swojego niewolnictwa — są do niego przyzwyczajone — ale dlatego, że w namiocie ma być zamordowany ich władzca. Wtedy ten drugi wódz wyrywa jednemu z pachołków pochodnię, biegnie do namiotu i przychodzi właśnie w porę.

— Barabaszu! — woła, odtrąciwszy kata — nie pamiętasz, cośmy postanowili? Zabijamy tylko walczących, ale nigdy bezbronnych!

Barabasz cofa od ofiary swoje suche ręce i zaklina się płaczliwym głosem:

— Dyżmasie, jesteś okrutny! Czyż mnie, starcowi, nie można mieć żadnej przyjemności?

Dyżmas mówi dobitnie:

— Jeśli starzec nie dotrzymuje swojego przyrzeczenia, to pachołkowie zechcą się również zabawić i sporządzić królowi pustyni inną koronę.

To poskutkowało. Wobec ogromnego wpływu Dyżmasa na zgraję bandytów, Barabasz musiał ustąpić.

Gdy dnieje, Symonowi przyprowadzają muła. Dodają mu jednego z jego niewolników, z przewiązanem ranionem ramieniem, aby niósł dwa chleby i płaszcz i prowadził zwierzę. I tak rusza obrabowany i pobity obywatel Jeruzalemu w powrotną drogę do miasta, z którego z takim przepychem wyszedł przed pięcioma dniami.

W królewskiem mieście wywołał ten napad olbrzymie poruszenie. Domagają się gwałtownie od wojska, aby przeszukało pustynię między Jeruzalem a okolicą Jordanu, gdzie dokonują raz po raz śmiałych napadów. Nawet rabini i faryzeusze głoszą wyprawę wojenną, aby oczyścić raz skaliste góry i stepy z niebezpiecznych i zgubnych hord, które tam grasują. Osławiona banda wodzów Barabasza i Dyżmasa — powiadają — nie jest jeszcze najgorsza. Znacznie poważniej skupiają się rzesze różnego ludu dokoła tak zwanego mesjasza z Nazaretu, który wygłasza buntownicze mowy w pustyni, gdzie czuje się bezpieczny. Postanowiono więc wysłać wielkie oddziały żołdaków pod żarliwym faryzeuszem Szawłem, tkaczem, który z zapału do zakonu porzucił swój zawód, aby pomóc w uwolnieniu kraju od rozbójniczego i heretyckiego pospólstwa.

Właśnie w owym czasie ogarnęła starego przywódzcę zbójców Dyżmasa dziwna skrucha. Przedewszystkiem znienawidził zabijania i zawsze starał się przeszkodzić morderstwom. Teraz obrzydły mu także rabunek i łupiestwo. W nocy widzi straszliwego Jehowę. Myśli o proroku Janie i uważa, iż nadszedł czas skruchy. Więc pewnego dnia mówi do Barabasza:

— Wiesz, towarzyszu, że właśnie teraz przebywa w oazie Silam pewien książę, który posiada jeszcze większe bogactwa, niż ów obywatel z Jeruzalemu? Znam drogę, znam jego ludzi — nie jest ich wielu — i wiem, jak mam postąpić. Chwycimy tego pana!

— Należałoby cię rzucić sępom na pożarcie, Dyżmasie, gdybyś miał wiecznie pozostać bezczynny.

Temi słowami dziękuje mu Barabasz i napad jest postanowiony. Dyżmas prowadzi część hordy w kierunku oazy Silam. Barabasz jedzie z nim,

przystroiwszy rumaka różnokolorowemi piórami, a czoło ukoronowawszy żelazną obręczą. Dyżmas umieszcza bandę pod urwiskiem skalnem. A gdy wszystko układa się do snu, aby po północy uderzyć świeżemi siłami na książęcy orszak, Dyżmas wstępuje na skałę i daje znak. Ukryte za ścianami żołdactwo rzymskie wypada gwałtownie, wycina wszystko, co się sprzeciwia, a wszystko inne bierze do niewoli. Między pojmanymi znajdują się Dyżmas i Barabasz. Gdy ten widzi, że jest zdradzony, poczyna szarpać kajdany jak dziki zwierz.

— Czego ty chcesz, bracie? — mówi Dyżmas do Barabasza, który go tak często gorzko wyszydzał. — I ja jestem pojmany. Czyż nie głosiłeś zawsze, że silniejszy ma słuszność. Popatrz, tym razem słuszność mają Rzymianie. Oszukałeś mnie raz i zmusiłeś do współdziałania z zbójnickimi Beduinami. A teraz ja ciebie oszukałem z silnymi Rzymianami. A ci wsadzą nas z pewnością na krzyż!

I jak gdyby to było prawdziwą rozkoszą, uderza wesoło po ramieniu swego towarzysza, aż dźwięczą łańcuchy:

— Tak, braciszku! Wsadzą nas na krzyż!

Potem prowadzą ich do Jeruzalemu. Tak leżą całemi tygodniami w więzieniach, czekając na śmierć. Dyżmas wyprasza sobie oddzielny areszt, aby spokojnie rozważać stracone życie. Przesunął się wtedy przed nim nieskończony rząd ciemnych, krwawych postaci. Ale także jeden świetlany obraz. Jedyny. Było to przed wielu laty, przypomina sobie dokładnie owe dawne

chwile. Na wielkbłądzie siedzi młoda matka z dzieckiem. Dzieciątko wyciąga małe rączki, z oczu jego trafia go jedno spojrzenie. Nigdy w życiu nie spojrzał tak na niego żaden człowiek, tak płomiennie i miłośnie, jak owo dziecko. Och, gdyby chociaż raz przed śmiercią mógł zobaczyć taki promień światła!...

* * *

Gdy zgromadzona dokoła Jezusa rzesza ludu słyszy, że Szaweł, zawzięty tkacz, ciągnie przez pustynię ze zgrają siepaczy, poczyna się rozpraszać. Obawiają się przykrych następstw. Uznają słuszność nauki, ale większość z nich nie chce dla niej cierpieć prześladowania. Wrócą więc do swych domowych obowiązków, do swych rodzin, rzemiosł i zawodów, gdzie będą żyć wedle sił podług nauki mistrza. Opuszczają go, ponieważ wydaje się im, że sprawa jego upadła. Tak topnieje rzesza z dnia na dzień i wkońcu zostaje przy nim tylko kilku wiernych. Niektórzy z tych spodziewają się, że przecież okaże on wkońcu swoją moc jako mesjasz. Ale i ci nalegają, aby poszedł z nimi w inne strony. Jezus nie lęka się stawić czoło swoim wrogom w Jeruzalemie, ale czas jeszcze nie przyszedł, budowa nie jest skończona. Wie, że nigdy już nie wróci, bo im bardziej niezbite jest jego dowodzenie, tem niebezpieczniejsze wyda się im. Opuścił więc góry z uszczuploną swoją gromadką i wyruszył znów do rodzinnej Galilei.

Ale tutaj są jego przeciwnicy, jak dawniej,

domy zamykają się, gdy się zbliża, ludzie odwracają się, gdy zaczyna mówić. Jedyna Marja mówi do niego z całą prostoduszną wiernością matki:

— Jesteś nareszcie, moje dziecko! Teraz zostaniesz przy mnie!

Ale w domu niema dla niego odpowiedniego miejsca. Przyjęto obcego czeladnika, który przywędrował z Jerycho i usadowił się na dobre w warsztacie. Siekierą i piłą, którą niegdyś pracował Jezus, ociosuje drzewo; przy ogniu i przy stole, gdzie dawniej siedział Jezus, siedzi teraz on i mrucząc spożywa podane jadło; śpi w łóżku, w którem spoczywał niegdyś Jezus; ale jak się zdaje, nie marzy tak słodko, bo stęka i mruczy, a obudziwszy się, jest niezadowolony, iż czeka go znów ta sama robota, którą poprzedniego dnia niechętnie porzucił. Jakże często patrzy na niego w milczeniu, i zastanawia się nad różnicą między tym czeladnikiem a jej Jezusem. I gdy potem przedstawiła sobie, jak beztroskliwie może ten człowiek iść codziennie na spoczynek i do stołu, gdy jej syn głoduje może na obczyźnie i nie ma może kamienia, aby go podłożyć pod głowę...

Teraz Jezus jest wkońcu tutaj.

— Matko— mówi do Marji — nie powiedz temu Aronowi żadnego przykrego słowa. Patrz, on jest biedny, niezadowolony i przygnębiony, doznał od ludzi mało dobrego i nieświadomie łaknie dobroci. Jeśli rano chcesz mi podać wodę do oczyszczenia, podaj ją jemu. Jeśli w południe chcesz mnie nakarmić, nakarm jego. Jeśli wieczorem chcesz mnie pobłogosławić, pobłogosław jego. Wszystko dobre, które życzysz mnie dalekiemu, uczyń jemu.

— A ty — nie żądasz niczego więcej odemnie?

— Matko, chcę od ciebie wszystko i ciągle jestem przy tobie. W każdym biedaku możesz mi pomóc. Mnie się godzi postępować z ludźmi surowo, ty bądź łagodna. Muszę wypalić z wrzodów dzikie mięso, ty lecz rany.

Jakże się cieszy, że tak do niej mówi. Bo życiem jej jest — być dobrą i pomagać, gdzie można. Od czasu więc, gdy obudził jej miłość, nie czuje się tak osamotniona, ale złączona z nim na zawsze, i przenika ją przeczucie, iż to bolejące serce matczyne otrzyma jeszcze kiedyś nieporównane zadośćuczynienie.

Potem wyrusza Jezus jeszcze raz w drogę przez kraj rodzinny, chcąc się przekonać, czy nasienie jego nauki schodzi jeszcze gdzieśkolwiek. Ale ziemia jest jałowa. Wszystko nieurodzajne. Nie zasmuca go tyle żarliwość, z jaką zwalczają go liczni wrogowie, ani wrogie przeciwstawianie się jemu i jego nauce, ale raczej obojętność, uporczywe, bezduszne przywiązanie do codziennych błahostek, zupełne niezrozumienie i ociężałość w życiu duchowem. Początkowo poruszyła ich nowość i niezwykłość jego wystąpienia — ale to przeszło. Obojętne im, czy to nowi czy starzy prorocy. Jeden taki sam jak drugi, myślą, i nie mówią ani tak ani nie.

— Gorących i zimnych — woła raz Jezus — mógłbym przyjąć, ale ciepłych nie. Gdybym głosił naukę w krajach pogańskich, albo w zepsutych miastach morskich Tyrze i Sydonie, czyniliby jawną pokutę. Gdybym był nauczał w Sodomie i Gomorze, miasta te stałyby do dnia dzisiejszego.

Ale te miasta Galilei toną w błocie i bezwstydzie — szydzą z swego proroka. Gdy przyjdzie sąd ostateczny, krajowi temu gorzej będzie niż owym miastom występnym. Biedna moja Betsaido, i ty Magdalo, ukochany zakątku! I Kafernaum, urocze miasteczko! Jakże was umiłowałem, jakże was wielce ceniłem, jakże was wysoko wyniosłem! A teraz spadacie w przepaść. Wielbijcie waszą mamonę, w dniach nędzy; innego pocieszenia nie znajdziecie. Śmiejcie się, hulajcie, i bądźcie dziś twardzi, jutro będziecie głodować i jęczeć: Straciliśmy wszystko. Wierzcie mi, że przyjdzie dzień, gdy zechcecie usprawiedliwić się przedemną: Panie, chętnie chcieliśmy cię nakarmić, napoić i przyjąć u siebie, ale nie byłeś u nas. A ja byłem u was. Byłem we wszystkich cierpiących głód i pragnienie, we wszystkich bezdomnych, ale nie chcieliście mnie poznać. Nie oskarżę was przed ojcem niebieskim, ale oskarży was Mojżesz, którego przykazania złamaliście. A ojciec, którego wzywać będziecie, powie: Nie znam was.

Uczniom drży serce i umysł, gdy wymówił te gniewne słowa. Ale nie dziwią się.

Jednej z następnych nocy budzi Jezus swoich wyznawców i mówi:

— Wstańcie, a pozwólcie spać innym, bo nie pójdą z nami. Droga nasza będzie ciężka. Czyhają na nas wrogowie. Kto z was lęka się, niechaj śpi dalej.

Wtedy niektórzy kładą się z powrotem, a tych, którzy idą z mistrzem, jest dwunastu.

I wędrują przez wzgórza Kany, góry Giszale, najpierw ku północy, a potem ku zachodowi.

Uczniowie nie wiedzą dokąd, wystarcza im, że są przy nim. Ale po drodze znajdują niejednego wyznawcę, a także niejednego, który umyślnie zaprasza mistrza do domu, aby móc powiedzieć: Znam go. Między nimi są znakomici mężowie, którzy słuchają jego słów z najwyższą uwagą, a potem targują się z nim, czyby królestwa niebieskiego nie można osiągnąć taniej, jak za cenę świata. Na to odpowiada on stale:

— Cóż wam pomoże świat, jeśli nie macie duszy! Na tem jedynie polega tajemnica zbawienia, aby człowiek znalazł swoją duszę, przechował ją i wyniósł do ojca.

Albo mówi innemi słowami, że Boga znajduje się w duchu!

Pewnego dnia Jezus oddala się od swoich uczniów i idzie sam przez wzgórza. Dzień jest gorący, a kamienie rozpalone. Przychodzi do grupki drzew figowych, obok której jest studnia. Siada w cieniu. Wtedy przychodzi młoda, brunatna kobieta z dzbanem, aby zaczerpnąć ze studni wody. Przygląda się przytem i gdy chce odejść skromnie jak przyszła, Jezus powiada:

— Daj mi się napić!

Kobieta odgarnia z twarzy czarne włosy i spogląda na niego ze zdumieniem.

— Czy nie jesteś żydem? — pyta nieśmiało.

— Tak — odpowiada Jezus.

— I chcesz pić z mojego dzbanka? Wiesz przecie, że jestem Samarytanką, którą tak gardzicie!

— Nie gardzę nikim, kto jest człowiekiem.

— Mówisz tak zapewne, bo chcesz się napić

wody, a nie masz czerpaka, aby ją wydobyć ze studni.

— I gdybyś mnie nawet skazała na śmierć z pragnienia, nie wzgardziłbym tobą. Jesteś tą, jaką jesteś. Ale znam wodę, która może cię przemienić.

Samarytanka odpowiada w zamyśleniu:

— Jaka to woda?

— Woda w tej studni spoczywa w jamie jak martwa, a kto ją dzisiaj pije, ten ma jutro znów pragnienie. Ale ja znam wodę żywą, która daje pijącemu wieczne życie, iż nigdy tej wody nie pragnie.

Samarytanka spogląda znów na niego ze zdumieniem i zadowoleniem i mówi cicho:

— Powinieneś więc dać mnie do picia, a nie ja tobie.

— Przywołaj wpierw swego męża! — mówi Jezus.

— Mego męża? Nie mam męża.

Wtedy Jezus pochyla kędzierzawą głowę i mówi:

— Miałaś ich już pięciu. A ten, którego teraz masz, nie jest prawdziwy.

Kobieta potrząsa głową i myśli: „Myśli zapewne o czemś innem. Może myśli, że my Samarytanie czciliśmy już pięciu bogów, ale nie możemy znaleźć prawdziwego."

Po chwili podaje mu dzban:

— Więc pij!

Ale Jezus odsuwa tę wodę.

— Mojem pokrzepieniem jest to, że wypełniam wolę Boga.

Samarytanka stoi jeszcze przed nim i myśli: Mówi niejasno, to zapewne jakiś mędrzec. Żydzi mają ich wiele. Spytam go o coś, co mnie już dawno nęka. I pyta:

— Mówisz o Bogu? Żydzi mówią, że Boga powinno się czcić tylko w Jeruzalem. Idziesz tam teraz?

A na to Jezus:

— Nie musi to być w Jeruzalem, gdzie modlą się do Boga żydzi, i nie musi to być na górze, gdzie modlą się Samarytanie. Wiedz, że nie potrzeba do tego ani miejsca, ani rzemyków, ani pisma. Wszędzie, gdzie tylko się znajdujesz, możesz wielbić Boga w duchu i prawdzie.

— Cóż to znaczy w duchu i prawdzie? — pyta.

A na to Jezus:

— Pożądaj tego, a doznasz. Przyjdzie czas, gdy ludzie wielbić będą Boga duchem i sercem. I zapragną wrócić do niego, bo od niego wyszli.

— Słyszę — mówi Samarytanka — iż ma przyjść Mesjasz, który nauczy nas prawdy.

— Przyjdzie i jest już blisko — mówi Jezus.

Tak rozmawiali ze sobą. Potem Jezus odchodzi swoją drogą.

Samarytanka patrzy za nim, jak kroczy między kwiatami i krzewami. Potem przesuwa ręką po czole, jak gdyby przebudziła się z błogiego snu. Duch i prawda, woda życia! Szukaj, a znajdziesz.

Na drodze z Cedazy do Tyru leży wielka zagroda. Gdy właściciel jej słyszy, że prorok jest w pobliżu, wysyła ludzi, aby go szukali i zaprosili do zagrody, gdzie będzie bezpieczny przed nagabywaniami faryzeuszów. Ale on sam jest

jednym z nich i zamierza wybadać Jezusa, oskarżyć go o zdradę państwa i oddać potem władzom. Jezus każe oświadczyć przez posłańca, że przyjmie chętnie zaproszenie, jeśli będzie mógł wziąć z sobą uczniów. Nie leży to wprawdzie w zamiarach faryzeusza, bo żałuje jadła i napojów, które zużyje tyle ludzi, po drugie byłoby mu wygodniej pochwycić samego przywódcę. Aby jednak dostać jednego, zgadza się przyjąć także innych. Przyjmują ich z czcią i ugaszczają. Gospodarz raduje się niezmiernie, że może przyjąć pod swoim dachem „wybawcę narodu żydowskiego" i jest zachwycony zasadami mesjasza. Na cześć jego wyprawia ucztę z wyszukanymi potrawami i wytrawnymi napojami, na której wyposzczeni trochę uczniowie raczą się do syta, a mistrz, który nigdy nie psuje wesołości, bierze żywy udział w biesiadzie. Gdy rozwiązały się języki, gospodarz chce sprytnie nawiązać rozmowę, czyniąc umyślne aluzje i rzucając pytanie, ale gość uprzedza go.

Bo Jezus zauważył, że gdy w sali odbywa się suta uczta, tam na podwórzu odpędzają brutalnie ludzi, którzy odchodzą głodni i rozgoryczeni. Mówi więc nagle, że do dobrego wina godzi się opowiedzieć piękne historje. Więc jedną opowie.

— To wybornie! — woła gospodarz.

I Jezus opowiada:

— Był raz bogaty człowiek, który nosił najdroższe szaty, spożywał pyszne potrawy i żył w weselu i radości. Aż pewnego dnia przychodzi przed jego drzwi chory, napół zagłodzony człowiek, prosząc o odrobiny, które padały z jego stołu. Dostojny gość rozgniewał się, że żebrak

ośmiela się zakłócać mu wesołą ucztę i wypuszcza na niego złośliwe psy. Ale psy nie rzucają się na niego, ale liżą jego wrzody. Żebrak kryje się osłabiony do jamy. Tego samego dnia, gdy żebrak umarł, przychodzi śmierć także do bogacza, rzuca jego utuczone ciało do grobu, a duszę do piekła. A gdy owa biedna dusza znosi tam najokropniejsze męki, żrący głód i palące pragnienie, męka ta wzrasta jeszcze. Przed oczyma zmarłego otwiera się raj i na łonie Abrahama widzi żebraka, którego kazał odpędzić od swoich drzwi. I widzi tam wspaniałe soczyste owoce i tryskające jasne źródła. Wówczas woła: „Ojcze Abrahamie, każ człowiekowi, siedzącemu koło ciebie umoczyć koniec palca w wodzie i zwilżyć mój język, bo cierpię okropne męki." Na to rzecze Abraham: „Nie, mój synu, to się nie stanie. Odebrałeś dobro za żywota twego, a o żebraku zapomniałeś. Teraz on zapomina o tobie. Między tobą a nim otchłań wielka jest utwierdzona." Wtedy bogacz jęczy w piekle: „Biada, biada, biada! Każ więc powiedzieć moim pięciu braciom, którzy żyją jeszcze na ziemi, aby byli litościwi dla biednych i nie przyszli na to miejsce mąk." A Abraham mówi: „Mają na ziemi proroków, ci mówią im to codziennie." A bogacz jęczy: „O ojcze Abrahamie, proroków nie słuchają. Gdybyś zechciał wskrzesić jednego ze zmarłych, aby im powiedział, jak ludzie niemiłosierni są karani, wtedy uwierzyliby." A na to Abraham: „Jeśli nie wierzą żywym, jakże mogą uwierzyć umarłym."

W czasie tego opowiadania mistrza gospodarz wyciągnął kilka razy rękę po puchar, ale cofał ją

za każdym razem i nie może teraz ukryć swojego przerażenia. Stał się małomówny i odeszła mu chęć zastawiania na proroku pułapki. Niepostrzeżenie wykrada się z sali, schodzi do zarządcy i wydaje rozkaz, aby żaden głodny nie odszedł nienakarmiony od jego drzwi.

Jeden z jego przyjaciół, który także siedział przy stole, jest bardzo zadowolony, że ten przywódca ludu odkrył swoją twarz.

— Zrozumiałeś to? Cała ta opowieść jest tylko podżeganiem przeciw posiadającym.

— Daj temu teraz pokój — mówi gospodarz i odwraca się od niego. Potem idzie, zaopatrza proroka i jego uczniów w żywność i daje im wskazówki na dalszą drogę, jak najlepiej mogą ujść przed prześladowcami. Długo patrzy za nimi. — Mają na ziemi proroka i nie słuchają go! Z nim poszedłbym najchętniej sam. Duszę jego usidłał ten, którego on chciał usidłać.

W innych miejscach nie powiodło się tak dobrze naszym uchodźcom. Proroka poprzedza zła sława, mówią, że jest żarłokiem i opojem! Jezus dowiaduje się o tem i mówi:

— Jan prorok pościł. O nim mówili, że opętał go szatan. Ja jem i piję, a wyszydzają mnie także. Nie razi ich u proroków jedzenie ani poszczenie, a prawda, którą głoszą.

Potem przychodzą do wiosek i zagród, gdzie chcą wypocząć, ale ich nie przyjmują. Wtedy ogarnia mistrza gniew. Proch ich ziemi nie jest godzien spoczywać na nogach tych, którzy przyszli głosić królestwo boże. Ludzie bez serca będą odtrąceni! — Ale gniew zmienił się w żałosną

miłość. Gdy jakiś zrozpaczony zbliża się do niego, wyciąga do niego obie ręce, zachęca go, każe mu być dobrym, wskazuje mu radość życia i odsyła go do świętych tajemnic jego własnej istoty. Nawrót do siebie!

Nawrót do siebie! To jest drogowskaz, który wystawił Jezus wszystkim szukającym Boga.

* * *

Wkońcu przybył Jezus z swoimi uczniami nad morze.

Gdy tak rozciąga się przed nimi w nieskończoność, a na błękitnej toni tkwią białe żagle okrętów i w najodleglejszej dali rysuje się prosta linja między niebem a wodą i firmament wznosi się tam tak tajemniczą głębią, ogarnia ich nowy zapał i Szymon proponuje, czyby nie mogli przeprawić się do wesołych Greków i silnych Rzymian.

— Dlaczego nie do dzikich Gallów i strasznych Germanów! — woła Bartłomiej, zniechęcony nieco tą awanturniczością.

— Już od młodości ciągnie mnie do Rzymu — mówi Szymon.

A na to Jezus:

— Szukajcie swojej siły na ziemi ojczystej. Tu w kraju proroków rośnie drzewo. Potem mają przyjść wiary i zaniosą nasienie na cały świat.

Uczniowie, którzy dotąd nie wędrowali nigdy tak daleko, znajdują w Tyrze i Sydonie nowy świat. Ludzie i bogactwa z wszystkich krajów, dziwne postacie i zwyczaje. Wre tutaj skrzętna praca

w składach kupieckich, w warsztatach okrętowych i na okrętach. A inni oddają się wiecznemu próżniactwu, włóczą się półnadzy wzdłuż wybrzeża morskiego, żebrzą z krzykliwą natarczywością w przystani albo leżą bezwstydnie na słonecznych wydmach. Patrz, trędowaci siedzą tu przyczajeni i z lubością pokazują swoje rany. Jeden z uczniów spogląda pytająco na mistrza, czy nie zechce im pomóc? Może wtedy uwierzą w niego.

— Wiecie przecież — odpowiada — że jeśli chcą być uleczeni, aby wierzyć, to lepiej niechaj wierzą, aby wyzdrowieli.

W miastach tych widać także panów i królów z wszystkich krajów, otoczonych oszałamiającym przepychem i malowniczym orszakiem; jeśli inni targują się o korzenie, jedwabie i skóry zwierząt, to oni targują się o godności i zaszczyty. A są tu mędrcy i nauczyciele wszystkich ludów. Na publicznych placach wygłaszają mowy, chwaląc swoich ojczystych proroków i bogów. Hindus głosi naukę swojego Buddy, mag wrzeszczy o ogniu świętym, semita prawi zapalczywie o swoim Jehowie, Egipcjanin śpiewa o Ozyrysie, Grek czci Zeusa, Rzymianin wzywa Jowisza, a Germanin mówi surowym głosem o swoim Wotanie. Włóczą się dokoła czarnoksiężnicy i wróżbici i zachwalają swoje sztuki i umiejętności. Na bryłach skalnych stoją nadzy święci, otoczeni rojem much i pszczół i głusi jak posągi znoszą męki na chwałę swoich bóstw. Uczniowie Jezusa patrzą i słuchają z podziwem, przerażeni, że tak dużo jest bogów! Gdy więc zebrali się potem dokoła mistrza

w jakimś gaju cedrowym, jeden z nim namyśla się, a potem mówi:

— Nasunęła mi się pewna myśl. Czy to jest spoczywający Budda, czy jaśniejący Ozyrys, czy gniewny Jehowa, albo też kochający Zeus, czy walczący Jowisz albo zwycięzki Wotan, czy też nasz Bóg Ojciec: — Zdaje mi się, że to wkońcu wszystko jedno.

Przeraża ich ta śmiała mowa i spoglądają na Jezusa, oczekując gwałtownej odprawy. Jezus milczy przez chwilę, a potem wypowiada spokojnie te słowa:

— Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.

Ledwie pojmują co powiedział, jak temi słowami wyjaśnia olbrzymią różnicę, zachodzącą między nauką jego a innemi.

Mówią jeszcze, gdy drogą jedzie na wysokim karoszu jakiś młody mężczyzna, bez zarostu, o śmiałem spojrzeniu. Ujrzawszy grupkę Nazareńczyków, zatrzymuje konia; koń ledwie może ustać, tupie kopytami i pieniąc się wyciąga w górę głowę.

— Czy to nie jest ów człowiek z królestwem niebieskiem? — pyta jeździec.

Szybko występuje Jakób:

— Panie! Czy wiesz, że go nigdy nie będziesz potrzebował?

— Ja? — mówi dumny jeździec. — Pocóż mi królestwa, którego nie można widzieć, ani słyszeć, ani poczuć w rękach?!

— Ale można je czuć, mój panie!

— On jest tam! — woła jeździec i wskazuje

Jezusa. — Nie, Nazareńczyku, nie wierzę w twoje puste królestwo niebieskie.

Na to Jezus:

— Może kiedyś uwierzysz w mój pusty grób.

— Zobaczymy się jeszcze! — mówi jeździec, kłuje rumaka ostrogami, aż staje dęba, i oddala się galopem. Wkrótce widzą uczniowie tylko chmurę pyłu. Mateusz spogląda z zakłopotaniem na swoich towarzyszy.

— Poznaliście go? Nie był to Szaweł, zajadły tkacz? Mówiono już wczoraj w mieście, że przybył tu z legionem żołdaków, aby schwytać Nazareńczyka.

Wtedy nalegają przerażeni:

— Mistrzu, uciekajmy.

Jezus nie jest przyzwyczajony umykać przed rozjuszonymi faryzeuszami, ale istnieje inny powód, aby nie przeczuwających niczego uczniów wyprowadzić z dusznej atmosfery tych światowych miast. Szymon, jakby przeczuwając przyszły los, radzi, udać się do Rzymu. Dobrze byłoby spędzić najbliższe Święta Wielkanocne nad Tybrem, gdyż pogan obawia się mniej niż Żydów.

— Spożyjemy najbliższego baranka wielkanocnego nie w Rzymie, ale w Jeruzalem.

Niedługo potem wyruszają i porzucają gwarne miasto nadmorskie. Ponieważ drogi stają się coraz niebezpieczniejsze, schodzą do wąwozów i zmierzają drogą przez wzgórza Libanonu. I tu nastąpiło wielkie objawienie, które oglądać ma moja strwożona dusza.

* * *

Pewnego dnia odpoczywają pod starym, wytrzymałym na wiatry cedrem. Przez szczeciniaste igliwie deszcz pada kroplami z jednej gałęzi na drugą, a potem na gęstą osłonę, pod którą siedzą przykucnięte postacie, podwinąwszy do siebie nogi i skrzyżowawszy na piersiach ramiona. Zmęczeni i zniechęceni patrzą na wilgotną mgłę, w której zarysowują się jeszcze bliskie wierzchołki i sylwety gór. Starszym mężczyznom posiwiały włosy i broda, a również twarze młodszych wyglądają starzej. Bo trudności są wielkie. Ale zapał nie wygasł w ich oczach. Odłożyli swoje długie kije; sakwy, które zwieszają się niektórym z pleców, są pomarszczone i puste. Tam stoi pień drzewa, tak potężny, iż ledwie trzej mężczyźni mogą go objąć i mający białą, porysowaną korę, jak gdyby w nieklarowanem srebrze duchy wyryły tajemnicze znaki. Na tym pniu, nieco zdala od uczniów, siedzi Jezus. Na głowie niema kapelusza i dzisiaj, jak zwyczajnie, gęste, bronzowo-czerwonawe jego włosy spadają na ramiona. Niewypowiedzianie piękna jego twarz jest jeszcze bledsza niż zwyczajnie. Opiera się o pień drzewa i przymyka oczy.

Uczniowie myślą, że śpi i aby go nie budzić, spoglądają na siebie i mówią po cichu. Dusze ich przepełnione są wrażeniami ostatnich miesięcy. Prześladowania w ojczystym kraju, ponęty wielkiego świata i bezradność wobec przyszłości. Niejeden z nich myśli zapewne o swojem przeszłem życiu. Kto będzie wiosłował w mojej łodzi? Kto będzie pielęgnował moje drzewka owocowe? Kto będzie pracował w moim warsztacie? Kto będzie siedział w moim intratnym domku celnym? Kto

będzie zaopatrywał moją żonę i moje dzieci? Dotąd byłto pochód zwycięski przez kraj, teraz jest ucieczka. Ludzie nie poznali mistrza. Gdyby chociaż zechciał powiedzieć głośno i wyraźnie — kim jest! Wszystko to przedstawia się teraz rozpaczliwie. Jak gdyby gonili za jakimś podżegaczem, uwodzicielem, wrogiem Żydów! Jakże wróg żydów może być królem żydowskim?

Na górach leży śnieg. Z wysokiego Hermonu spoglądają pola lodowe. Gdy nasi wędrowcy spojrzą w górę, widzą między płynącemi mgłami stromą, poszarpaną ścianę, a gdy wzrok ich padnie w dół, widzą przepaście, gdzie huczą wody. Nad pustką płynie orzeł, a w szumiących cedrach gwiżdżą sępy. Wędrowcy z kwitnących niw galilejskiego morza nie widzieli nigdy takich okropności. Ale Szymon jest tak zachwycony tą dziką wielkością, że chce tutaj budować chaty. Inni uczniowie boją się i chętnie skłoniliby mistrza do powrotu. On podnosi głowę, wskazuje na wzgórza i mówi:

— Dlaczego lękacie się, dzieci! Spójrzcie na tę wspaniałą przyrodę! Gdy ludzie przesycą się i znużą, dzikość ta odświeży ich.

Szymon i Jan potakują, gdyż zrozumieli, ale inni nie rozumieją, jak wiele innych rzeczy, które on po wszystkie czasy wypowiedział.

Otulają się silniej w płaszcze i wspinają się w górę, gdzie niema żadnej ścieżki, chociaż muszą tam iść. Mistrz idzie naprzód, a oni kroczą za nim przez zarośla i piargi. Nie myślą nawet o tem, że mistrz może zbłądzić. Aż wkońcu muszą znów odpoczywać na nagim cyplu skalnym, sterczącym

wysoko nad szczytami cedrów. Niektórzy z nich, szczególniej młody Jan, są znużeni. Mateusz sięga do swego konopianego worka i wyciąga z niego malutką kromkę chleba, pokazuje ją towarzyszom i mówi cicho, aby nie usłyszał mistrz, siedzący wysoko na kamieniu:

— To wszystko. Jeśli nie znajdziemy żadnej siedziby ludzkiej, poginiemy.

Wtedy Bartłomiej kładzie dłoń na ramieniu Mateusza i mówi:

— Bracie, daj ten chleb mistrzowi.

— Sądzisz, że jestem głupcem i zjem go sam?

— Jedliście już? — pyta ów.

— Mistrzu, jesteśmy wszyscy syci.

Jezus patrzy na niego przenikliwie i bierze chleb.

W tej chwili z ust uczniów wyrywa się okrzyk radości. W dole rozprószyły się mgły, a wzrok wybiega daleko w świat. Przed nimi rozciąga się błękitna, nieruchoma płaszczyzna, daleko, aż tam, gdzie ostro przecina niebo. Na najdalszem niebie błyszczą chmury jak złote blanki świątyni. Tu i ówdzie na wybrzeżu białe punkciki i łańcuchy wiosek, a tam na morzu gwiazdeczki żaglowców. Obraz jest tak przestronny i słoneczny, że uczniowie muszą się radować.

— Stamtąd, przez wodę, przyszli poganie — mówi Mateusz.

— A tędy wyruszą chrześcijanie — dodaje Szymon.

— Któż to są chrześcijanie? — pyta Bartłomiej.

— Wyznawcy pomazańca!

— Wyruszą i zniszczą Rzymian! — mówi Jakób.

— Pst! — szepcą i kładą palce na usta. — Mistrz tego nie lubi.

Mistrz udaje, że nie słyszy. Wstał i spojrzał w milczeniu. Potem przystąpił do tego i owego, aby odgadnąć z ich twarzy, czy nie opuściła ich odwaga, czy też może wzmocnili się na duchu widokiem wspaniałości Boga. Szymon zamyślił się głęboko. Myśli o słowach mistrza i o cudach, które zdziałał. Z wszelkiej mądrości, jaką słyszał, żadna nie jest tak wielka i jasna, jak ta boska nauka! Stwarza niebo, którego przedtem nie było. A jednak! Dlaczego jest tak słaby? Odwrócił głowę w bok i kiwa nią w zamyśleniu.

— Co za kłopot sprawiają właśni ludzie — mruczy.

Wtedy Jakób uśmiecha się i mówi:

— Twoi ludzie? Gdzież oni są? Widzę tylko jednego, a tym jesteś ty!

— Właśnie ten martwi mnie — mówi Szymon. — Wiedz bowiem, że rakarz jest tchórzem. Nie mogę mu tego darować. Przeraża go nagłość. Przed miesiącem w Kafarnaum, gdy zbliżali się żołdacy i w Sydonie, gdy pojawił się nagle tkacz. O, przyjacielu i bracie! Gdy spędzam z nim codziennie chwile ciężkie i złe, wtedy jestem odważny. Ale w obliczu nagłego niebezpieczeństwa ogarnia mnie lęk. I taki chce pielgrzymować z mistrzem.

— Jesteśmy rybakami, a nie bohaterami — odpowiada na to Jakób.

— Muszę wam wyznać, bracie — wtrąca Andrzej — że nic nie rozumiem i nie podoba mi się. Niech mi ktoś powie, co z nas będzie?

Szymona ktoś przyzywa. To przyszedł brat Filip i ciągnie go za rękaw. Wtyka mu do ręki drobinę chleba. Szymon bierze i daje Mateuszowi.

— Co to znaczy? — pyta Mateusz.

— Dostałem od Filipa, ale nie jestem głodny.

— Ależ bracie! — mówi Mateusz — to jest ten sam chleb, który dałem przedtem mistrzowi.

Tedy chleb ów wędrował w koło od Mateusza do mistrza, od mistrza do Jana, a potem znów od jednego do drugiego, aż wraca do rąk Mateusza. Widząc ich ogromne zdumienie, iż nikt nie łaknie chleba, mistrz uśmiecha się i mówi:

— Chętnie oglądacie cuda. Widzicie teraz znów jeden. Dwunastu ludzi nakarmiło się drobiną chleba.

— Panie, tego nie dokonał chleb!

— Nie, bracie, dokonała tego miłość.

Z drzew spadają kropelki. Inne wiszą na długich szpilkach i błyszczą się. Podobnie jak szeroko w dole rozpostarte morze odsłoniły się teraz szczyty gór, ośnieżone głowice, skalne zręby i pola lodowe, daleko aż po kręgi północy. Panuje ogromna cisza i powiewa ciepły wietrzyk, iż uczniów ogarnia senne marzenie. Niektórzy chcą spać. Inni myślą o przyszłości, co ich jeszcze czeka — i swobodnie zdają się na łaskę Boga.

I naraz, gdy tak jest, Jezus podnosi nieco głowę i mówi cicho, ale tak, że słyszą inni:

— Słyszycie od ludzi wiele o mnie, jakkolwiek przedemną milczycie. Cóż oni mówią?

To nagłe pytanie przeraża uczniów i jeden z nich odpowiada:

— Ludzie mówią różne rzeczy.

— Co mówią ludzie o mnie? Za kogo mnie uważają? — pyta.

Patrzą na niego zakłopotani. Wydaje się im dziwne, że mistrz zważa teraz na to, co mówią ludzie.

— Za kogo mnie uważają?

Wtedy powiada jeden z nich:

— Ludzie wierzą zawsze najchętniej w rzeczy niezwykłe.

A ponieważ Jezus patrzy na nich ciągle jeszcze pytająco, rozwiązują się im języki i opowiadają:

— Ów powiada, że jesteś prorokiem Jeremiaszem. Inny znowu, że jesteś Eliaszem, o którym wiedzą, że wzleciał do nieba na ognistym wozie. Albo mówią, że jesteś prorokiem Janem, którego Herod kazał zabić.

Wtedy Jezus podnosi głowę jeszcze wyżej i mówi:

— Tak mówią ludzie. A wy? Za kogo wy mnie uważacie?

Podziałało to jak grom. Milczą wszyscy. Widzi przecież, że poszli za nim i wie dlaczego. Czyżby zauważył ich powątpiewania? Czyżby zaczął naraz wątpić, że wierzą w niego? Albo zwątpił może o sobie? — To jest tak przykre. A ponieważ milczą, poczyna mówić:

—Przyłączyliście się do mnie, gdyście byli bez obaw, gdy ludzie rozścielali płaszcze pod moimi stopami i zaszczycali mnie mianem mesjasza. Gdy głosiłem królestwo boże, byliście ze mną.

A gdy tamci odsunęli się odemnie, ponieważ droga moja stała się niebezpieczna, a osoba moja wzgardzona, zostaliście przy mnie; gdy słowa moje spełniły się inaczej, niż to rozumieliście, nie dla potęgi świata, ale dla jego poniżenia — zostaliście przy mnie i poszliście ze mną na wygnanie do pogan i w pustkowie górskie. Kimże ja jestem, że trwacie przy mnie?

Są tak poruszeni, że nikt z nich nie może wymówić słowa. Jezus mówi dalej:

— Pójdę znów do Galilei, ale nie znajdę tam ani jednego kamienia, na którym będę mógł złożyć spokojnie głowę. Wszyscy, którzy są ze mną, cierpić będą prześladowanie. Pójdę wzdłuż Jordanu aż do Judei i Jeruzalem, gdzie są najpotężniejsi moi wrogowie. Stanę przed nimi i będę ich sądził. Słowo moje pokona ich, ale posiądą moje ciało. Doznam hańby i poniżenia i spotka mnie najokrutniejsza śmierć. Stanie się to w krótkim czasie. Czy zostaniecie wtedy przy mnie? Skąd pochodzi wasza ufność? Za kogo mnie uważacie?

Teraz zrywa się Szymon i woła głośno i wyraźnie:

— **Tyś jest Jezus Chrystus! Jesteś synem Boga żywego!**

— — — — — — — — — —

Wzniośle rozlega się po wszystkie wieki: Jezus Chrystus, syn Boga!

Jezus wyprostował się. — Czyli dokoła jego głowy nie promienieje blask? — Czy nie błyszczą nieba? — Oczy ich drżą i muszą przysłonić je ręką, aby ich blask nie oślepił. Z blasku słyszą

głos: „On jest moim synem! On jest moim ukochanym synem!“ Uczniowie są przejęci do głębi, ciała ich martwieją, bo dusze są na wysokościach. Wtedy Jezus występuje z światła i zstępuje do nich. Twarz jego jest inna niż przedtem, opromieniona niezwykłą siłą. Zbliża się powoli z wyciągniętemi ramionami do jednego z uczniów i mówi:

— Szymonie! Czy to, co powiedziałeś, pochodzi od ciebie? Dał ci to ktoś wyższy. Ufność ta jest opoką królestwa bożego, dlatego odtąd zwać się będziesz Petrus, skała. Na tobie buduję mój zakon, a co uczynisz na ziemi w mojem imieniu, będzie dokonane i w niebiesiech.

Szymon rozgląda się dokoła. Co? czy w głębi serca zamyśla wywyższyć go nad innych? Żaden z braci nie jest mi równy?

Jezus zwraca się do wszystkich i mówi:

— Gotujcie się i zbierzcie wasze siły, nadchodzą ciężkie dnie. Zaprawdę powiadam wam, że mnie zabiją.

Gdy to wypowiedział, Szymon-Petrus chwyta go obiema rękami za ramię i woła gorączkowo:

— Mistrzu, niech się to nie stanie!

Na to mówi Jezus szybko i ostro:

— Idź za mną, szatanie!

Rozglądają się. Co za nagła zmiana? Do kogo zwrócone były te surowe słowa? Szymon wie dobrze, schodzi w dół i ukrywa się za młodymi cedrami. Tam przyklęka i drży z bólu.

— Janie, on mnie nienawidzi! — jęczy uczeń i kryje twarz w szatach młodego ucznia, który nadbiegł, aby go pocieszyć. — Janie! ponieważ

byłem dumny. On zna nasze myśli. Nienawidzi mnie!

— Nie, Szymonie, on cię nie nienawidzi, ale miłuje. Pomyśl, co powiedział do ciebie przedtem. O skale. Winieneś wiedzieć, jakim on jest. Musi lać zimną wodę, aby go nie spalił ogień miłości. A ty dotknąłeś sprawy, z którą sam nie może się uporać — z pewnością. Zdaje mi się, że on ukrywa w sobie coś, czego nie znamy. Jak gdyby widział teraz wolę Boga w cierpieniu i śmierci. Wzdraga się przed tem jego młode ciało, a na dobitek przychodzisz jeszcze ty i utrudniasz mu walkę. — Wstań, bracie, bądźmy silni i weseli i wytrwajmy przy nim.

A gdy się zebrali i przygotowali do dalszej pielgrzymki, Jezus ogląda twarze swoich uczniów i mówi z uroczystą powagą:

— Maluczko, a nie ujrzycie mnie. Idę do Ojca. Na waszej niewzruszonej wierze buduję królestwo moje i wam wszystkim oddaję klucze niebios. Niebo i ziemia są w Bogu jednością, a co uczynicie na ziemi, będzie dokonane w niebie.

Tako się stało na jednym z pagórków wzgórz Libanonu, gdzie Jezus odpoczywał z swoimi uczniami.

* *
*

A potem zdążają znowu do ziemi rodzinnej. Ale nie poto, aby w niej pozostać, jeno tylko, aby ją jeszcze raz zobaczyć. Po dniach znojnej drogi, których prawie nie czują i niedostatku, którego nie odczuwają, zeszli na kwitnące niziny, gdzie

w łagodnem powietrzu unosi się woń róży i kwiatów migdałowych. I znów są na rodzinnych niwach, gdzie ich tak pohańbiono i poniżono, iż muszą omijać drogi i wędrować bocznemi ścieżkami. Gdy idą przez wąwóz w pobliżu Nazaretu, pod bladem cieniem drzew oliwnych, zatrzymują się. Są znużeni i kładą się pod drzewami. Jezus idzie nieco dalej, skąd można spojrzeć na miasteczko. Tam siada na kamieniu, opiera głowę o rękę i patrzy w zamyśleniu na okolicę. Wszystko spowija atmosfera obcości i wrogości. Nie, nie przyszedł po to, aby złorzeczyć. Należy uczynić coś innego. Uświadomił sobie, iż musi złożyć z siebie ofiarę dla udowodnienia swego posłannictwa.

Przez żwirowisko kamienne idzie z trudem kobieta. To jego matka. Dowiedziała się, że przywędrował z uczniami z gór i myślała, że przyjdą wąwozem. Oto stoi teraz przed nim. Długi skraj górnej części szaty zarzuciła na głowę jako osłonę przed słońcem, iż znękana jej twarz okryta jest cieniem. Na jeden policzek spływa kosmyk czarnych jej włosów, który odgarnia palcem, a który mimo to wciąż spada. Niespokojnym wzrokiem spogląda na swego syna, spoczywającego na kamieniu. Waha się przemówić do niego. Zbliża się do niego jeszcze na krok i mówi poprostu, jak gdyby ich nigdy nic nie łączyło:

— W pobliżu jest twój dom, moje dziecko, a tu odpoczywasz tak niewygodnie.

Jezus patrzy na nią spokojnie. Potem odpowiada jej:

— Niewiasto, chcę być sam.

Ona mówi łagodnie:

— U mnie w domu panuje teraz największa samotność.

— Gdzie są krewni?

— Chcą ciebie znów sprowadzić do domu, wybrali się w drogę, aby cię odszukać.

Jezus wskazuje ruchem ręki na swoich śpiących uczniów:

— Ci nie szukali mnie tygodniami, ale znaleźli mnie pierwszego dnia.

Jakby chcąc uniknąć powtórnych jego narzekań na niezrozumienie swoich, mówi matka:

— Ludzie wyrzekają dawno, że w naszym wyrzutów i codziennych trosk. Mam co innego do iść do nowego cieśli, który osiadł na naszej ulicy.

— Gdzie jest czeladnik Aron?

Matka odpowiada:

— Niedziw, że nikt nie zostaje, jeśli same dzieci domu odchodzą.

Jezus mówi w rozdrażnieniu:

— Powiadam ci, niewiasto, oszczędź mi swoich wyrzutów i codziennych trosk. Mam co innego do czynienia.

Wtedy odwróciła się do skały, aby ukryć łkanie. Dopiero po chwili mówi cicho:

— Jakże możesz być tak surowy dla swojej matki. Nie chodzi mi o mnie, możesz mi wierzyć. Wszystko już straciłam na świecie. Ale ty! Wszystkich krewnych wpychasz w nieszczęście i sobie samemu chcesz wszystko zniszczyć. Jeszcze raz proszę cię na twego zmarłego ojca i na nieszczęśliwą matkę: Daj pokój wierze ojców. Wiem, że masz dobre zamiary, ale inni nie pojmują

i nikt nie wie, co czynisz. Niechaj ludzie będą szczęśliwi, jak chcą. Jeśli dotąd wierzyli w Abrahama, znajdą drogę do niego — i bez ciebie. Nie zadzieraj się z rabinami, wszyscy źle na tem wyszli. Pomyśl o proroku Janie! Wszędzie mówią o tem, jak ciebie ścigają. O, moje umiłowane dziecko, oni cię zaszczują, oni...

Chwyta się kurczowo palcami skały i nie może mówić od gorzkiego płaczu.

Jezus zwrócił do niej twarz i patrzy na nią. A gdy całe jej ciało wstrząsa łkanie — wstaje i zbliża się do niej. Bierze jej głowę w obie dłonie i przyciska do piersi.

— Matko, matko! — —Matko!

Głos jego jest bezdźwięczny i złamany:

— Myślisz, że cię nie kocham. Niekiedy muszę być dla ciebie szorstki, bo wszystko jest przeciwko mnie, nawet moja własna krew. Ale ja muszę wypełnić wolę ojca niebieskiego. Otrzyj swoje łzy, patrz, kocham cię, bardziej niż to potrafi serce człowieka. Ponieważ matka cierpi dwakroć tyle, gdy cierpi dziecko, przeto cierpienie twoje jest dwakroć większe niż tego, który musi się poświęcić dla wielu. Matko! Usiądź na kamieniu, niechaj jeszcze raz ułożę głowę na twojem łonie. Jest to mój ostatni odpoczynek.

Jezus kładzie głowę na jej kolana i łagodnie gładzi jej długie loki. Jest tak szczęśliwa w swym bólu, tak niewymownie szczęśliwa, że znów spoczywa na jej łonie, jak niegdyś, gdy był dzieckiem.

Ale on poczyna znów mówić łagodnie i cicho:

— Napróżno głosiłem ludowi wiarę we mnie. Tobie nie potrzebuję mówić, bo matka wierzy

w swoje dziecko. Wszyscy oni świadczyć będą przeciwko mnie. Matko, nie wierz im. Wierz swojemu dziecku. A gdy przyjdzie godzina, że zjawię się z wyciągniętemi ramionami, nie na ziemi i nie na niebie — wierz swojemu dziecku. Wtedy wiedz, że twój cieśla zbudował królestwo boże. Nie, matko, nie płacz, rozwesel swoje oczy. Dzień twój będzie wieczny. Biedni i opuszczeni z wszystkich niebios będą płakać do ciebie, błogosławionej, pełnej łaski! Wielbić cię będą wszystkie pokolenia!

Całuje jej włosy, jej oczy i łka sam.

— Matko, teraz odejdź. Uczniowie poczynają się budzić, nie powinni to widzieć.

Podniósł się z słodkiego spoczynku. Uczniowie — jeden po drugim — podnoszą głowy.

— Odpocząłeś również trochę, mistrzu? — pyta go Szymon.

Jezus odpowiada:

— Lepiej niż wy.

Wysłany posłaniec nadchodzi z koszem, płacą mu złotym pierścionkiem, ostatnim jaki się jeszcze znalazł na palcach wędrowców. Potem spożywają obiad i radują się pięknym światem Boga i jego darami. A następnie ruszają w dalszą drogę. Dokąd? Do królewskiego miasta.

Za kamieniami stoi Marja i patrzy za nim, jak długo może go ujrzeć w blaskach galilejskiego słońca.

* * *

Tedy idą do Jeruzalem na święto Przaśników. Po długiej niewoli w Egipcie, Mojżesz uwolnił niegdyś Żydów i zaprowadził znów do ojczyzny. Ku dziękczynnej pamięci owej chwili gromadzą się corocznie w czasie pierwszego nowiu wiosennego tysiączne rzesze w Jeruzalem, pielgrzymują do świątyni, spożywają podług starego zwyczaju baranka paschalnego z gorzkiemi ziołami i chlebem, nie zaprawionym kwasem, jak niegdyś mannę na pustyni. Jak zwyczajnie, w czasie takiego zbiegowiska kwitnie handel i zamiana, podobnie jak różne zabawy i wystawy. W owym też czasie odbywa się również tracenie przestępców, aby dać ludowi odstraszające widowisko.

— Chciałbym raz przypatrzyć się temu — mówi uczeń Tadeusz do braci, gdy są już w drodze. — Myślę, temu miejscu stracenia.

— Łatwo zdarzy się ku temu sposobność w Jerozolimie — odpowiada Andrzej.

— Jak to się właściwie odbywa? — pragnie wiedzieć Tadeusz.

— To łatwo opisać — poucza Mateusz. — Wyobraź sobie wkopany w ziemię pal, mający w górze przecznicę. Do niego przywiązują skazańca nago i z rozpostartemi ramionami. Kiedy tak wisi przez jakiś czas przed ludem, łamią mu potem uderzeniami pałki kości. Ciężkim przestępcom przybijają niekiedy członki do pala żelaznymi gwoździami.

Tadeusz odwraca się ze zgrozą.

— Nie daj Boże, abym kiedykolwiek takiego zobaczył!

— Czy samo mówienie o tem nie wydaje się

wam przestępstwem? — mówi drugi. — Każdy prosi Boga, aby to nie spotkało żadnego z jego krewnych albo znajomych. Zanim nasz mistrz zbuduje królestwo, kara ta będzie zapewne zniesiona. Czy nie tak?

— Wtedy wszystkie kary śmierci zostaną zniesione — mówi Tadeusz. — Czy ty śpisz, kiedy on mówi o wiecznem życiu?

— Ale sam powiedział, że go zabiją!

— Wiecie przecież, że mówi w podobieństwach.

Tak rozmawiają niekiedy w swej prostoduszności, ale zawsze za plecami mistrza.

Od czasu owego wydarzenia na szczycie góry zaszła w Jezusie przemiana. Wydaje się, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie całkiem jasno boskość swego posłannictwa. Nadszedł czas, aby objawić ludziom, że jest wysłannikiem Boga, od wieków powołanym synem ojca niebieskiego, który zstąpił na ziemię, aby obudzić ludzkość i zaprowadzić ją do wiecznego żywota ojca. Czuje, iż dana mu jest moc boża kierowania duszami. Demony uciekają przed nim, nie podlega żadnej żądzy ludzkiej. Zrywa z dziejami upadłego swego narodu, przedziera stare pisma, sfałszowane przez uczonych i kapłanów. W jedności swej z ojcem niebieskim czuje się panem wszelkiej mocy na ziemi i na niebie.

Tak się przemienił od czasu owego światła na górze. Ale objawienie to czyni go jeszcze pokorniejszym w swej postaci ludzkiej, pełnej tak niezmierzonej mocy, i jeszcze serdeczniejszym dla wszystkich, których widzi w bezgranicznej nędzy, rozpaczy i biedzie, w zaślepieniu i hardości zda-

nych na zatratę — a jednak pełnych bolesnej tęsknoty do zbawienia.

Ale także stosunek uczniów do niego zmienił się od owego dnia. Jeśli przedtem odnosili się do niego z czcią, chociaż poufale — obecnie są bardziej milczący, a cześć zmieniła się u nich w głęboki szacunek. Miłość stała się u niektórych uwielbieniem. A jednak wciąż jeszcze ogarnia ich trwożliwość i niepewność. Szczególniej jeden z nich nie może się z losem pogodzić. Kiedy więc idą z drugiej strony Jordanu, aby ominąć drogi rządowe, cierpiąc różne braki i niedostatki odludnej pielgrzymki, uczeń Judasz nie może ukryć swoich wątpliwości. Jako skarbnik małej gromadki nie wiele ma do czynienia i za plecami mistrza sieje niechęć i zwątpienie. Myśli o śmierci tłumaczy sobie tak: Żebraczy prorok umiera, a wstaje pełen chwały Mesjasz! Ale dlaczego dopiero w Jeruzalem? Dlaczego już nie teraz? Dlaczego nie rozdziela godności już obecnie?

Popularność proroka rośnie istotnie na nowo, a gdy przychodzą w ludniejsze okolice, biegnie wieść z wioski do wioski: „On jest tutaj! Wędruje tędy!“ Wtedy napływają z wszystkich stron i przynoszą żywność, oblęgają go również chorzy i ułomni, błagając, aby ich uzdrowił. Z darów przyjmuje tylko to, co najkonieczniejsze, a upragnionych cudów nie czyni. Rozgniewany jest na rzeszę, która nie chce wierzyć bez cudów ani pojąć znaków czasu. Kiedy widzą nadciągającą na zachodzie chmurę, zaraz mówią, że będzie deszcz. Gdy wieje wiatr południowy, wiedzą już naprzód, że będzie gorąco. Ale znaków nowego, nadchodzącego świata nie dostrzegają. Jeśli nie pojmują duchowych zapowiedzi, innych nie otrzymają. A może chcą zobaczyć znak Jonasza, który przez trzy dni leżał w brzuchu wieloryba? Dobrze, więc niech zobaczą, jak syn ojca zmartwychwstanie do życia po trzech dniach leżenia w grobie.

Na takie mowy Judasz potrząsa głową. „Nie pomoże nam to.“ Ale inni, szczególniej Jan, Jakób i Szymon, nie myślą o władzy na ziemi, serca ich przepełnione są miłością dla mistrza. Mimo to jednak doznają ciągle pokus. Mówią więc nieustannie o owym innym świecie, w którym Jezus będzie wiecznie panował, a oni będą z nim dzielić wspaniałość. I poważnie wyobrażają sobie urzędy i godności, jakie im tam przypadną i sprzeczają się, który z nich będzie pierwszy. Każdy chełpi się swojem pierwszeństwem. Jakób twierdzi, że przyprowadził do niego najwięcej przyjaciół. Szymon powołuje się na to, iż był pierwszym, który uznał w nim syna bożego. Jan przypomina swoje pochodzenie. Mógłby przytem powiedzieć, że mistrz miłuje go najwięcej, ale milczy. Natomiast Szymon upiera się przy tem, że mistrz nazwał go opoką, na której zbuduje swój zakon. Na to otrzymał odpowiedź, że powiedział to do wszystkich.

Jezus, usłyszawszy ich dziwną rozmowę, zbliża się i pyta, o co się sprzeczają?

— Mistrzu! — mówi odważnie Jakób — przychodzisz jakby wezwany. Chcielibyśmy wiedzieć, kto będzie pierwszy między twoimi w wiecznem państwie? Patrz, brat Jan i ja chcielibyśmy być

najbliżej ciebie, jeden po prawicy, drugi po lewicy. Tak, abyś stał między nami jak teraz.

Na to mówi Jezus:

— Cóż to za mowy! Nie wiecie, czego żądacie. Zaprawdę mówię wam: Wpierw uczynicie to, co ja czynię i cierpieć będziecie, co ja wycierpię, a potem możecie przyjść i pytać.

Uczniowie odpowiadają:

— Panie, chcemy czynić, co ty i cierpieć jak ty.

Na te stanowcze słowa odpowiedział Jezus smutnym uśmiechem. Nie mogą zrozumieć olbrzymiej różnicy między nim a nimi. Mówi więc tylko:

— Pozostawcie to temu, który wyznaczy wam miejsce. Bo każdy pan ma znów swego pana, tylko jeden nie ma nad sobą żadnego. Pamiętajcie o tem: Chociażby jakiś służebnik pracował wiernie i ciężko, jednak nie zasiądzie przy stole na pierwszem miejscu i nie zacznie jeść pierwej od swego pana, lecz wpierw przygotuje panu potrawy i podsunie mu pod nogi stołek. Między wami niechaj będzie tak: Kto chce być największy, niechaj służy innym. I ja nie jestem tu po to, aby mi służono, ale raczej poto, aby służyć i ofiarować się innym i oddać swoje życie jako okup za wielu, przypieczętować moje posłannictwo.

Trwoży ich to, że mistrz coraz częściej mówi o oddaniu swego życia. Co to znaczy? Jakże może uratować innych, gdy sam idzie na zatracenie? myślą w swej prostoduszności. To się może stać podczas klęski ognia i wody. Czyż przez ofiarowanie swego własnego ciała można wyzwolić lud i poprowadzić go do Boga? Tylko

poganie składają ofiary z ludzi. Judasza ogarnęły znów dziwne myśli. Mistrz jest przygnębiony niepowodzeniem. A może chce wziąć na próbę wiarę swoich wyznawców? Powiedział przecież sam, że wiara jest tak silna, iż przenosi góry, więc w odpowiedniej chwili przyjdzie mu z łatwością użyć siły.

Wtedy przypomina uczeń Tomasz, jak właściwie brzmiały słowa mistrza o wierze:

— Który powie do góry, odsuń się i rzuć się w morze, a nie wątpi, jeno wierzy, że to się stanie, stanie się. Pamiętajcie, temu stanie się. Czy i inni, którzy nie wierzą, ujrzą jak góra wpadnie do morza, o tem nie powiedział.

—Sądzisz zatem, bracie Tomaszu — mówi na to Bartłomiej — że rzeczy, dziejące się za sprawą wiary, dokonują się tylko dla wierzących, są tylko **wewnętrznem** przeżyciem. W takim razie, przyjacielu, jesteśmy zgubieni. Wierzy on bowiem, że nieprzyjaciele zginą i widzi, jak giną. A oni jednak żyją i zniszczą nas.

— To są płytkie słowa — mówi Judasz. — Uzdrowił ułomnych i wskrzesił umarłych, widzieli to wszyscy. Nawet ci, którzy nie wierzą. Strzeżcie się! Gdy mistrz doprowadzony będzie do ostateczności, zobaczycie, co uczyni!

Zdanie to podzielają również inni i idą — za Mesjaszem.

Ale nieustannie trapi ich niepokój na długich, złych drogach przez pustynię i urodzajne niwy. Nieraz wiedzie się im dobrze, ale i tutaj nasuwają się im wątpliwości. Uczniowie słyszeli, że mistrz pogardza ponętami i rozkoszami świata, a jednak

widzą, jak wędruje dalej silny i wesoły. Dopiero późno przekonują się, że jedno da się z drugiem pogodzić. Używa wszystkiego, co jest niewinne i nie szkodzi innym — ale nie przywiązuje do tego żadnej wagi. Zmysły wystarczają mu do poznania władzy swego ojca w królestwie przyrody i jest z tego poznania szczęśliwy. Nie przeczy światu, ale go wywyższa duchem i przebóstwia. Elementy ziemskie służą mu jako kamienie do budowy królestwa niebieskiego. Więc mimo rosnącego zwątpienia uczniowie godzą się z losem i postanawiają gardzić światem i kochać życie.

Pewnego dnia przybyli do miejscowości, w której wre niezwykle żywa praca. Orzą pola, kują w warsztatach, skrzętni taczkarze i ociężali poganiacze wielbłądów prowadzą gorliwie handel. I jest szabat! Czy tu mieszkają poganie? — myślą uczniowie. Nie, jest to czysto żydowska miejscowość, a mieszkańcy są tak pobożni, iż każdej niemal Paschy pielgrzymują tłumnie do Jeruzalem. Tak więc przed laty było ich tam wielu, gdy w świątyni przemówił młodzieniec, którego słów nie mogą zapomnieć. Jeśli chodzi o dobro bliźniego, można pracować w szabat! Ów młodzieniec przemawiał z niezwykłą siłą. I oto każda praca przynosi bezwątpienia człowiekowi i wiosce korzyść i pożytek. Zaczęli wtedy i odtąd nie przerywają pracy ani przez jeden dzień. Owocem tego jest wielki dobrobyt.

Gdy Jezus widzi, że jego słowa, wypowiedziane niegdyś w Jerozolimie, zostały tak źle zrozumiane, albo fałszywie wyłożone z chęci zysku, wpada w gniew i poczyna mówić na rynku:

— Zaprawdę powiadam wam, że królestwo boże odebrane będzie lichwiarzom, a oddane ludowi, który jest tego godny.

— Dla dobra bliźniego! — mówi cicho Jakób do człowieka w pobliżu niego. — Czyż dobro zależy od posiadania mienia? Mienie to zatwardza serce i napełnia je lękiem przed stratą i śmiercią. I to nazywacie dobrem?

Jezus mówi:

— Był raz bogaty człowiek, który po długich mitręgach napełnił swoje stodoły i myśli, że odtąd będzie żył spokojnie i używał życia. I oto następnej nocy umiera i musi pozostawić swoje ciężko zapracowane mienie takim, którzy sprzeczają się o nie, kłócą i obrzucają obelgami. Biada wam, jeśli zdobędziecie cały świat, a zgubicie duszę!

Gdy to powiedział, zbliża się do niego sędziwy starzec i mówi:

— Rabinie! Jesteś biedny i łatwo ci tak mówić. Nie wiesz, jak ciężko jest bogaczom wyrzec się swego bogactwa. I ja byłem niegdyś biedny! Piękne to były czasy! Ale potem zdobyłem, nieopatrzcie pieniądze, radowałem się z tego i począłem się lękać, że je znów stracę. I przychodzi mi na myśl, że pieniądze nie wystarczą, że im więcej ich posiadam, tem bardziej ich potrzebuję. Teraz jestem starcem i posiadam trzydzieści worów pełnych złota i wiem, że nie będę już mógł używać mojego bogactwa. Ale gorączka gromadzenia i zdobywania nie opuszcza mnie — chyba, gdy wyzionę ducha.

Jezus odpowiada mu:

— Kto nie zbiera ze mną, rozprasza. Wy

dumni tego świata, zabieracie biednym ze stołu ostatki codziennego chleba i gromadzicie je w swoich komorach, gdzie zaśniedzieją i wyschną!

Starzec zrozumiał to. Odchodzi i naprawia krzywdę wszystkim, którzy przez niego ponieśli szkodę, a w drodze do domu znów poczyna zbierać.

Następnego dnia przychodzi Jezus z uczniami do innej miejscowości. Jest tu spokojnie, mieszkańcy leżą dokoła pod drzewami figowemi, jakkolwiek nie jest to dzień szabatu. Wtedy zapytuje Jezus:

— Dlaczego oni nie pracują?

A jeden z mieszkańców odpowiada:

— Pracowalibyśmy chętnie, ale nie mamy narzędzi. Brak nam łopat, pługów, sierpów i siekiery, gdyż kowal nasz świątkuje. A właśnie on umie kuć najlepsze noże. Innych kowali niema.

Więc do tego kowala idą nasi wędrowcy. Kowal siedzi w swojej izbie, czyta pismo święte i modli się. Wtedy jeden z uczniów pyta go, dlaczego on nie pracuje, jeśli jest dzień roboczy.

Na to odpowiada mu kowal:

— Od czasu gdy słyszałem proroka, jest u mnie zawsze szabat. Nie trzeba bowiem dążyć do ziemskich dóbr i dbać o jutro, lecz należy szukać Królestwa bożego.

Wtedy Jezus wychodzi do sieni i opowiada tak, aby kowal mógł słyszeć, o człowieku, który odbył pielgrzymkę.

— Zanim wyrusza, zwołuje swoje sługi i oddaje im pieniądze. Jednemu daje pięć ciężkich grzywien, drugiemu dwie, trzeciemu jedną, aby

użyli ich wedle swego uznania. A gdy po długim czasie wrócił, żąda od sług rachunku, jak użyli grzywien. U pierwszego grzywna zyskała dziesięć grzywien. Cieszy mnie to, mówi pan, iżeś był na małem wierny, powierzę ci wiele — zatrzymaj pieniądze. Drugi sługa pomnożył pieniądze w dwakroć, i tego chwali pan i ofiarowuje mu grzywny i zysk. A potem pyta trzeciego sługę, co uczynił z swoją grzywną. Panie, odpowiada sługa, nie było tego wiele, więc nie mogłem dać ich na bank. Wprawdzie mogłem zyskać drugą grzywnę, ale też utracić pierwszą. Dlatego nie gospodarzyłem nią, ale zachowałem ją w bezpiecznem miejscu, aby ci ją oddać w całości. Wtedy pan odbiera mu grzywnę i daje temu, który ma grzywien dziesięć. A powiadam wam, iż wszelkiemu, który ma, będzie dano: a od tego, który nie ma, i co ma, będzie odjęte od niego.

— Rozumiesz to? — pyta Mateusz kowala. — Grzywny, to są talenta, które Bóg daje człowiekowi. Kto pozwala talentom leżeć odłogiem, nie korzystając z nich, ten jest jak ów człowiek, który ma siłę i możność obrabiania żelaza, ale odłożył młot i ślęczy nad pismami, których nie może zrozumieć.

— Jak to jest — powiada ktoś — że kto pracuje, tego łają, a kto nie pracuje, tego także łają.

Mateusz klepie go po ramieniu:

— Przyjacielu, wszystko ma swoją porę! Nie należy czynić tego, do czego brak ci talentu, ale to, do czego go masz.

Kowal odkłada księgę i rzemyki i chwyta młot.

Ale przychodzi człowiek i skarży się, że nauka

ta nie jest nic warta. Żył podług niej i rozdał swoje mienie, ponieważ miał z niem kłopot. Teraz, gdy jest ubogi, ma jeszcze więcej zmartwień. Pragnie więc na nowo zdobywać majątek.

— Uczyń to — mówi uczeń Jakób — bacz jednak, abyś się do niego nie przywiązał i aby majątek nie owładnął tobą.

A potem przychodzą inni:

— Panie, jestem cieślą okrętowym! Panie, jestem złotnikiem! Panie, jestem rzeźbiarzem! Czy nie powinniśmy oddać wszystkie swe siły naszemu zawodowi, aby dokonać coś prawego? Jeśli nie oddamy się mu całem sercem, nie zdziałamy nic rzetelnego.

— O, tak! — mówi uczeń — powinniście natężyć swoje siły i zdolności, aby czegoś dokonać. Ale nie dla dzieła i pochwały, ale dla Boga i człowieka, którym służycie. I cieszcie się z całego serca, że Bóg chce waszemi dłońmi stwarzać dzieła.

Raz zbliża się do Jakóba jakiś człowiek i mówi o modlitwie. Mistrz powiedział, iż należy się modlić krótko, a nie mówić wiele, jak to czynią poganie, bo ojciec wie, czego nam potrzeba. Otóż modlił się raz krótko i bez wielu słów, ale nie został wysłuchany.

Na to mówi Jakób:

— Nie przypominasz sobie, co opowiadał mistrz o owym człowieku, do którego drzwi puka raz w nocy przyjaciel i prosi o chleb? Ów jest już w łóżku, nie zważa na pukanie przyjaciela i woła wkońcu: Odejdź i pozwól mi spać! Ale przyjaciel puka dalej i jęczy, że potrzebuje chleba i po-

czyna targać natarczywie drzwi. Trwa to tak długo, aż człowiek w łóżku zrywa się, bierze chleb i podaje przyjacielowi przez okno. Dał mu go nie z miłości, ale jedynie dlatego, aby się go pozbyć. Mistrz chciał przez to powiedzieć, że przez wytrzymałość w modlitwie osięga się wiele.

Na to pouczenie ucznia człowiek ów staje się szorstki i mówi:

— Jakto! Raz mówi, że należy modlić się krótko i w kilku słowach, innym znów razem, iż należy modlić się, dopóki Bóg nie wysłucha.

A Jakób na to:

— Przyjacielu, znów mnie nie rozumiesz. Czyż powiada on: że trzeba się modlić mało? Nie, on mówi: należy modlić się w zwięzłych słowach. Ale nieustannie, wszystkiemi myślami, całem sercem. A im dłużej każe ojciec czekać na swoją pomoc, tem większa musi być twoja ufność, bo wie, dlaczego każe ci czekać i daje ci wkońcu więcej, niż prosiłeś. Jeśli ów dał chleb, aby się uwolnić od natarczywego przyjaciela, ileż dopiero da ojciec dziecku, które kocha.

Na to ów człowiek:

— I tak się modliłem, ciągle i z ufnością, a jednak Bóg mnie nie wysłuchał.

— O co się modliłeś?

— Wiedz — mówi ów człowiek — że mam sąsiada, który kradnie mi zawsze figi z drzewa, i nie mogę go schwytać. Modliłem się więc, aby spadł kiedyś z drzewa i połamał sobie nogi. Ale Bóg mnie nie wysłuchał.

Wtedy Jakób zaczął się śmiać z głupiego człowieka, który błaga dobrego ojca o zemstę.

— Módl się raczej o siłę przebaczenia sąsiadowi i daruj mu owe figi, których bardziej potrzebuje niż ty — a Bóg ciebie wysłucha.

— Zaprawdę — mówi dalej uczeń — jeśli mówimy o nieustannej modlitwie, to należy kierować zawsze swoje myśli z tęsknotą tam, gdzie przebywa Bóg i wieczyste rzeczy i wszystko, zarówno małe jak i duże sprawy naszego życia, w pokorze i ufności mierzyć tą miarą.

Na to odzywa się ktoś:

— Jakże więc mogę mierzyć miarą Boga ziarno, które pragnę sprzedać?

— Jeśli pomyślisz sobie, że nie oszukasz kupującego, dając mu mieszane, wilgotne ziarno, ale dasz mu dobry towar, bo taka jest wola boża, a ty nie chcesz oszustwem zatracać nieśmiertelnej duszy wtedy zmierzysz swoje ziarno i swój postępek miarą Boga i wieczności.

— Widzisz — woła drugi — mój wspólnik odmierzył mi także źle, dając mi oliwę z wodą. A pismo mówi: Jak tobie odmierzono, odmierz innym.

Ruszają dalej, ale Jezus jest zasmucony. Nauka jego wywołała tyle fałszywych pojęć! Szczególniej u tych, którym brak do tego woli, którzy myślą tylko o swoich żądzach i pospolitych dobrach ziemskich. Ludzie ci są zatwardziali duchem i omamieni przez ludzi. Przez swoje ograniczenie nie przynoszą żadnej zasługi. O panie, ojcze mój, wybacz im!...

* * *

Tak odbyli powoli swoją długą drogę. Nie doznali w tym czasie żadnych prześladowań. Po upływie jednej nocy, w czasie której spoczywali pod sykomorami i drzewami figowemi, dochodzą do swego ostatniego wzgórza. Jezus idzie przodem. Jakkolwiek wyczerpany jest zupełnie pielgrzymką, a nogi uginają się pod nim, idzie przodem. Uczniowie idą za nim, a gdy stają na wzgórzu, niektórzy z nich wydają głośny okrzyk. Przed nimi, na wysoczyźnie drugiej góry, leży miasto królewskie! W promieniach rannego słońca leży przed nimi jakby wykute z czerwonego złota, a nad wszystkiem wznosi się ozdobna licznymi blankami świątynia Salomona.

Wielu z uczniów nie widziało jeszcze Jeruzalem, widok tego świętego miasta królów i proroków porusza ich serce; i tu — tak myśli Judasz i niejeden z nich — zacznie się nasze panowanie. Siadają pod drzewami oliwnemi, aby wypocząć, uporządkować odzież, a niektórzy maszczą nawet włosy. Potem spożywają figi i owoce drzewa chlebowego. Martwią się mistrzem. Mitręga ostatnich dni odebrała mu siły, nogi jego są poranione. Ale nie mówi nic. Uczniowie przyznają zgodnie, że tak wejść nie mogą. Jakób schodzi z wyżyny, gdzie spostrzega chaty i pyta, czy nie możnaby gdzieś otrzymać konia pod wierzch, lub przynajmniej wielbłąda, na którymby jeździec mógł wjechać do miasta. Zapłaci za to.

Zjawia się jakiś zgarbiony staruszek, drepce zapobiegliwie dokoła obcego człowieka i zapewnia w sutych słowach, że niema tu ani konia ani wiel-

błąda, natomiast jest osioł. Ale tego osła nie można dostać

Wtedy przypomina sobie uczeń, że starzy prorocy przepowiedzieli: „Wjedzie na ośle." Przeto Jakób oświadcza gotowość wynajęcia osła.

— Bierzesz go, ale ja go nie dam — mówi starzec z przebiegłym uśmiechem. — Bolałoby mnie zawsze, gdyby mu się coś przytrafiło. To nie jest zwyczajny osioł, mój przyjacielu!

— Potrzebuje go też niezwykły jeździec — mówi Jakób.

Mały starzec dał się wkońcu nakłonić i zaprowadził go do stajni. Tam przy żłobie stoi zwierzę, istotnie dobre. Nie jest ono popielate, raczej brunatne i lśniące, o smukłych nogach, delikatnych i spiczastych uszach, a dokoła wielkich, mądrych oczu ma długie rzęsy.

— Czy to nie jest prawdziwy Arab? — mówi starzec.

— Piękne zwierzę — przyznaje Jakób. — Za srebrnika i wielki zaszczyt pozwolisz go wziąć. W południe zapewne wróci.

Na to starzec:

— Łatwo zrozumieć, że każdy z nas chce coś zarobić podczas pielgrzymki. Daj dwa srebrniki!

— Jednego i zaszczyt!

— Dwa srebrniki bez zaszczytu — skrzeczy staruszek. — Powiadam ci, prawdziwie książęcy rumak! W całym kraju żydowskim nie znajdziesz takiej krwi. Wiedz, że jest wysokiego pochodzenia!

— Z tego zaszczytu możemy zrezygnować — mówi Jakób — jeśli tylko okaże się dobry.

Wtedy opowiada starzec:

— Onego czasu, gdy Herod zarządził rzeź dzieci — było to z górą przed trzydziestu laty — tam w Betlejem leżało dzieciątko w stajence obok wołu i osła. Dzieciątko to było Mesjaszem. Na tym ośle dzieciątko wyruszyło na obczyznę, do Egiptu czy dokądindziej, a powiadają, że wraca znów w tryumfie. Oto od tamtego osła pochodzi ten.

— Jeśli tak — mówi żywo Jakób — to jest to cudowne zrządzenie! Człowiek, który wjechać ma dzisiaj na tym ośle do Jeruzalem, jest Mesjaszem, zrodzonym ongiś w tej stajni.

Godzą się więc i Jakób prowadzi osła na górę oliwną, gdzie siedzą jeszcze razem i sycą się widokiem miasta. Tylko Jezus jest zamyślony i patrzy ze smutkiem na błyszczące miasto.

— O Jeruzalem! — mówi cicho do siebie. — Gdybyś ty poznało ten dzień! Gdybyś wiedziało, co jest ku pokojowi twemu. Ale ty nie poznajesz i widzę dzień, gdy zawzięci nieprzyjaciele zwalą twoje mury, iż nie zostanie kamień na kamieniu...

Jan zarzuca płaszcz na zwierzę i Jezus wsiada. Zjeżdża w dolinę, a uczniowie idą za nim.

I oto dzieje się coś niezwykłego. Gdy schodzą już w dolinę Kidronu, gdzie krzyżują się drogi, biegną naprzeciw nich ludzie i wołają:

— Król jedzie! Hosanna Synowi Dawidowemu!

Wtedy zbiegają się inni z zagród i ogrodów, a idąc skrajem drogi, wołają:

— To Mesjasz! Hosanna Bogu, który zjawił się!

Niewiadomo, kto rozgłosił wiadomość o jego

przybyciu, i kto pierwszy wypowiedział słowo „Mesjasz“ — może to był uczeń Judasz. Rozszerzyło się to jak ogień, budząc okrzyki radości. Gdy Jezus zbliża się do miasta, rzesza ludzka jest już tak wielka, iż osioł kłusuje tylko powoli, a gdy wjeżdża przez bramę miasta, ulice i place nie mogą pomieścić ludzi. Całe Jeruzalem wie już: Przybył prorok z Nazaretu! Cisną się obcy ludzie z prowincji, którzy widzieli go już i słyszeli gdzieindziej. Ci, co złorzeczyli biednemu prorokowi, widząc go teraz wkraczającego do miasta królewskiego z podniesioną głową i słysząc okrzyki na cześć mesjasza, są teraz dumni z niego i powołują się na spotkania z nim na znajomość. Wyciągają się do niego ręce. Wielu rzuca szaty na drogę, a osioł przejeżdża po nich. Powiewają ku niemu gałązkami oliwnemi i liśćmi palmowymi, a z tysiąca gardeł rozlega się wołanie: „Bądź pozdrowiony! Bądź pozdrowiony! Bądź pozdrowiony, dawno oczekiwany, upragniony wybawco!“ Strażnicy oczyszczają długimi kijami drogę, prowadzącą do Złotego Domu, do pałacu królewskiego, gdzie ma zamieszkać. Wołają z wszystkich drzwi i okien: „Wejdź do mojego domu, zbawco ludu!“ Ale rzesza rozlewa się w kierunku Złotego Domu. Uczniowie kroczą tuż za nim i nie mogą się opamiętać, są otoczeni, stłoczeni, owiani palmami, zarzuceni świeżemi różami. Szymona-Petrusa biorą naraz za mistrza i bezbronny uczeń nie może przeszkodzić, gdy go podnoszą na ramiona, kryje się i błaga żałośnie, aby go postawiono na ziemi, gdyż nie chce się wywyższać nad mistrza, a wielu uważa go za mesjasza. Rozsądniej uczynił Jan, któ-

ry skurczony i sapiący prowadzi zwierzę, iż uważają go tylko za poganiacza osła. Wszyscy inni z gromadki mistrza doznają jego zaszczytu jakby swojego. Cierpieli z nim przecież nędzę na równi. „Jeruzalem, zostaniesz Jeruzalem!“ mówią, oszołomieni burzą radości. „Nawet tam, gdzie nam dobrze było, nie doznaliśmy nigdzie takiego zaszczytu, jak tu w Jeruzalem!“ Judasz nie może nadziwić się, że mistrz został poznany mimo swego ubogiego wjazdu. „Mówiłem zawsze, że dokona cudu, gdy przyjdzie czas.“

— A ja lękam się — mówi Tomasz. — Krzyczą za głośno. To są tony gardłowe, a nie płynące z piersi.

— Wybacz, masz zawsze wątpliwości.

— Znam się trochę na ludziach. Próżnujący lud unosi się szybko zapałem, chce się radować i korzysta z każdej sposobności.

— Tomaszu! — napomina go Mateusz. — Nie jest to pokora, iż nie zważasz na cześć. Jest to zwątpienie. Przypatrz się temu grubemu przekupniowi cebuli, który więcej wiary wypowiada krzykiem. Słyszysz — hosanna Synowi Dawidowemu! woła i zachrypł już od tych okrzyków radości.

Tomasz milczy i biegnie skurczony między tłum. Okrzyki powitania przepełniają już całe miasto, a drogi, któremi kroczy pochód, są jak ruchome gaje palmowe. Wszelki ruch na drodze jest zatamowany, wszystkie okna i dachy zapełnione są ludźmi i wszystko wyciąga głowy ku mesjaszowi.

Jezus siedzi na ośle, zwiesiwszy z obu jego

boków nogi, a prawą ręką trzyma lejce. Patrzy przed siebie poważnie i spokojnie, jak gdyby jechał wśród zamieci piaszczystej pustyni. Gdy pojawiają się przed nim sterczące wysoko nad dachami blanki zamku królewskiego, zwraca swoje zwierzę w boczną uliczkę — ku placowi świątynnemu. Dwaj strażnicy, stojący u bram świątyni, dają rękami gwałtowne znaki, aby tłum rozstąpił się. Ale tłum zatrzymuje się i Jezus zsiada z osła.

— Nie do Złotego Domu? On chce do świątyni?! Do świątyni?!

Wielu zdumiało się.

— Do faryzeuszy i rabinów? Zobaczymy teraz coś niezwykłego!

* * *

Z poważną stanowczością, nie rzuciwszy na tłum ani jednego spojrzenia, wstępuje Jezus szybko na stopnie świątyni. Część tłumu tłoczy się za nim, inni rozpraszają się powoli. Ale okrzyki „Hosanna temu, który dziś przybył", nie milkną przez cały dzień.

Wszedłszy na dziedziniec świątyni, stoi cicho i patrzy zdumiony. Wewnątrz wre życie i ruch! Kłębią się setki najrozmaitszych ludzi w barwnych szatach, włosianych chustach, w wysokich czapkach i płasko zwiniętych turbanach. Wśród ogłuszającego wrzasku ofiarowują różne towary, rozłożone dokoła: dywany, ampułki, świeczniki, obrazy świątyni i arki przymierza, owoce, dzbany, rzemyki do modlenia, kadzidło, jedwabne szaty i klejnoty. Lichwiarze chwalą wysokie swoje

czynsze, korzyści rzymskiego pieniądza, rozsypują swoje rulony złota i przesiewają je do miseczek, aby podrażnić oczy pielgrzymów. Ci, którzy chcą kupować, przeciskają się, oglądają wśród drwin towary, targują się, śmieją się i kupują. Między nimi kręcą się rabini w długich kaftanach i miękkim obuwiu. Głowy ich okryte są aksamitnemi czapeczkami, z pod których spływają loki czarne jak smoła lub szare jak lód. Pod pachami dźwigają ogromne zwoje pergaminu — bo zaczyna się czas święta Paschy — i uwijają się dokoła z dumnemi i chytremi minami, targują się tu i tam z kramarzami i kramarkami, znikają za przesłonami i pojawiają się znowu.

Gdy Jezus przypatrzył się przez chwilę z progu temu handlowi, ogarnął go gniew. Rozpychając rękami kupujących, toruje sobie drogę. W najbliższym kramie chwyta wiązkę rzemyków do modlenia, wywija nią nad głowami i woła głosem tak donośnym, iż przygłusza wszystko:

— Czy nie widzicie nauczyciele pisma i strażnicy świątyni? Wy, którzy tak doskonale znacie pismo. Pismo mówi: Mój dom jest domem modlitwy! A wyście go uczynili jaskinią przekupniów. Wyrzekłszy to przewraca ręką stół i trąca nogą kilka ławek, aż towary staczają się na podłogę pod nogi cofającego się tłumu. Patrzą się na niego w milczeniu, a on piorunuje dalej:

— Dom mój winien być przytułkiem zgnębionych i cierpiących, mówi Pan. A wy go czynicie jaskinią zbójców i żądzą zysku gubicie dusze. Precz stąd, przekupnie i szachraje, kupczący towarem czy pismem!

Wysoko wznosi rzemienie, nawet nad głowy doktorów i rabinów, iż chowają się i uciekają przez zasłony i drzwi. Ale na bocznym dziedzińcu zbierają się rabini, faryzeusze i strażnicy świątyni, naradzają się szybko, jak mają schwytać i unieszkodliwić tego szalonego człowieka. Ale oto do bram napływa lud, coraz więcej ludu wdziera się na dziedziniec, otacza rozgniewanego proroka i krzyczy radośnie: Hosanna, Nazareńczyku, że przyszedłeś oczyścić świątynię! Cześć ci i chwała, upragniony wybawco!

Spostrzegłszy, co się dzieje, kapłani świątyni wołają również:

— Chwała prorokowi! Cześć Nazareńczykowi!

— Zwyciężyliśmy! — szepcą uczniowie, cisnąc się też razem naprzód. — I rabini wznoszą okrzyki na jego cześć!...

Ci rabini i kapłani posłali szybko po siepaczy, a sami przysuwają się teraz do Jezusa, a gdy tłum uspokoił się, poczynają z nim rozmawiać.

— Mądry człowieku — mówi do niego jeden — zaprawdę, zjawiasz się w porę. Nadeszły takie czasy dla biednego naszego ludu, że trudno znaleźć wyjście. Ty jesteś człowiekiem sprawiedliwym. Powiedzże nam tedy, co ci się zda: godzili się dać czynsz cesarzowi rzymskiemu, czyli nie?

Jezus żąda, aby mu pokazano monetę czynszową. Dziwią się, że Jezus nie ma w kieszeni pieniędzy i podają mu rzymską monetę.

— Czyja to jest moneta? — pyta.

— Widzisz przecie, że cesarza rzymskiego.

— A czyj jest obraz na monecie?

— Cesarza.

— A czyj jest napis na monecie?

— Cesarza.

— A więc czyja jest moneta?

Milczą.

Jezus mówi:

— Oddajcież tedy co jest cesarskiego cesarzowi, a co bożego Bogu.

Ci, którzy poznali, że to pułapka, wybuchają okrzykami zadowolenia i radości i znów porywają za sobą tłum. Kapłani zgrzytają skrycie zębami, że Jezus uniknął podstępnej wędki. Obmyślili to tak: Jeśli powie, dajcie czynsz cesarzowi rzymskiemu, lud będzie wiedział, że nie jest Mesjaszem, ale służalcem cudzoziemców. A jeśli powie, nie dawajcie czynszu cesarzowi, to jest podżegaczem i każą go pojmać. Ale on nie naraził siebie ani ludu ani cesarza i muszą przyznać mu słuszność.

— Doskonale! — szepcą do siebie uczniowie — proszą go już o radę.

Wykładacze pisma wzięli go między siebie i nie chcą spocząć, dopóki go nie wciągną w pułapkę. Pyta go więc jeden:

— Wielki mędrcu, czy sądzisz, że jest zmartwychwstanie umarłych?

— Tak — odpowiada.

— Że małżeństwo mężczyzny z kobietą jest nierozwiązane i że kobieta może miec równocześnie tylko jednego męża?

— Tak.

— I że po śmierci jednego z małżonków, drugi może znów wejść w związki małżeńskie?

— Tak — mówi Jezus.

— Masz słuszność, panie — mówi trzeci. —

Jakże jednak będzie, jeśli kobieta ma kolejno siedmiu mężów i wszyscy po kolei pomrą? Jeśli więc wszyscy zmartwychwstaną, będzie miała naraz siedmiu mężów, a każdy z nich będzie prawowitym, gdy przecież może mieć tylko jednego?

Wszyscy oczekują niecierpliwie, co Jezus na to odpowie, gdyż pytanie wydaje się nierozwiązalne. A Jezus mówi:

— Ten, kto tak pyta, nie zna ani pisma, ani mocy Boga. Pismo poręcza nam zmartwychwstanie, a moc boża wieczny żywot w duchu. Ale u nieśmiertelnych duchów niema małżeństw — więc pytanie to jest bezpodstawne.

Znowu wybuchają okrzyki zadowolenia i radości, z wszystkich stron powiewają ku niemu chusteczkami. Wykładacze wymykają się jak niepyszni, dając znak czekającym w pogotowiu siepaczom, aby odeszli.

* * *

Po tem przyjęciu w Jeruzalem i po owem zwycięstwie w świątyni pierwszego dnia, uczniowie ważą się wystąpić w mieście królewskiem stanowczo i świadomie. Jezus jest poważny i milczący. Nocują w jakimś opuszczonym domu, stojącym przed bramą miasta. Niektórzy z uczniów nie mogą pojąć, dlaczego nie zaprowadził ich do jakiegoś pałacu. Tymczasem przyjęliby chętnie zaproszenie bogaczy, aby rozkoszować się hołdami, ale Jezus powstrzymuje ich. Zbliżają się święta Paschy, przeto należy co innego czynić, niż zbierać

hołdy i oszałamiać nimi głowę, której potrzebna będzie wkrótce największa trzeźwość. Jeśli przyjmie już zaproszenie, to chyba do Betanji, gdzie ma wierniejszych przyjaciół niż w Jeruzalem. Obecnie musi jeszcze przemawiać w świątyni.

Gdy następnego dnia wchodzi do świątyni, przedsionek zatłoczony jest ludem, rabinami i doktorami zakonnymi. Jedni przybyli, aby ujrzeć wreszcie jego ostateczne zwycięstwo, a inni, aby go zniszczyć.

Wtedy zbliża się do niego jeden z faryzeuszy i pyta go nagle, które jest największe przykazanie?

Jezus wstępuje na mównicę i mówi:

— Zapytano mnie właśnie, które jest największe przykazanie. Dobrze. Nie przyszedłem poto, aby ustanawiać nowe przykazania, jeno wypełniać stare. Największem przykazaniem jest: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, a bliźniego twego jak siebie samego. I ci, co mnie zapytali, wasi nauczyciele i wykładacze pism, mówią to samo. Ale to, co czynią, nie zgadza się z ich słowami. Słowom ich możecie wierzyć, ale nie powinniście naśladować ich czynów. Żądają od was najcięższych rzeczy, a sami nie ruszą ani palcem. A jeśli uczynią coś dobrego, czynią to przed ludźmi, aby ich chwalono. Na uroczystościach zajmują chętnie pierwsze miejsca i żądni są zewsząd powitań jako znawcy pisma. Nie oddają czci Bogu, ale sobie. Zaprawdę powiadam wam: Kto się wynosi, będzie poniżony.

Niektórzy z faryzeuszów przerywają mu i za-

przeczają. Zwraca się więc do nich, twarzą w twarz i mówi jeszcze głośniej:

— Tak, doktorzy zakonni, chcecie błyszczeć dla świata. Nazewnątrz jesteście czyści i macie miękką wełnę, ale wewnątrz pełni jesteście złości i łapczywości. Wy, którzy z swych kazalnic nauczacie obyczajów, podobni jesteście grobom pobielanym, zewnątrz pokrytym kwiatami, a wewnątrz pełnym kości umarłych i wszelakiego plugastwa. Lżycie ojców, iż prześladowali proroków. A proroków, których Pan wam posyła, zabijacie sami, albo ich hańbicie. A gdy pomrą, budujecie im wspaniałe groby. Biada wam, obłudnicy! Odciągacie innych od tych, którzy wam niosą zbawienie, a ich samych kamienujecie. Sami nie idziecie do królestwa niebieskiego, a tym, którzy tam wejść chcą, zamykacie je. Biada wam, fałszywi prorocy, którzy pod płaszczykiem miłości zagarniacie domy wdów i mienie sierót! Biada wam, służalcy, którzy obchodzicie lądy i morza, szkoły i domy chorych, aby nawracać ludzi do swojej wiary. A gdy ją przyjmą, straszycie ich ogniem wiecznym i czynicie synami piekieł. Wy głupcy i oszuści, którzy uczycie pod tajemną pokrywką przysięgi na słowo, a nie na przekonanie! Wy głupi i ślepi, którzy zwracacie uwagę ludu na błahostki, na powierzchowne małostki i zwyczaje, miast na sprawę główną, sprawiedliwość, miłosierdzie i miłość! Jest to tak nierozumne, jak gdyby ktoś chciał cedzić komary i połknąć wielbłąda. Wężowie i rodzaju jaszczurczy! Wieczne przekleństwo wam! Jeśli Bóg sam posyła swojego syna, to ukrzyżujecie go, a potem skłamiecie,

iż uczyniliście dla dobra ludu, gdyż był uwodzicielem. Ale wiedźcie, że zemści się na was krew zesłańców Boga! Przyjdzie niebawem czas, a krew waszych dzieci popłynie strugami przez ulice Jeruzalem!

Gdy Jezus tak przemówił, uczniowie zadrżeli. Nie widzieli go nigdy w tak płomiennym gniewie. Ale gdzie są żołnierze do obrony, jeśli go teraz pochwycą? Tłum jest w wysokim stopniu podniecony, a zapał jego dosięga rozmiarów burzy. Wielu wrzeszczy z zachwytu, iż padły wkońcu takie słowa, inni wygrażają pięściami doktorom zakonnym. Rabini i faryzeusze mieli już gotowe różne zarzuty przeciw straszliwym oskarżeniom, uważają jednak za mądrzejsze nie zaszczycać napadu człowieka polującego na łaski ludu żadną odpowiedzią i tymczasem wymknąć się szybko i niepostrzeżenie przez tylne drzwi.

Szeroki plac przed świątynią jest jak morze ludzkich głów. Wszystko co mogło, wcisnęło się do wnętrza, większa część ludu zalewa z wszystkich stron potężny budynek i nieustannie krzyczą przeraźliwe głosy: „I my chcemy słyszeć! Niech wyjdzie i mówi na placu, abyśmy go widzieli. Hosanna mesjaszowi! Niech rządzi w Złotym Domu i w wspaniałej świątyni Salomona!

Gdy Jezus wychodzi w natłoku z świątyni, słyszy krzyk i wstępuje na cokół jednej z olbrzymich kolumn, otaczających gmach. I tu poczyna znów mówić i rzuca swoje słowa w tłum wobec całego miasta:

— Chełpicie się wspaniałą świątynią? Zaprawdę powiadam wam, że nie zostanie z niej kamień na

kamieniu. Gromadziliście bowiem występek na występku. Nie widzę nikogo pragnącego zbawienia, ale wszyscy jesteście pijani. Wypełniła się miara i dzisiejsze pokolenie dożyje jeszcze tego. Gdy przyjdzie na kraj brzydkość spustoszenia, kto jest w dolinie, niech ucieka w góry, a kto jest na roli, niech nie wraca do miasta, a kto jest na dachu, niech nie zstępuje, aby brać suknię swoją z domu. Trafi go ogień i miecz. Biada brzemiennym kobietom i dzieciom w owych dniach, albowiem będą wołać: Góry, zwalcie się na nas i zagrzebcie nas. Będzie płacz i jęk, jakiego nie było nigdy na ziemi i nie będzie. Niezmierzony gniew spadnie na ten naród, Jeruzalem będzie zburzona, a jego mieszkańcy pójdą w niewolę obcych ludów. I odbędzie się sąd nad ludźmi dobrej i złej woli: Z dwóch, którzy są na roli, jeden będzie wzięty, a drugi zostawiony. Z dwóch, którzy leżą w łóżku, jeden będzie wysłuchany, drugi opuszczony. Urodzajne snopy pójdą do stodoły, a kąkol wrzucony będzie w ogień.

Lęk wywołują w tłumie owe słowa, a jeden z uczniów załamuje z rozpaczą ręce:

— To się źle skończy!

Teraz głos jego łagodnieje:

— Ale nie lękajcie się. Dnie tego ucisku będą skrócone, ubłagam to. Gdzie jest padlina, tam są orły, z narodu grzeszników powstaną wielcy ludzie. Jak po twardej zimie drzewa puszczają pędy i zielenieją, tak z oczyszczonego ludu wykwitnie królestwo niebieskie. I radosna nowina przeniknie cały świat, a błogosławione są narody, które ją przyjmą!

— Niebo na ziemi! — pyta ktoś z wzburzonego tłumu.

Jezus mówi:

— I ziemia kiedyś przepadnie, a zniszczenie Jeruzalem będzie tylko przypowieścią. A przedtem dziać się będzie wiele smutnych rzeczy. Zjawią się fałszywi prorocy i powiedzą: My jesteśmy zbawieniem świata! Oślepi ludzi ich duch i prawda, ale nie będzie to święty duch ani wieczna prawda. Dusze ogarnie wielkie znużenie i rozpacz. A gdy ludzie stracą powoli światło i rozum, na niebie zgasną gwiazdy, morze wystąpi z brzegów i zatopi góry. A na on czas ukaże się na ciemnem niebie znak Syna Człowieczego.

— Jaki to znak? — pyta z dołu jakiś siwobrody rabin.

— Kto ma oczy, ten zobaczy wkrótce na Kalwarji ów znak, z którym pan przyjdzie kiedyś na sąd. Aniołowie ogłoszą na niebie jego przyjście, ale nie w tej niskości, jak niegdyś w Betlejem. Przyjdzie z mocą wielką i majestatem, który sprawuje po prawicy wiecznego ojca. I wróci duszom ciała, wiernych nagrodzi wieczną radością, a zatwardziałych wiecznem potępieniem.

W tłumie zapytują zalęknione oczy i drżące wargi:

— Kiedy to nastąpi?

— Czuwajcie, ludzie! Nikt nie zna dnia ani godziny, jeno sam Bóg. Światy te przeminą. Wszystko przeminie, tylko Królestwo Boga będzie wieczne.

Ta mowa proroka wywiera na tłumie olbrzymie wrażenie. Ale ludzie nie krzyczą już, nie radują

się, nie patrzą w jego twarz tak beztroskliwie, jak wczoraj. Milczą, albo szepcą tylko, jeden do drugiego. — Czyś zrozumiał? — pyta cicho ten i ów swego sąsiada. Każdy zrozumiał — ale każdy co innego. Każdy przejęty jest słowami, w każdym one nurtują, a gdy rozpraszające się grupki oddalają się, omawiają mowę proroka, a niektórzy poczynają się o nią sprzeczać.

— Nie wiele spodziewam się od tego Mesjasza — mówi właściciel gospody do swoich gości. — Jak widzę, więcej wyprorokował złego jak dobrego. Jeśli przynosi tylko zniszczenie Jeruzalem i sąd ostateczny, lepiej, żeby został był w domu, w swoim Nazarecie.

— Nie, nie byłem nigdy wielkim zwolennikiem sądu ostatecznego — woła jakiś handlarz skór z Jerycho.

— Przecież to jest prawdą — krzyczy jakiś postrzygacz włosów wielbłądzich — że z Galilei nie przychodzi nic dobrego!

— I z kraju żydowskiego również nie — śmieje się jakiś niepatrjotyczny żeglarz z Joppe. — Powiadam wam, że póki nie wypędzimy naszych żydowskich książąt i rabinów i nie staniemy się prawowitymi poddanymi rzymskimi, nie czeka nas nic dobrego. Prawdziwym mesjaszem jest król rzymski. Wszystkich innych należy wbić na pal.

Doktorzy zakonni zacierają z zadowoleniem ręce.

—Jest zamało rozsądny, aby był niebezpieczny. Ale prawo nie złapie go na podstawie tego, co powiedział.

— Ale lud go osądzi — mówi jeden z najstarszych — sam lud. Pamiętajcie, że mówię prawdę!

— Nie, doprawdy, nie jest on krasomówcą — odzywa się jakiś dozorca. — Nie pochlebia wcale ludowi i moja pogarda dla Nazareńczyka jest dzisiaj mniejsza. Jeśli upada w oczach tłumu, to urasta w moich.

— Mnie się wydaje, że on sam oddaje się w ręce sędziów. Czy słyszeliście co mówił o Kalwarji?

— Na Boga, sławny prorok musi mieć w czemś słuszność — szydzi jeden z arcykapłanów. — Sądzę, iż należy wezwać wysoką Radę, aby dbała o spokój w czasie uroczystości. Rozumiecie mnie.

— Trudno o tem myśleć teraz, przy takim wielkim natłoku ludu.

— Według mego zdania on sam już ugasił słomiany ogień — mówi arcykapłan. — Gdy go pojmamy, nikt nie ruszy palcem.

— Poczekajmy, aż minie święto. Tłum jest nieobliczalny.

— Ścigaliśmy go po całym kraju, a tu w świątyni pozwolimy, aby nas łżył publicznie? Nie, jeśli złamiemy prawo, nie lękam się już tłumu.

* * *

W kotlinie u podnóża góry oliwnej leży małe miasteczko Betanja. Stoi tam bogaty dom. Należy do pewnego człowieka, który chory jest od wielu lat. Przedtem bliski rozpaczy, dziś, od czasu gdy został wyznawcą Nazareńczyka, stał się bogobojny i pełen ufności. Nieuleczalna choroba wydaje mu się prawie słodka, bo ona zniszczyła pra-

wie wszystkie niepokojące żądze światowe i nadzieje oraz obawy. W spokojnem odosobnieniu oddaje się myślom o wewnętrznym świecie Boga. Ledwie odczuwa, że jest chory, gdy siedzi w swoim ogrodzie i patrzy na spokojne życie przyrody. Jest tak całkowicie oddany błogości życia w królestwie niebieskiem i dziękuje Bogu w modłach, że takie życie nie niszczy życia i jest wieczne, bo szczęśliwa dusza zabierze go do wieczności.

Doświadczyli tego także dwaj domownicy. Marja, siostra jego żony, owa z Magdali, mieszka w jego domu, od czasu gdy rozstała się z mistrzem. Teraz słyszy z radością, że jest w Jeruzalem. Jeszcze bardziej podniecony jest jej brat Łazarz. Młodzieniec twierdzi śmiało, że mistrz dokonał na nim największej rzeczy. Bo Jezus wskrzesił go do życia.

Wtedy zbliża się Marja do brata i powiada, że niezwykłą jest rzeczą powołać ciało do życia, ale jeszcze większą jest wskrzesić martwą duszę!

Otóż ta rodzina z Betanji posłała ludzi do Jeruzalem, aby poprosili mistrza do ich domu. Niech wstąpi do nich wraz z swoimi dwoma towarzyszami i po żmudnej pielgrzymce wypocznie raz w spokoju domowego zacisza. Jezus uważa również porę za stosowną, aby tymczasem opuścić jest w Betfage, po drugiej stronie zbocza góry miasto i przyjmuje zaproszenie. Gdy uczniowie spostrzegają, iż tylko dwaj mogą mu towarzyszyć, są zasmuceni, bo przecież oni wszyscy musieli z nim dzielić twardy los.

— Czuliście kiedy przy mnie niedostatek — zapytuje — brakło wam czegoś?

— Nie, panie, nigdy!

Bo nigdy nie odczuwali przy nim niedostatku. Tedy mistrz raduje się ich bezinteresownością, gdy uczniowie rozstrzygają, że ma z nim iść tylko najmłodszy i najstarszy. Przeto wybrani są Jan i Szymon Petrus. Innych biorą do siebie mieszczanie. A więc Józef z Arymatei, mający posiadłości koło Jeruzalem, przyjmuje uczniów. A następnie bogaty Symon, który wyruszył niegdyś na pustynię, aby posiąść wieczne życie i omal nie postradał doczesnego. Od tego czasu zmienił swój sąd o wartości bogactw, a przynajmniej dzieli się z łaknącymi i przyjmuje uczniów. Jakób zajęty oliwnej, gdzie wynajął osła. Zabiera tam z sobą Andrzeja. Zwierzę już oddali, ale jeszcze nie zapłacili. Staruszek wychodzi na ich spotkanie bardzo uprzejmie. Jest bezmiernie dumny, że szlachetny jego kasztan dostąpił tak wielkiego zaszczytu. Był sam w mieście i słyszał, jak prorok wsolił tym z świątyni. Był to najpiękniejszy dzień jego życia. Jeśli więc pan teraz przyjdzie i wyleczy jego żonę z podagry, nawróci się.

Byłoby to tem bardziej pożądane, powiada Jakób, że i tak nie posiadają pieniędzy, aby zapłacić pół srebrnika. Staruszek gwizdnął ze zdumienia. Teraz przekonuje się, że ludzie mieli słuszność, nie wierząc Galilejczykom!

Chcąc ratować cześć swoich ziomków zgodzili się pracować w ogrodzie, aż osieł będzie zupełnie wynagrodzony. Kopali więc obaj uczniowie,

myśląc może o jego przypowieści o robotnikach w winnicy.

Gdy Jezus przybywa wraz Janem i Piotrem do Betanji, gospodarz każe się zawieść w swoim wózeczku naprzeciw nich i przywołuje swoją żonę Martę, aby pospieszyła powitać godnie przybyszów. Ale gospodyni niema na to czasu, musi doglądnąć w izbach, w jadalni i wszędzie, czy panuje ład, a w razie potrzeby pomóc. Na dziedzińcu swawolą dzieci czeladzi i wszędzie jest zaciszna swoboda domowa. Wtedy spieszy smukły, chudy Łazarz i staje za wrotami, jakby w milczącem uwielbieniu. A potem zbliża się — ociągając się i wahając — Marja. Jezus pozdrawia ją w milczeniu.

I ona milczy. Ale gdy siedzą przy stole, przyklęka znów przed nim i namaszcza mu nogi. Wyciera je włosami i płacze. Miła woń oliwy napełnia całą izbę, iż jeden szepce do sąsiada:

— Ileż to pieniędzy kosztuje taki balsam! Lepiejby ofiarowała ubogim!

Usłyszał to Jezus.

— Cóż ci się nie podoba? Czyni mi dobrze, dopóki tu jestem. Jeśli już z wami nie będę, ubodzy jeszcze zostaną. Dała mi znak miłości, który nie będzie jej zapomniany.

Uczeń wstydzi się i mówi cicho do sąsiada:

— Znowu byłem głupi. Zdarza się często, że ludzie nie spełniają dobrego uczynku i mówią, iż dają zato ubogim. A potem nie czynią ani jednego ani drugiego.

Potem jedli i pili w przyjacielskiem gronie i weselili się. Marja chciała wpierw usiąść na

końcu, ale mistrz żąda, aby usiadła po jego prawicy. Teraz marzycielskie jej oczy wpatrują się w jego oblicze i wydaje się, jakoby ssały z niego każde słowo, płynące z jego ust. Jezus opowiada legendy i przypowieści, w których tkwi wielka myśl. Jeśli zazwyczaj karcił srogo ludzkie zdrożności, to odnosi się do nich z poważną pobłażliwością i szczerą litością, wzruszając serca wszystkich. Chory gospodarz jest szczęśliwy i wciąż przywołuje żonę, aby słuchała słów mistrza. Ale Marta zajęta jest ciągle przyrządzaniem potraw, i obsługiwaniem gości i gniewa się na siostrę Marję, siedzącą u boku mistrza i nie troszczącą się o nic. Gdy więc znów przychodzi z jakąś potrawą, Jezus kładzie rękę na jej ramieniu i mówi:

— O skrzętna Marto! Porzuć na chwilę swoją frasobliwą zapobiegliwość i usiądź koło nas. Nasyciliśmy się dosyć wybornem jadłem, a ty wciąż się troszczysz. Uczyń jak twoja uważna siostra. Obrała ona lepszą cząstkę, duchowy chleb miast cielesnego.

Tedy i Marta przysiadła się na chwilę i oczy jej wpatrują się w jego usta, ale nie poto by słuchać, ale obserwować, jak mu smakują potrawy. Ale on odkrywa dalej w wdzięcznej formie tajemnice królestwa niebieskiego. Marta przerywa nieustannie mowę uwagami o potrawach, poleceniami, skierowanymi do sług, aż Jezus zniechęca się i napomina ją szorstko:

— Czyli nie widzisz jeszcze, że wy jesteście moimi gośćmi?

Potem mówią również o zdarzeniach dnia.

Gospodarz składa mu uprzejmie powinszowania z powodu wielkiego zwycięstwa w Jeruzalem.

A Jezus mówi:

— Symonie, czyli tak mało znasz ludzi? Widzą we mnie Mesjasza, który jutro zwycięży cesarstwo. Ci zaślepieńcy nie odgadują mojego państwa! Rozkoszują się mowami, które druzgoczą, a nie chcą słuchać mów, które budują. Jest to jałowy naród, który obudzić zdoła tylko ucisk i bieda. I będzie obudzony!

Po posiłku spoczywa na poduszkach, najwyprawniejszych, jakie Marta mogła znaleźć w domu. Na piersi jego spoczywa bujna głowa młodego Jana, u jego nóg siedzi Marja. Obok na dywanie leży Piotr, a dalej na wózeczku siedzi gospodarz, którego siwe włosy gładzi Marta. Szczególnie szczęśliwy jest dzisiaj Jan. Nigdy jeszcze nie widział mistrza tak łagodnego i dobrego, a jednak smuci go coś. Myśli o spostrzeżeniu, jakie Jezus uczynił przed chwilą o ludzie i mówi:

— Mistrzu, gdyby wiedzieli, jak bardzo ich miłujesz!

— **Powinni** o tem wiedzieć!

— Z tego, jak do nich mówisz, panie, nie mogą o tem wiedzieć.

— Z tego, jak do nich mówię? —rzecze Jezus i gładzi ręką miękkie włosy ucznia. — To jest cały mój Jan. Jeszcze nie może zrozumieć, że bawołów nie można głaskać piórami pawiemi. Jestem za szorstki wedle niego dla tych obłudników, zatwardzialców i leniwców. Jeśli muszę odpędzać tych, którzy dla codziennych korzyści żądają odemnie cudów, jeśli muszę obnażać ich lękliwie

osłonięte wrzody duchowe — to jestem szorstki! I jeśli trzeba niszczyć ich dziecinną żądzę świata, ich przywiązanie do błahostek, to jestem szorstki! A gdy chełpią się swoimi uprzedzeniami i swoją oziębłością, a z chciwości i nienawiści depcą słabych nogami, dumni z tego jak poganie, składający swoim bożkom ofiary z ludzi, wtedy chciałbym mieć bicz z szkorpionów, aby ich skarcić. Jeśli jednak przychodzą do mnie opuszczeni, a pokutujący grzesznicy szukają u mnie schronienia, wtedy nie jestem surowy, co Janie?

Przez otwarte okno dolatuje z dziedzińca głośny śmiech dzieci. Jezus zwraca się do gospodyni i mówi:

— Marto! Ugościłaś mnie w swoim domu pięknie i dobrze. Czy nie raczysz sprawić mi jeszcze jednej przyjemności?

— Czego żądasz, mistrzu? Zrobię wszystko niemożliwe na twoje żądanie.

— Przywołaj dziatki.

A wtedy wbiegają nieśmiało przez drzwi dwie czarne dziewczynki i jasnowłosy chłopak. Gdy Jezus wyciąga do nich swoje ramiona, zbliżają się, ośmielają się prędko i podnoszą czerwone gębusie, do których wkłada im owoce ze stołu. Piotr, który chętnie odpocząłby na swoim kobiercu, nie jest zachwycony małymi gośćmi, ale cieszy się, że Jezus pieści się z nimi i żartuje. Jednak mimo owej dziecinnej wesołości, której się oddaje, uczniowie zauważają głęboki smutek, gnębiący jego duszę.

Piotrowi leży coś na sercu przez cały dzień i musi to wkońcu wyjawić:

— Mistrzu, żeby cię tylko bardzo nie skrzywdzili! Dzisiaj rano różnie mówili w mieście.

— Cóż znowu mówili, Piotrze?

— Mówią, że prorok ten jest jednym z takich, co mają piękne słówka na ustach, a nic nie robią. Nie chce nawet uzdrawiać chorych, którzy przychodzą do niego zdaleka.

— Tak mówią?

— Tak, panie, mówią tak.

Jezus podnosi głowę i rozgląda się dokoła. Kołysze na kolanach jedną z dziewczynek i mówi spokojnie:

— Tedy powiadają, że tylko mówię, a nic nie czynię. W swojem pojęciu mają słuszność. Mówią, że się nie modlę, bo tego nie widzą. Nie poszczę, ponieważ mniej już jeść nie można, chyba gdy opływam raz w dostatki, jak u Marty. Nie daję jałmużny, bo sakwa moja jest pusta. A więc co dobrego czynię? Nie pracuję, bo w ich oczach praca moja nie liczy się. Nie czynię ciągle cudów, bo przyszedłem poto, aby uzdrawiać dusze.

— Panie! — woła żywo gospodarz — jeśli mówią, że niczego dobrego nie czynisz, niech zaglądną raz do domu starego Symona w Betanji. Wszedłeś pod mój dach i uzdrowiłeś moją duszę.

— A mnie wskrzesiłeś! —woła namiętnie Łazarz z drugiego końca izby.

— A mnie uczyniłeś więcej jeszcze niżli to — mówi Marja i spogląda na niego ze łzami w oczach.

Wtedy woła i Piotr:

— Byłem jętką, a uczynił mnie człowiekiem. On czyni więcej niż wszyscy rabini, lekarze

i wodzowie razem! Szkoda, że im tego nie powiedziałem!

Wtedy zwraca się do niego Jan:

— Bracie, a dlaczego nie powiedziałeś?

Marta, która wstała, aby przygotować wieczerzę, donosi z dworu, że matka dzieci prosi, aby weszły do jej izby i przeczytały haggadah.

Dzieci krzywią się.

— Czytać haggadah! — mruczy napuszony chłopak.

— Czytasz niechętnie o Bogu, moje dziecko? — pyta Jezus.

— Nie — odpowiada przekornie chłopak.

Jan szczypie go w czerwony policzek:

— Dzielni chłopcy winni zawsze słuchać chętnie o Bogu.

— Ale nie wciąż czytać! — mówi chłopak. — Haggadah jest śmiertelnie nudna.

Na to Jezus:

— To jest również jeden z nieszczęśliwych, któremu Bóg obmierznie przez pismo. Czy nie wolicie zostać przy mnie, niż czytać haggadah, moje dzieci?

— Tak, tak, zostaniemy z tobą!

I wszystko troje uwieszają się na jego szyi.

Marta oznajmia matce:

— Czytają haggadah sześcioma ramionami!

* * *

Dwa dni przeszły w takiem beztroskliwem, spokojnem życiu, gdy Jezus mówi do uczniów:

— Dosyć już. Idziemy do Jeruzalem.

Święto ma się odbyć w mieście królewskiem i dwaj uczniowie zamówili już salę, w której mistrz odbędzie uroczyście wraz z dwunastoma powiernikami Paschę. Gromadzą się więc znów koło niego. Ale przychodzą zatroskani. W czasie przechadzek po mieście poczynili smutne spostrzeżenia. Nastrój ludu odmienił się zupełnie, mówi się więcej o podżegaczu i uwodzicielu, niż o mesjaszu, zupełnie jak w Galilei. Tylko, że tutaj wyrażenia są gwałtowniejsze i popierane groźnemi minami. Tomasz przypatrywał się przed bramą miasta, gdzie wznosi się pagórek, dwom cieślom, którzy przybijają do długich słupów przecznice. Chciał się dowiedzieć, co robią i otrzymał odpowiedź, że w dzień święta straceni będą złoczyńcy.

I Judasz słyszał to samo, tak jak gdyby chodziło o mistrza. Jeszcze leżą na ulicach niepodeptane gałązki oliwne i liście palmowe, świadczące o radosnem przyjęciu mesjasza przed czterema dniami. A dziś? Dzisiaj szukają go siepacze! Jednak — myśli Judasz — czyli nie zdziałał to sam? Leźć wrogom w paszczę, rozdrażniać ich i klać. Czy poruszył choćby palcem, aby pokazać, kim jest? Któż wierzy jeszcze, że kroczył po morzu, że wskrzesił zmarłych? Śmieją się, gdy się to opowiada. Dlaczego teraz nic nie czyni? Jeden cud, a bylibyśmy uratowani. A może umyślnie chce doprowadzić do ostateczności, aby moc jego okazała się jeszcze potężniejsza? Im prędzej, tem lepiej dla nas. Jakby to przyspieszyć? Zdaje się, że trzeba go zmusić do działania. Chciałbym, abyśmy spędzili wspaniałe święta Paschy.

Tak myśli Judasz z Karjotu. Kroczy w za-

myśleniu przez wieczorne ulice. Blanki i wieże opromienione są ponurą czerwienią zachodzącego słońca. Napotyka kilka oddziałów żołdaków, któryś zatrzymuje go i zapytuje go, czy nie jest może Galilejczykiem?

— Zdaje mi się, że szukacie proroka — odpowiada Judasz. — Nie, ja nie jestem nim.

— Ale znasz go?

Judasz wzdycha głęboko, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Ale milczy i idzie dalej. Tak przybywa do domu, gdzie uczniowie zgromadzili się właśnie koło mistrza.

Izba jest obszerna i ponura. Jedyna lampa wisi nad wielkim, biało zasłanym stołem, stojącym w pośrodku, a uczniowie siedzą dokoła niego. Mistrz jest między nimi. Przed nim leży szeroki talerz z pieczonym, niepokrajanym barankiem. Obok na płaskich miseczkach jarzyny. Dalej stoją na stole miseczki i chleby. Prawie na środku stoi puhar z czerwonem winem. Milczą albo mówią z sobą przyciszonym głosem, przeto kroki wchodzącego po cichu Judasza, rozlegają się głośno. Przeraża go niemal ten głośny krok. Potem pozdrawia wszystkich milczącem, głębokiem skinieniem głowy i siada. Siada tuż naprzeciw Jana, który zajmuje miejsce z lewej strony mistrza, a Piotr z prawej.

Milcząca powaga. Pierwsza Pascha w Jeruzalem! Jezus kładzie przed każdym chleb. Jakób rozdziela baranka na trzynaście części.

— Jest nas trzynastu przy stole! — szepce Tadeusz do swego sąsiada Bartłomieja. Ów milczy. Nie jedzą, ale siedzą i milczą. Lampa migoce,

a czerwony jej płomyk pomyka po stole tu i tam.

Jezus zaczyna mówić:

— Jedzcie i pijcie. Nadchodzi godzina.

Jan kładzie łagodnie rękę na ręku mistrza i pyta:

— Co to znaczy, panie, że nadchodzi godzina?

— Przyjaciele — mówi Jezus. — Nie zrozumiecie, co się stanie dzisiejszej nocy. Przyjdą i zasądzą mnie na śmierć. Nie ucieknę, bo tak musi być. Muszę złożyć świadectwo o ojcu niebieskim i jego posłannictwie, idąc na śmierć dobrowolnie. Gdybym nie zechciał umrzeć, przyjaciele moi nie byliby oczyszczeni i zawiedliby się na mnie. Dobry pasterz daje życie za swoją trzodę.

— Mistrzu — mówi Tomasz, a głos jego drży — nie twoje życie, ale śmierć twoja zawiodłaby nas.

Wtedy Jezus rozgląda się dokoła ze smutkiem i mówi:

— Jeden wśród was zawiedzie się, że jeszcze żyję.

— Co mówisz, panie? — pyta Judasz.

A na to Jezus:

— Syn ojca niebieskiego idzie drogą, przeznaczoną mu od wieków. Ale dobrzeby mu było, aby się był nie narodził. Jeden z was wyda mnie jeszcze tej nocy.

Jakby rażeni gniewem zamilkli wszyscy. Potem wybuchają:

— Który to jest? Który to jest?

— Jeden z dwunastu, którzy siedzą przy tym stole.

— Mistrzu, dlaczego tak mówisz? — woła teraz Piotr. — Żaden z nas nie jest niewierny.

A temu odpowiada Jezus:

— Szymonie-Piotrze! I jeszcze jeden z siedzących przy stole zaprze się mnie, pierwej niż kur zapieje.

Wtedy milczą, gdyż ogarnął ich wielki smutek.

Po chwili Jezus zaczyna znów mówić:

— Jak postanowił Bóg, tak się dzieje. Ale dla was zaczyna się teraz czas pracy. Będziecie moimi apostołami, posłańcami, którzy wyruszą w daleki świat, głosząc wszystkim, co wam powiedziałem. Będziecie zaczynem, który ich poruszy i solą, która ich nasyci mądrością. Innym powiedziałem, aby czynili dobre uczynki pokryjomu, a wam powiadam: Zapalcie wasze światło, aby mieli przykład. Bądźcież mądrymi jako węże i nie dajcie się oszukać obłudnikom. Bądźcież jako chytrzy lichwiarze, którzy przyjmują tylko dobrą monetę, a odrzucają fałszywą. Bądźcież prostymi jako gołębice i idźcie bez obawy, jako owce między wilki. Prześladowali mnie, i was będą prześladować. Gdzie siać będziecie pokój, spadnie na was miecz. Stanie się również, że wasze słowo spokoju posieje niezgodę. Brat powstanie przeciw bratu, dzieci przeciw rodzicom — bo jedni są za mną, a inni przeciw mnie. Ale przyjdzie czas, że będą złączeni, jako trzoda i jeden pasterz. Wtedy ogarnie ziemię ogień zapału dla ducha i miłości. Chciałbym, aby już płonął! Nie lękajcie się, że idziecie w obce kraje z waszą prostotą i nieznajomością obcych języków. W godzinie, gdy mówić będziecie, przemówi przez was mój duch wszystkimi ognistymi językami. Gdybyście milczeli, przemówią kamienie, tak ważne

jest to, co mówicie. Będziecie musieli mówić do pospolitych ludzi o radosnej nowinie. Będziecie musieli mówić do możnych, którzy mogą zabić wasze ciało, a nie waszą duszę. Przyjdą dnie pokusy i prześladowań i błagać będę nieustannie ojca, aby wam pomagał. Nie smućcie się. Jeślibym teraz nie umarł, nie wstąpiłby w was duch. Widzialne przeszkadza niewidzialnemu. Mówiłem do was wiele w podobieństwach, aby się lepiej utrwaliło w waszej pamięci. Wiele jeszcze powiedziałbym wam. Duch mój przemówi do was i w nim zrozumiecie wszystko łatwiej, jeśli nawet nie mówię w podobieństwach. Na was buduję kościół mój, otwierajcie jego bramy wszystkim, którzy go szukają. Co uczynicie na ziemi w mojem imieniu, to spełni się u ojca mego w niebiesiech. A teraz daję wam mój pokój, jakiego świat dać wam nie może. Zostaję z wami z moim duchem i moją miłością.

— — — — — — — —

Padły te wielkie słowa. Uroczysty spokój ogarnął serca. Judasz wyszedł. Inni siedzą w milczeniu i patrzą na mistrza z niewymowną serdecznością. Nie mogą zrozumieć, co powiedział, ale czują, że są to słowa, przed któremi chylą się nieba.

A teraz dzieje się coś niezwykłego. Nie jest to cud, ale coś więcej niż cud. Jezus wstaje od stołu, przepasuje się fartuchem, bierze miednicę, klęka przed tym i owym i umywa im nogi. Zdumieni uczniowie nie sprzeciwiają się. Gdy zbliża się do Piotra, ów powiada:

— Nie, mistrzu, nie będziesz mi umywał nóg.

Na to Jezus:

— Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał części ze mną.

A Piotr:

— Jeśli tak, panie, umyj mi także ręce i głowę, aby wiedziano, jak bardzo jestem z tobą.

Rzekł mu Jezus:

— Nazywacie mnie panem, a ja wam umywam nogi. Dzieje się to poto, abyście wiedzieli, że między ludźmi niema żadnego pana, jeno są bracia, którzy winni sobie służyć. Patrzcie, miłuję was. Nikt nie może dać większego dowodu miłości, jeno gdy umrze, aby inni mogli żyć. Zostawiam wam więc ten nakaz: Bracia, miłujcie się wzajemnie. Jeśli ja was miłuję, miłujcie się i wy między sobą.

Wzruszony temi słowami Jan pada na kolana i z łkaniem kładzie głowę na jego łonie. A Jezus mówi jeszcze raz:

— Dzieci, miłujcie się!

Potem znów zasiada z nimi do stołu. Wszyscy milczą. Jezus bierze chleb do ręki, podnosi go nieco w górę, błogosławi i rozłamuje. Potem rozdaje cząstki na prawo i na lewo i mówi:

— Bierzcie i jedzcie. To jest ciało moje, które się za was daje.

Uczniowie biorą. Potem chwyta Jezus puchar z winem, wznosi go do nieba, błogosławi, podaje go wkrąg i mówi:

— Bierzcie i pijcie. To jest krew moja, która za was będzie wylana.

A gdy wszyscy wypili, mówi jeszcze te słowa:

— To czyńcie na moją pamiątkę.

* * *

Gdy po tej wieczerzy uczniowie rozchodzą się, nie czują mimo całego smutku, że to jest pożegnanie. Wracają na swoje noclegi. Tylko Jan, Piotr i Jakób towarzyszą panu wśród ciemnej nocy, gdy idzie do miasta, schodzi w dolinę aż do podnóża góry oliwnej. Tam jest wielki ogród. Między drzewami i wiszącymi cyprysami leżą białe kamienie, na miedzy zielenieje świeża trawa wiosenna. Jezus mówi do swoich:

— Wypocznijcie tu trochę.

Sam idzie w głąb ogrodu. Niebo pokryte jest cienką przesłoną chmury, iż światło księżyca słabo oświetla ziemię. Miasto sterczy tam na górze wyniosłe i ponure, dokoła cisza, tylko potok Cedron sączy się przez dolinę. Jezus stoi i przez ciemne drzewa spogląda na niebo. Oddech jego jest ciężki, na czole perli się pot. Duszę jego ogarnia lęk, jakiego dotąd nie znał. Czyli nie myślał często o śmierci i nie przyzwyczaił się do niej w myślach? Czyż nie wie, że ojciec niebieski przyjmie go? Teraz należy jeszcze do tego słodkiego życia i drogi stoją przed nim otworem, gdyby chciał uniknąć śmierci. Czyż nie może iść przez górę, do Jerycho, na pustynię, nad morze? Czyli ma stanąć dobrowolnie przed sędziami, aby wyznać wszystko, co powiedział? Ależ to wystąpienie przed władzą, którą obraził, równe jest śmierci. Umierać w tym wieku! Jeśli nawet zawoła: Nie tracę nic na tym świecie! to jednak natura buntuje się przeciw śmierci.

Osuwa się na ziemię, iż głowa jego dotyka miedzy, jak gdyby ziemia przyciągała go gorącemi ramionami. „Czyli musi tak być, ojcze? Chętnie

zostałbym jeszcze z ludźmi, aby ich przywiązać do mnie. Któż poprowadzi moich, gdy są jeszcze słabi. Strzeż ich przed wszelkiem złem, ale nie bierz ich ze świata. Niech żyją i głoszą moje imię. Jeśli można, zostaw mnie z nimi. A jeśli można, odsuń odemnie ten lęk. Ale nie mogę żądać, mój Boże, tylko pokornie błagać. Jeśli wola twoja, abym wycierpiał wszystkie męki ludzkie, niech się dzieje. Przyjmij tę ofiarę za wszystkich, którzy zasłużyli na twój gniew. Jeśli zażądasz, wezmę na siebie grzechy świata i odpokutuję za nie, aby cię przebłagać. Ale jeśli można odsunąć to odemnie, ojcze, mój ojcze w niebiesiach, zmiłuj się nad swoim synem, który zwiastował twoje zmiłowanie."

Modli się i w bezgranicznym swym smutku odczuwa tęsknotę za swoimi. Idzie tam i znajduje ich śpiących. Śpią spokojnie jak dzieci i nie wiedzą nic o straszliwej walce. Budzi Piotra i mówi:

— Smutna jest dusza moja aż do śmierci. Czuwajcie teraz ze mną.

Uczeń podnosi się ociężale i ciężko i szarpie innych. Gdy Jezus widzi tych biedaków, myśli:

— Cóż mi oni pomogą?

Przeto zostawia ich i idzie jeszcze raz, aby modlić się w samotności.

— Pomóż mi, panie, nie opuszczaj mnie!

Ale niebo milczy, samotność jest nieznośna i znów wraca do uczniów. Uczniowie śpią. Odpoczywają tak słodko i twardo, znużeni twardym światem. Niechaj śpią. Z czoła jego spływają krople, jak krew i padają na ziemię. Po raz trzeci zwraca się do ojca:

— Ciebie jedynego wzywam w mojej samotności. Nikt nie zna mojej męki. Śpią, a na drodze dźwięczą włócznie. Panie Boże, ześlij mi swoich aniołów, aby mnie obronili!

Nie porusza się żaden listek, ani nie dmie żaden wietrzyk. Niebo jest głuche i martwe.

— To jest milcząca mowa Boga. Poddaję się jego woli...

* *
*

Judasz — siedząc jeszcze w sali, jako jeden z dwunastu — nie zrozumiał żadnego jego słowa, taki chaos panował w jego duszy. Przeto wstał, opuścił izbę i wlecze się przez puste ulice miasta. „Jeden z tych, co siedzą przy stole, zdradzi mnie!" Zna więc myśli ludzkie. Przeto dana mu jest wszelka moc. Ale nie wie o tem, trzeba go dopiero zmusić do użycia swojej siły. O niczem innem Judasz nie myśli. Ta jedna myśl, którą nosił się od tylu dni, ogarnia z całą gwałtownością jego umysł i serce. Idzie przez tętniącą wrzawą bramę miasta, otwartą w czas Paschy. Chce spędzić noc w jakichś krzakach, ale oto widzi, iż drogą przechodzi mistrz z trzema uczniami. Judasz wystawia głowę z gałęzi, aby patrzeć za nimi. Idą w dolinę. Do Betanji? Przeraża go to. Spiesznie zrywa się i biegnie prosto do setnika rzymskiego.

— Wiem, gdzie on jest.

— Chcesz za to zapewne pieniędzy, żydzie?

— Nie mówię dlatego.

— A jednak mówisz.

— Poznacie go!

— Gdzie on jest?

— Pójdę z żołdakami. Jest ich kilku. Do jednego zbliżę się i pocałuję go w twarz. Tenci jest.

— Ile żądasz za tę przyjacielską usługę, kanaljo? — pyta setnik.

— Jeśli mnie lżycie, dobrze. Szukajcie go sami. Wiem, co chcę.

— Więc ile chcesz? Wystarczy ci trzydzieści srebrników?

— Dajcie, co chcecie. Zdaje mi się, że będzie was jeszcze więcej kosztował.

Targ skończony. Judasz, skarbnik, wrzuca srebrniki do wspólnego mieszka i myśli, że prędzej przydałyby się dawniej, niż teraz! Potem oddział żołdaków bierze go w środek i orszak rusza z pochodniami z miasta, w dolinę Cedronu. Przekracza potok, u wejścia do ogrodu chce iść w kierunku Betanji. Przelotnie śledzący wzrok Judasza zauważa w świetle księżyca postacie, leżące na ziemi pod krzakiem. Stoi cicho, nadsłuchuje i poznaje braci. Potem daje znak żołdakom, aby weszli pocichu do ogrodu. Cicho podchodzić umieją zdrajcy, a nie wojownicy. Odgłos kroków i szczękanie mieczów budzi uczniów. Zrywają się i biegną do mistrza, klęczącego na ziemi.

Judasz występuje i mówi:

— Przestraszyłem was?

Potem zbliża się do Jezusa:

— Nie śpisz jeszcze, mistrzu?

Pozdrawia go, całuje w twarz i myśli w drżącem oczekiwaniu: Mesjaszu, pokaż się!

Wtedy wpadają żołdacy. Równocześnie przyłącza się do tego pospólstwo z kijami i pałkami, jak zwyczajnie przy chwytaniu niebezpiecznych zbrodniarzy. Jezus zbliża się do nich na parę kroków i wyciąga ręce, aby je związali. Jan rzuca się na nich, ale obalają go na ziemię. Jakób walczy z dwoma, Piotr wyrywa jednemu wojownikowi miecz z pochwy i uderza nim jakiegoś sługę świątynnego, obcinając mu ucho.

— Co czynisz! — woła Jezus do ucznia. — Kto miecz podnosi, od miecza ginie. Ale ty, ludu Jeruzalem! Wyruszasz przeciw mnie tak gniewnie, jak gdybym był mordercą. Nie upłynęło jeszcze pięć dni, gdy prowadziłeś mnie do miasta z palmami i psalmami. Cóż teraz uczyniłem? Siedziałem w świątyni, wśród was; jeśli uczyniłem coś złego, dlaczego nie pojmaliście mnie?

Wtedy drwią:

— Czy dzisiaj jest ci już późno? Cierpliwości! Twoja drabina niebieska jest już gotowa.

Gdy uczniowie słyszą te pogróżki, a mistrz oddaje się dobrowolnie, cofają się. Pobrzękują miecze i włócznie, tłum wyje z radości, pochodnie dymią — i tak płynie orszak ku miastu. Judasz stoi za pniem drzewa, spogląda z poza gałęzi na straszliwy pochód i oczy jego wyłażą niemal ze zgrozy.

* * *

O północy budzą sędziów. Żydowskich arcykapłanów, ponieważ go oskarżają i pogańskich sędziów, aby go sądzili. Arcykapłan Kajfasz

opuszcza chętnie poduszki; uradowany jest, że go wkońcu mają, ale oskarżenie niech wygotuje arcykapłan Annasz, on jest młodszy, zna lepiej ustawy rzymskie i najlepiej wykona niełatwą sprawę. On, Kajfasz, gotów jest każdej chwili do złożenia świadectwa i przyłożenia pieczęci. Annasz cieszy się niezmiernie, że ów Galilejczyk, który tak bezprzykładnie zelżył w świątyni faryzeuszów, jest wkońcu ujęty. Uradzono skończyć z nim jeszcze tej nocy, zanim wmiesza się lud, któremu nie można dowierzać. Co do oskarżenia, to musi się zebrać całe arcykapłaństwo Jeruzalemu, aby rozważyć ten drażliwy wypadek. Otwarcie mówiąc, trudno tego człowieka o coś oskarżyć. Jego przemowy do ludu i wystąpienia w świątyni nie wystarczają. Trzeba mu dowieść zbrodni, możliwie przeciw państwu, jeśli ten poganin, rzymski namiestnik, ma go skazać.

Schodzą się więc u Kajfasza na narady. Pod pachą dźwigają wielkie zwoje pism, w których spisane są wszystkie ważne szczegóły od pierwszego wystąpienia Nazareńczyka. Osobliwie galilejscy rabini dostarczyli całych tomów, aby go oskarżyć. Ale to wszystko nie wystarczy namiestnikowi. Sedno sprawy trzeba przenieść gdzieindziej.

Przyprowadzają więc Jezusa. Ręce jego związane, szata brudna i poszarpana, twarz pobita. Tłum wypróbował już na nim swoją odwagę. Jezus stoi spokojnie. Niema w nim lęku, tylko smutek przeziera z oczu. Szukają w pismach i rozmawiają z sobą po cichu. Ogłaszają, że kto chce świadczyć przeciw niemu, niech się zgłosi.

Nikt się nie zgłasza i kapłani patrzą na siebie ze zdumieniem. Kto go bije i opluwa, wie przecież dlaczego!

Wkońcu zjawia się rosły mężczyzna. Jest wprawdzie tylko handlarzem wielbłądów, ale wie coś. Opowieść o wielorybie! Ten Galilejczyk powiedział, że jak ów połknięty Jonasz wyszedł po trzech dniach z żołądka wieloryba, tak on wyjdzie z grobu w trzy dni po śmierci. A potem powiedział ów człowiek, że może zburzyć świątynię Salomona, którą budowano czterdzieści siedem lat i wybudować na nowo za trzy dni. Są inni świadkowie, którzy to słyszeli.

Niektórzy uważają, że jeśli niema nic więcej, to owe opowieści o wielorybie i świątyni są czczą gadaniną, niczem więcej.

— Są obrazą Boga! — woła Kajfasz. — Wszystko co mówi posiada ukryty sens. Miał na myśli jedynie to, że w krótki czas po śmierci zmartwychwstanie, aby zniszczyć żydowstwo i zbudować nowe państwo.

Potem zwraca się do Jezusa:

— Powiedziałeś tak?

Jezus milczy.

A więc nie zaprzecza, że tak powiedział. Gniew Jehowy, ciążący ciężko na Izraelu, ściągnął ten bluźnierca i fałszywy prorok. I nie przeczy temu.

Potem Kajfasz zwraca się do ludu, gromadzącego się coraz bardziej na dziedzińcu:

— Kto może zaświadczyć coś przeciw niemu, niech wystąpi i mówi.

Wtedy kilka głosów woła:

— To jest bluźnierca, fałszywy prorok, ściągnął na nas gniew Jehowy!

— Słyszycie? — mówi arcykapłan — to jest głos ludu! Jednak, aby być w zgodzie z surową sumiennością, pozwólmy mu jeszcze raz mówić, niech się usprawiedliwi. Jezusie z Nazaretu! Wielu wie, iż mówiłeś, jako jesteś Chrystusem, posłannikiem Boga. Odpowiadaj jasno i niedwuznacznie. Pytam ciebie: Jesteś Chrystusem, synem Boga?

— Tyś powiedział — odpowiada Jezus.

Kajfasz zapytuje jeszcze raz podniesionym głosem:

— Przysięgnij na to, co ci najświętsze, że mówisz prawdę. Jesteś synem Boga?

Na to mówi Jezus do arcykapłana:

— Jeśli nie wierzysz; skoro stoję przed tobą jako skazaniec, uwierzysz, gdy przyjdę w obłokach niebieskich po prawicy wszechmogącego Boga!

Gdy Jezus wypowiedział owe słowa, Kajfasz zwraca się do zgromadzenia:

— Czegóż więcej chcecie? Jeśli to nie jest bluźnierstwem, składam mój urząd. Tedy zbyt ostro ukaraliśmy innych, którzy mniej powiedzieli. Co uczynić z nim?

Wielu kapłanów rozdziera gniewnie szaty i woła:

— Niechaj umrze!

Okrzyk ten biegnie dalej wielotysięcznym krzykiem na ulicę. Natychmiast więc kapłani przedsiębiorą potrzebne środki, aby wyrok został wydany i wykonany jeszcze w nocy, przed świętem i nie zwrócił baczniejszej uwagi.

Gdyby rozstrzygał król żydowski Herod, uwol-

niłby się od tego następcy tronu z Galilei w mgnieniu oka. Ale muszą udać się do rzymskiego namiestnika. Budzą więc w nocy Poncjusza Piłata. Ów Rzymianin ustanowiony jest przez cesarza w Jeruzalem, aby czuwał nad krajem żydowskim poza Herodem, którego władza jest niczem. Jak powiada często, jakiś zły los kazał mu rządzić tym upartym narodem żydowskim. Chętniej pozostałby w pięknym Rzymie, którego bogowie są milsi niż ten okrutny Jehowa, będący przedmiotem ciągłych waśni różnych sekt, do czego się obecnie przyłącza ów Nazareńczyk. Gdy obudzony ze snu Piłat, dowiaduje się o powodzie, klnie.

— Już znowu głupia historja z Nazareńczykiem, który w towarzystwie kilku żebraków wjeżdża na ośle do Jeruzalem i mówi, że jest mesjaszem. Lud śmieje się z tego. I to ma być wypadkiem politycznym? Należy go wypędzić do świątyni, a ludziom kazać iść spać.

Ale przed jego oknem krzyczy tłum:

— On jest bluźniercą! Oszustem i uwodzicielem. Nadomiar zjawia się jego małżonka i zaklina go, aby nie czynił Nazareńczykowi nic złego. Miała o nim okropny sen. Stał w białej szacie, jaśniejący jak księżyc. Potem zstąpił w przepaść, gdzie jęczą dusze potępionych, pocieszył je i wyprowadził na wyżyny. Potem straszliwi aniołowie z wielkimi, czarnymi skrzydłami przywlekli sędziów i strącili w przepaść. Między nimi znajdował się i on, Piłat, i jeszcze dotąd dźwięczy w jej uszach jego straszliwy jęk.

— Nie zawracaj mi głowy swoimi snami! —

gani ją. Wrzawa na ulicy staje się coraz groźniejsza.

Jezus jest wyczerpany i usiadł w dziedzińcu na kamieniu, otoczony pachołkami. Zbliża się tłum i szydzi zeń. Zarzucili mu na ramiona czerwony, rozpruty płaszcz Beduina jako królewską purpurę, z ciernistego głogu, zerwanego z pobliskiego ogrodu upletli koronę i włożyli mu ją na głowę. Ułamali suchą trzcinę i wetknęli mu do ręki jako berło. Śliną namaścili jego policzki. A potem kłaniają mu się do ziemi i śpiewają wrzaskliwymi głosami:

— Pozdrawiamy cię, pomazańcze, mesjaszu!

I pokazują mu język.

Jezus siedzi i spokojnie pozwala sobie czynić wszystko. Smutnem okiem patrzy na natrętów — z bezgranicznem współczuciem.

Przerażeni na śmierć uczniowie przyszli tu również, ale stoją zdala za murem. Piotr piorunuje na nikczemną zdradę i nie może pojąć, co uczynił ten Judasz. Lękliwie stoi na ostatnim dziedzińcu, gdzie jest ciemno. Naraz wpada na niego jakaś dziewka, idąca do studni po wodę.

— To też jeden z nich! — woła. — Czemu tu stoisz? Idź i pokłoń się swojemu królowi!

Piotr chce odejść.

— Ty jesteś także jednym z tych Galilejczyków! — mówi dalej dziewka.

— Cóż mnie obchodzi Galilea! — mówi.

Wtedy wtrąca się jakiś strażnik:

— Zapewne, to jest też Galilejczyk, poznać to po jego szacie. On należy do Nazareńczyka.

— Nie znam go! — mówi Piotr i chce się wymknąć.

Strażnik zagradza mu drogę drzewcem swojej włóczni.

— Powoli, żydzie! Tam na tronie siedzi twój król. Pokłoń się mu, zanim pójdzie do nieba!

— Daj mi pokój, nie znam tego człowieka! — woła Piotr i odchodzi. Gdy jest w bramie, tuż nad nim pieje na płocie kogut. Piotr osłupiał. Czyli mistrz nie mówił przy wieczerzy o kogucie? „A drugi zaprze się mnie tej nocy, za nim zapieje kur!" Teraz wie, co uczynił. Z lęku, aby go nie pojmano, zaparł się swego pana. Jego, który był dla nich wszystkiem, wszystkiem! A oto teraz, w biedzie, zostawiają go samego i nie mają nawet odwagi przyznać się, że są jego wyznawcami. O Szymonie! mówi do siebie, powinieneś był zostać na swojem jeziorze, zamiast bawić się w wybrańca bogów! On mi daje swoje królestwo niebieskie, a ja mu **to**! Jest tak przygnębiony, iż ucieka na pustkowie. Tam rzuca się na kamienie, załamuje ręce i zalewa się łzami.

Przyprowadzono wkońcu Jezusa do komnaty, przed namiestnika. Gdy zasępiony Piłat spostrzega Jezusa, odzyskuje humor. Nie chce stracić napróżno snu. Wybornie, jeśli żydzi wyszydzili dziś swego mesjasza, on będzie szydził z nich.

Wysłuchał oskarżeń, ale nie znalazł w nich nic.

— Co? — mówi do arcykapłanów i jego orszaku — waszego króla mam skazać? Cóż wy sobie myślicie?!

A potem — miast zmiażdżyć oskarżonego swoją rycerską godnością, wdaje się z nim w rozmowę. Jeśli ten Nazareńczyk jest tak biedny, musi w nim coś być, iż zdołał tak dalece poruszyć

tłumy. Chce go trochę poznać. Zadaje mu więc w łagodny sposób drwiące pytania, czy istotnie wie coś o Bogu? Czy nie zechce mu tego powiedzieć, bo i poganie pożądają niekiedy królestwa bożego. Jak trzeba czynić, aby kochać Boga, którego nikt jeszcze nie widział? I który z bogów jest prawdziwy? Chciałby również wiedzieć dla siebie, co jest wogóle prawdą?

Jezus nie odpowiada mu ani jednem słowem.

— Nie brak ci cnoty wyniosłości — mówi dalej Piłat — wiedz, że to mi się podoba. Wiesz chyba, przed kim stoisz? Przed tym, który może cię zabić albo uwolnić.

Jezus milczy.

Tłum, wypełniający niemal zupełnie wielki dziedziniec, jest coraz głośniejszy i bardziej natrętny. Rabini uwijają się dokoła, podsycając ogień. Żądają kary śmierci. Wtedy Piłat wzrusza ramionami. Nie rozumie tego narodu. Nie może przecież skazać na śmierć niewinnego człowieka! Każe Nazareńczykowi wejść na balkon. Sam bierze pochodnię z rąk niewolnika, aby oświecić obraz godny politowania.

— Patrzcie! — woła do tłumu — jaki biedny człowiek!

— Ukrzyżować go! Ukrzyżować go! — wrzeszczy tłum.

— Jeśli koniecznie chcecie mieć wasze wielkanocne widowisko — mówi Piłat — idźcie za miasto, i tak odbędzie się w tym dniu tracenie zbrodniarzy. Czy mało wam Barabasza, króla pustyni? Jeruzalemczycy! Wystarczy wam **jeden** król!

— Chcemy widzieć na krzyżu Jezusa! — huczy tłum.

— Ależ, na Jowisza, dlaczego? Nie widzę w nim żadnej winy.

Wtedy zbliża się do niego ostro jeden z arcykapłanów:

— Jeśli uwolnisz tego bluźniercę, tego podżegacza, który, jak mówi, wyzwolić chce naród żydowski z niewoli i ma piekielną moc podburzania słowami tłumów, jeśli znów puścisz tego człowieka między lud, będziesz najgorszym wrogiem cesarza. Poprosimy wtedy dostojnego władcę o namiestnika, tak wiernego cesarzowi, jak my mu jesteśmy!

— Chcecie być bardziej cesarskimi, niż Pontius Pilatus?!

Ciska im to słowo, mierząc ich postacie z pogardą. Nie uznają żadnego ludu, ani żadnego cesarza, prócz przepisów swego zakonu. I chcą uczyć namiestnika, jak ma być wiernym cesarzowi!

Ale tłum wyje. Na dziedzińcu kłębi się gwałtowna burza. Tysiące groźnych, wrzaskliwych, przeraźliwych głosów żąda śmierci Galilejczyka. W tej samej chwili żona posyła sługę do Piłata i każe mu przypomnieć swój sen. Już zamierza uwolnić z miejsca oskarżonego. Naraz, w dole, ponad głowami, wyłania się w migotliwem świetle pochodni i wschodzącego ranka ciemna głowa. Jest to owo drzewo stracenia, z przecznicą, jakie wyciosują tam na Kalwarji, tylko potężniejsze i wyższe. Przywleczono słup, a gdy go tłum spostrzega, wybucha z większą jeszcze zaciekłością:

— Ukrzyżuj go, ukrzyżuj go! Jezus albo Piłat!

„Jezus albo Piłat", rozlega się od dziedzińca do dziedzińca, z ulicy na ulicę.

— Słyszysz, namiestniku? — pyta go jeden z arcykapłanów. — Za nic nie możemy ręczyć. Widzisz, czuwano tej nocy. Lud jest wściekły!

I chwyta laskę sędziowską i podaje ją Piłatowi. Piłat zbladł, widząc jawny bunt. Daje znak ręką, że chce mówić. Wrzawa przycicha na tyle, iż może krzyczeć głośno:

— Nie znajduję w nim winy. Ale chcecie go ukrzyżować. Dobrze, niech śmierć jego spadnie na wasze sumienie!

Podług zwyczaju żydowskiego umyślnie umywa ręce w wodzie, aby ci, co nie słyszą, mogli widzieć, i ociekające wznosi je przed ludem:

— Moje ręce wolne są od jego krwi. Nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności.

Potem chwyta laskę, łamie ją wpół i rzuca drzazgi Jezusowi pod nogi.

Wówczas zrywa się huragan radości:

— Cześć ci, Piłacie! Chwała namiestnikowi wielkiego cesarza! Chwała wielkiemu namiestnikowi cesarza!

Arcykapłani składają mu korny ukłon, a pachołkowie chwytają skazanego.

* * *

Wielki krzyż, niesiony przez śmiałych młodzieńców, kołysze się tu i tam nad głowami tłumu. Wszyscy ustępują się przed nim. Jeśli ktoś trąci sąsiada na krzyż, ów krzycząc cofa się

z powrotem do tłumu. A przytem nieustanny ryk radości:

— Chwała Piłatowi! Ukrzyżować Nazareńczyka!

Jezusa wyprowadzają z sali na dziedziniec, a pachołkowie muszą go strzedz przed wściekłością tłumu. Prowadzą go do krzyża.

Pojawia się jakiś strażnik dziedzińca, wymachuje gwałtownie rękami i krzyczy:

— Tu się nie krzyżuje! Zabierzcie go stąd!

— Na Kalwarję!

Gdy młodzieńcy widzą, iż będą musieli dźwigać znów krzyż tam, skąd go zabrali, rzucają go z hukiem na ziemię i uciekają.

— Niech niesie sam swój krzyż! — wołają niektórzy.

Pachołkom podoba się to, zdejmują z jego rąk więzy i kładą mu na plecy krzyż. Jezus upada pod brzemieniem. Biją go powrozami jak zwierzę juczne. Więc wlecze się chwiejnym krokiem i dźwiga krzyż na prawem ramieniu, a jedno ramię drzewa, leżące na jego piersi, przytrzymuje rękami. Pień wlecze się po ziemi. Dokoła ciała umocowali sznur, na którym go prowadzą. Ciągną go gwałtownie naprzód, iż potyka się i kilkakrotnie upada na ziemię. Tłum, idący za nim, próbuje wszystkiego, aby mu sprawić ból. Tak wlecze się Jezus, zgięty pod ciężkiem drzewem, w szacie utatłanej błotem drogi, z głową przybraną cierniami, a krople krwi spływają na rozburzone jego włosy i poszarpaną twarz. Nigdy jeszcze nie prowadzono na Kalwarję nędzniejszej postaci, nigdy jeszcze nie dręczono okrutniej skazańca na drodze śmierci. I nigdy jeszcze nie promieniała twarz skazanego taką wyniosłością i łagodnością, jak ta. Tam na rogu stoi kilka stłoczonych kobiet, które wstały wcześnie, aby zobaczyć pochód. Ale gdy go widzą, wybuchają głośnym płaczem i jęczą nad niesłychanem okrucieństwem. Jezus wyciąga do nich drżące ręce, jak gdyby chciał ich odpędzić:

— Gdy wasi mężowie mordują mnie, wy rozpływacie się w łzach. Nie płaczcie nademną, ale nad sobą i opłakujcie wasze dzieci, które odpokutują grzechy rodziców!

Jedna z kobiet nie zważa na szalejący gniew tłumu, zrywa z głowy białą chustkę i zbliża się do Jezusa, aby otrzeć z jego oblicza pot i krew. Gdy wraca potem do domu, aby włożyć chustkę do wody — widzi na niej odbitą twarz proroka. A z wykrzywionych bólem rysów twarzy patrzą na nią oczy, pełne dobroci i podzięki za dzieło miłości. Wtedy przybiegają kobiety, aby zobaczyć cud i wycyganić od niej chustkę z takim obrazem. Ale właścicielka chowa ją w swojej izbie.

Gdy Jezus upada po raz trzeci pod krzyżem, nie może się już podnieść. Pachołkowie szarpią go i popychają, towarzyszący orszakowi żołdacy rzymscy są zbyt dumni, aby nieść krzyż temu nędznemu Żydowi. Wzywają więc tłum, aby ktoś wystąpił, podniósł skazańca i wlókł dalej drzewo. Odpowiedzią na to są szydercze śmiechy. Jezus odpoczywa nieco na progu jakiegoś domu. Wyskakuje z niego Ahaswer, brutalny szewc i żąda gwałtownie, aby Jezusa wzięto z progu jego domu.

— Pozwólcie mu przez chwilę odpocząć! — mówi jeden z żołdaków, wskazując na upadającego ze znużenia Jezusa, którego pierś ciężko pracuje.

Wtedy szewc podnosi rzemień i uderza zmęczonego Jezusa. Jezus zrywa się, aby po kilku krokach upaść powtórnie. W pobliżu stoi starzec, sędziwy i wynędzniały. Przybył z pustyni, gdzie jest siedziba wielkich myśli. Przybył, aby zobaczyć, czy Jeruzalem podnosi się, czy też upada. Chciałby ujrzeć upadek, gdyż pragnieniem jego jest spokój w nicości. Starzec ów stoi przed szewcem i mówi do niego cicho:

— Jesteś tu znowu, nieszczęsny synu kłamstwa. Dwa razy przeszedł ten biedak twoją drogę. Matka twoja zdradziła go niegdyś siepaczom Heroda, aby cię uratować. A ty wzbraniasz mu na swoim progu krótkiego wypoczynku. Ale teraz pocznie się twoja wieczna męka. Przeżyjesz wszystkie cierpienia ludzkości i nie wypoczniesz nigdy. Na tobie wypełni się przekleństwo twego narodu, zatwardziały żydzie!

O tej samej godzinie siedzi samotnie w swoim domu mieszczanin Szymon, rozważa swój los i smuci się. Od owej podróży na pustynię, z której wrócił do domu pobity i obrabowany, zmienił się ogromnie stosownie do słów proroka, u którego szukał szczęścia. Jakkolwiek wydawało się mu to niegdyś niemożliwe, niejedno stało się przecież możliwe. Uwolnił swoich niewolników, rozpuścił swoje kobiety, nadmiar swoich dóbr podarował potrzebującym i zrezygnował z przepychu. A jednak jest szczęśliwy, serce jego jest obojętne

i puste. Myśli nad tem, gdy z ulicy dochodzi krzyk tłumu. Cóż to się dzieje tak wcześnie? Spogląda na ulicę i widzi nad głowami błyszczące włócznie wojowników. Chce odwrócić wzrok od tego ohydnego widoku, gdy widzi, że człowiek ów sam dźwiga krzyż i znieważany przez pachołków upada ciągle, aż krzyż uderza z hukiem o kamienie. W owej chwili pojmuje wszystko. Nie myśląc wiele, biegnie na ulicę i przeciska się przez tłum, aby pomóc udręczonemu skazańcowi. A gdy patrzy na poszarpaną twarz biedaka, po której spływa łza, ogarnia go takie głębokie współczucie, iż bierze krzyż na swoje ramiona i dźwiga dalej. Znowu wybucha krzyk tłumu, na Szymona lecą wyzwiska i kamienie. Szymon nie zważa na to, nie patrzy na to. Zatopiony jest zupełnie w tem, co robi, ogarnięty jeno żądzą dopomożenia w dźwiganiu ciężaru słaniającemu się obok niego nieszczęśliwcowi. Przejmuje go osobliwe uczucie, gorąca serdeczność, której dotąd nie znał. Wszystkie rozkosze jego życia są niczem wobec tej szczęśliwości; chciałby wiecznie kroczyć koło tego nędznego człowieka, pomagać mu i kochać...

Czy to jest prawdziwe życie? Być tam, gdzie jest miłość? Czynić to, czego żąda miłość?

* *
*

W cichym domu w Nazarecie rósł coraz bardziej niepokój. Wtedy Marja zamierza odbyć pielgrzymkę do Jeruzalem na święta, złożyć Bogu w świątyni swoje cierpienie jako ofiarę i błagać go, aby oświecił zbłąkanego jej syna i nawrócił go

do wiary ojców. W drodze przez Samarję i Judę wspomina minione dnie, gdy wędrowała tą drogą z wiernym Józefem do Betlejem i owe niepojęte rzeczy, które się wonczas wydarzyły.

Przybywa w dolinę, gdzie jest szara, spieczona ziemia. Jest to miejsce, do którego wygnano Adama i Ewę z raju. Myśli o wyrodnym synu pierwszych rodziców i przypomina sobie cudowną opowieść. Jest to opowieść o małym wnuku Adama, który jest niewinny, a jednak musi dźwigać nędzę ziemi wraz z winnymi. Chłopak staje smutny przy płocie i zagląda do utraconego raju. Tam koło drzewa poznania stoi biały anioł, spostrzega dziecko i wzbiera w nim żal. Odłamuje z drzewa gałązkę, podaje ją chłopcu i mówi:

— Patrz, masz tu coś z raju. Zatknij gałązkę w ziemię. Wypuści korzenie, wyrośnie i puszczać będzie nowe pędy, aż kiedyś z jego pnia powstanie tron mesjasza.

O Boże, gdzie jest ten pień i gdzie jest tron mesjasza? wzdycha Marja i idzie dalej.

Gdy po wielu dniach zmudnej pielgrzymki przybywa do miasta, widzi, że ulicami i drogami płyną ludzie w jednym kierunku. Pyta właściciela gospody, co to jest? Odpowiada, czy nie pójdzie również przypatrzyć się straceniu?

— Boże uchowaj! — odpowiada Marja — szczęśliwy ten, kto nie musi iść.

— Patrz, oto idą! — woła nagle wesoło właściciel gospody. — Przechodzą tędy. Zdaje mi się, że to jest mesjasz! Ach, gdybym mógł wynająć okna, choćby każde za srebrnika!

Niewiasta z Galilei chce wrócić do domu, ale

fala tłumu porywa ją na ulicę i staje nagle przed nim. Przed Jezusem, swoim synem. Ujrzawszy matkę, czuje że opuszczają go siły, jednak nie upada. Rzuca jej spojrzenie pełni niewypowiedzianego smutku i miłości, krótkie spojrzenie, ogarniając wszystko, co przy takiem spotkaniu może dziecko powiedzieć matce. Potem wloką go dalej wśród szturchańców i złorzeczeń.

Marja stoi jak skamieniała. Oko jej jest bez łez, w głowie jej szumi, serce zamarło. To mi dał Bóg! Tyle jeszcze zdołała pomyśleć, potem tłum porywa ją i popycha naprzód. Wszystko stopiło się w niej w błękitną noc, tylko gwiazdy tańczą przed jej oczyma.

Wkońcu pochód wyszedł przez sklepienie podwójnej bramy na wolną przestrzeń. Martwa okolica zalana jest wilgotnem, bladem światłem. W pobliżu, z prawej strony, wznosi się kamienisty pagórek. Ruch tam ożywiony. Skrzętni robotnicy grzebią na wzgórzu głębokie jamy, inni przygotowują krzyż dla dwóch rozbójników pustynnych. Ci dzicy czeladnicy pracują napół obnażeni, a pomocnicy kata kręcą pętlice, aby przywiązać nimi do pniów chudego, brunatnego Barabasza i bladego, ponurego Dyżmaza. Pierwszy patrzy gniewnie jastrzębiemi oczami, zaciska pięści i chce zerwać pęta. Drugi jest złamany i włosy jego opadają zwichrzone na czoło. Uczniowie zbliżyli się do wieży murów miejskich, ale cofnęli się przerażeni, prócz Jana, Jakóba i Piotra. I Piotr jest teraz zdecydowany przyznać się, że jest wyznawcą Jezusa z Nazaretu, choćby miał za to umrzeć. Ale nikt nie troszczy się więcej o tych

obcych ludzi. I Judasza zauważyli uczniowie, jak przemykał się za głazami skalnymi, straszliwie odmieniony, obraz nędzy i rozpaczy. Więc chociaż byli śmiertelnie zawzięci na zdrajcę, widok tego nieszczęśliwego upiora ostudza ich gniew. Wydaje się im tylko widmem grozy.

Szymon zaniósł krzyż aż na wzgórze. I gdy go tam kładzie i jeszcze raz patrzy w twarz słaniającemu się koło niego skazańcowi, poznaje proroka. Poznaje pustelnika, którego niegdyś zapytywał o wieczne życie. Niewiele słów jego przestrzegał, ale wszystkie zapamiętał. Teraz przeczuwa, że nauka tego człowieka musi prowadzić do wewnętrznej szczęśliwości, jeśli ją ktoś wypełni. I dla tej nauki człowiek ten ma być teraz stracony?

Setnik nakazuje Szymonowi oddalić się. Potem dwaj pomocnicy kata kładą dłoń na ramieniu Jezusa, aby go rozebrać. Jezus rzuca jedno, szybkie spojrzenie na niebo, potem przymyka oczy i spokojnie pozwala się rozebrać. Pachołkowie czyhają na szaty, biją się o nie, a ponieważ nie mogą się zgodzić, do kogo mają należeć, rzucają kości. Oskarżają się przytem wzajemnie o oszustwo i powtórnie chcą się bić. Wtedy nadbiega przekupień Szobal i oświadcza, że szkoda, aby rozbijali sobie głowy o starą suknię skazańca. Suknia jest podarta i skrwawiona, niewarta ani grosza, aby jednak zakończyć spór między dzielnymi rodakami, ofiarowuje im cztery grosze, i niech się nimi podzielą. I tak oddano suknię Szobalowi. Ów obnosi zaraz suknię wśród tłumu i woła: Oto jest suknia proroka, który będzie teraz

stracony! Kto chce mieć pamiątkę tego dnia! Suknia nie kosztuje nawet połowę tego, co jest warta, daję ją za dwanaście groszy!

Jakiś człowiek niesie w koszyku długie, żelazne gwoździe. Nazareńczyk ten nie będzie przywiązany, ale przybity gwoździami, ponieważ powiedział raz, iż zstępuje z krzyża. Widząc, że Jezus bliski jest omdlenia, podają mu napój ożywczy z octu i mirry. Jezus odsuwa go od siebie, a gdy słania się na ziemię, chwytają go pomocnicy kata i kładą na krzyż.

Tłum cofa się nagle wtył. Wielu nie chce patrzeć na to, co się teraz stanie. Milkną. Inaczej to sobie wyobrażano. Łagodność, z jaką wszystko znosi, męki, szyderstwa, bliska śmierć — i ta bohaterska dobroć — wszystko to zwala się jak góra na kamienne ich serca. Ci, którzy nim gardzili, chcieliby go nienawidzieć, ale teraz nie mogą. Są bezsilni wobec tej druzgoczącej dobroci. — Jaki to teraz łoskot! Dźwięk młota, uderzającego w żelazo.

— Jak krew tryska! — mówi ktoś.

Dwa młoty biją w gwoździe, a przy każdem uderzeniu drga ziemia i niebo. Tłumowi dech zapiera w piersiach, i milknie wrzawa bliskiego miasta. Słychać tylko łoskot młota. Nagle rozlega się w tłumie przeraźliwy krzyk. To jakaś obca kobieta, pada potrącona na ziemię. Tłum cofa się nieustannie, nikt nie chce stać w pierwszym rzędzie, a jednak każdy wyciąga głowę, aby coś zobaczyć. Widzą, jak słupy podnoszą się i spadają. Twardo i ostro dźwięczy głos setnika. Słup prostuje się. Pojawia się najpierw nad głowami

górna część słupa z białą tablicą. Potem ukazuje się przecznica z drgającemi na niej ramionami ludzkiemi, następnie głowa, poruszająca się w kurczowych bólach. Tak wynurza się na błękitnem niebie krzyż z nagiem ciałem człowieka. Wznosi się powoli i gdy staje wreszcie nieruchomo, spód jego umacniają w jamie, tak silnie, iż ciało kołysze się wśród głuchego jęku. Rany od gwoździ roztwierają się szeroko na rękach i nogach, krew spływa ciemnymi strumykami na białe ciało, wzdłuż pnia i spada kroplami na ziemię. A wtedy z ust ukrzyżowanego wydziera się głośny krzyk:

— O Ojcze, wybacz im, wybacz im! Albowiem nie wiedzą, co czynią!

W tłumie powstaje osobliwy pomruk, a ci, którzy nie zrozumieli jego wołania, każą je sobie powtórzyć.

— Modli się za swoich wrogów? Za swoich wrogów? Za wrogów?

— Tedy — nie był człowiekiem!

— Przebacza tym, którzy go pohańbili, oskarżyli, wydrwili, pobili i ukrzyżowali? Umierając, myśli o wrogach i przebacza im? A więc przecież jest tak, jak mówił. Zaprawdę, to jest posłannik Boga! Zaraz pomyślałem, że to jest Chrystus. Mówiłem to już na ostatnim szabacie!

Takie odzywają się głosy. Wśród natłoku uwija się przekupień Szobal i ofiarowuje suknię mesjasza za dwadzieścia srebrników.

— Jeśli to jest mesjasz — woła jakiś roznamiętniony rabin — niech się uwolni. Ten, co chce

pomagać drugim, a sobie nie zdoła, jest złym mesjaszem.

— No, mesjaszu! — szydzi jakiś faryzeusz — jeśli chcesz zbudować powtórnie zburzoną świątynię, pora już. Zstąp z krzyża, a uwierzymy ci.

Bolesne spojrzenie ukrzyżowanego, rzucone na obu szyderców, i zamilkają. Jak gdyby ożyło w nich nagle jedno miejsce pisma: „Musi być zranion za nieprawości wasze!"

Gdy wszyscy odsunęli się od krzyża, a pomocnicy kata gotują się do powieszenia dwóch rozbójników, niewiasta, która przedtem omdlała, wlecze się bez sił do wysokiego krzyża, podtrzymywana przez ucznia Jana i obejmuje pień, iż krew spływa na nią. Męka jej jest tak niezmiernie wielka, jak gdyby siedem mieczów przebiło jej serce. Jezus spogląda wdół, a głos jego jest głuchy, gdy teraz mówi:

— Janie, weź matkę pod swą pieczę! Matko, oto syn twój, Jan!

W tłumie słychać głosy:

— Jego matka? To jest jego matka? Biedna kobieta! A ten młody, piękny mężczyzna, to jego brat! Biedni ludzie! Patrzcie, jak ich pociesza!

Niejeden ociera ręką twarz, a niewiasty łkają. I wśród tłumu rozlega się głuche łkanie. Wśród tego samego tłumu, który z taką zaciekłością domagał się niedawno jego śmierci. Mówią do siebie.

Niebawem się skończy.

— I taki jeszcze młody. Mówią, że ma ledwie ponad trzydzieści lat.

— Nie, nie mogę tego znieść. Przypatrywałem się w każde święto, ale tym razem...

— Gdybym mógł wiedzieć, co napisano na tablicy.

— Na tej, która wisi nad jego głową? Oczy mi nie dopisują.

— Inri! — woła ktoś.

— Na tablicy są litery.

— Ależ ten człowiek nie nazywa się inri.

— To jest co innego, mój kochany. Jest to szyderstwo Piłata. **Jezus Nazarenus Rex Judaeorum.**

— Daj mi pokój z tą przeklętą mową rzymską!

— Po hebrajsku: Jezus Nazareński, król żydowski.

— Przyjaciele, to musi znaczyć coś innego!

— Teraz on jest w środku — mówi ktoś, gdyż obaj zbójcy wiszą z prawej i lewej jego strony. Ów z lewej strony wyciąga szyję i z wykrzywioną twarzą szydzi z Jezusa:

— Zdaje mi się, sąsiedzie, że jesteś także jednym z tych, których wiesza się dlatego, ponieważ są słabi. Skocz z krzyża, uderz na nich, a te podłe dusze będą cię ubóstwiać.

Jezus nie odpowiada mu. Zwraca natomiast głowę do tego, który wisi z prawej jego strony. Ów widzi zbliżającą się chwilę łamania kości. W trwodze przed śmiercią i w żalu za straconem życiem, zwraca się do tego, którego nazywają Mesjaszem i Chrystusem. A ujrzawszy spojrzenie Jezusa, odczuwa w sercu dziwny dreszcz. Owo smutne spojrzenie Jezusa, to jest owo niezapomniane, święte spojrzenie, którem obdarzyło go niegdyś, w dniach młodości, malutkie dziecko. Dyżmas poczyna płakać i mówi:

— Panie, ty jesteś z nieba! Pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa twego!

A na to mówi doń Jezus:

— Pokutującym należy się łaska! Dyżmasie, powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze mną u Ojca niebieskiego!

— On jest z nieba! — szepce lud. — On jest z nieba!

Jeden z wojowników rzymskich ciska precz włócznię i woła w najwyższem podnieceniu:

— Zaprawdę, to jest syn Boga!

— To Syn Boga wisi na krzyżu! — rozlega się nieustanny głos tłumu. Brzmi on jak krzyk trwogi, jak wyznanie najokropniejszego błędu, jaki popełniono od istnienia świata. Ten, który wisi na krzyżu, jest synem Boga!

Nieco dalej, w jamie skalnej, skazaniec. Suchymi palcami rozdziera ziemię, rozognionemi oczyma patrzy na krzyż. **Wezwij go w biedzie!** — Z piersi jego płynie jak krwawy strumień modlitwa o łaskę. A obok niego klęczy niewiasta i wyciąga splecione dłonie do krzyża. I wyciąga je błagalnie do kobiety, stojącej pod krzyżem i modlącej się o łaskę dla dziecka...

Litery I. N. R. I. poczynają błyszczeć. A w powietrzu słychać głos: Wybawi go obecność Jezusa!

— Syn boży! Syn boży! — rozlega się nieustannie. — Syn boży na krzyżu!

— Suknia syna bożego! Za sto złotych suknia!

Tak wykrzykuje stary Szobal, podnosząc w górę suknię na kiju jak chorągiew.

— Sto złotych za suknię syna bożego!

Ale pora już umykać, bo lud jerozolimski jest oburzony na przekupnia, który handluje w obliczu umierającego zbawiciela. Dobry, pobożny lud Jerozolimy!

Nie widać żadnego arcykapłana, ukryli się. Jest tylko zapalczywy rabin, który śpiewa psalmy, jako pocieszenie dla umierającego.

— Zamknij ohydną gębę! — woła mu ktoś pod nos. — Zabiliście go.

— Kto, my? my? — pyta rabin z dobrze udaną obojętnością.

— Wy, wykładacze pism i doktorzy skazaliście go na śmierć, tylko wy!

Na to odpowiada poważnie rabin:

— Opamiętaj się, przyjacielu, i pomyśl, czy możesz usprawiedliwić swoje słowa przed strasznym Jehową. My, doktorzy, zabiliśmy go! Każdy wie, kto go zasądził. Obcy, którzy zawsze byli wrogami naszego ludu. Każdy wie, kto go ukrzyżował na żądanie ludu!

Ale i ten musi szybko umykać. Coraz głośniej rozlegają się okrzyki:

— Arcykapłani uciskają lud i sędziów! Oni są winni!

— Milczcie! On żyje jeszcze!

Spojrzenia wszystkich wpijają się w krzyż.

Jezus zwraca swoją głowę do tłumu i jęczy omdlewająco:

— Pić! Pić!

Setnik każe zanurzać gąbkę w occie i podać ją na kiju, aby się umierający nasycił.

Wśród kamieni klęczy młoda kobieta z roz-

puszczonemi włosami, oparła łokcie o ziemię i zawodzi żałośnie.

Jezus rzuca jeszcze jedno spojrzenie na swoich uczniów. Potem podnosi szybko głowę i rzuca ku niebu błagalne wołanie:

— Ojcze, w ręce twe polecam ducha mojego! Mój Ojcze! Nie opuszczaj mnie!

Szeroko rozwartemi oczyma wpatruje się uporczywie w niebo — potem głowa opada i zawisa na piersi.

Spełniło się.

Jan upada na ziemię i zakrywa twarz rękami.

— — — — — — — —

Tłum zamarł niemal. Stoją, wpatrują się błędnie i bledną. Mury miasta są płowe, krzaki szare, młode kwiaty więdną i zamykają się. Na niebie wisi słońce, zaćmione jak księżyc, a cienie jego są upiorne. Przestraszone kawki i nietoperze fruwają dokoła i krążą nad krzyżami w przeraźliwej ciemności. Na wzgórzu drżą skały i trupie czaszki staczają się wdół. A ludzie, jakby utracili mowę, stoją niemi i patrzą na siebie.

— Teraz stało się coś! — mówi do siebie jakiś starzec.

Wśród tłumu powstaje coraz większe i głośniejsze poruszenie.

— Co się teraz stało!

— O ludu jerozolimski! To, co się teraz stało, wyprowadziło cały świat z równowagi. Co to jest, nie wiem, ale wyprowadziło cały świat z równowagi. Jeśli to nie jest koniec świata, to z pewnością początek.

— Inri! Inri — woła głos jakiegoś przerażonego obłąkańca.

— Widzicie, jak ten krzyż — rośnie! Wyżej, coraz wyżej! Jeszcze wyżej! Nie mogę tam patrzeć! Olbrzymi krzyż!

Nadchodzą wieści. „W świątyni nadkruszyła się jedna kolumna! Zasłona kościelna rozdarła się na poły! Na cmentarzu otworzyły się groby, a umarli — otuleni w białe prześcieradła — powstali!

— Koniec świata!

— Początek świata!

— Jezus Chrystus!

— — — — — — — —

Jak wietrzyk wiosenny, płynący przez step, tak przez tłum przebiega wołanie: Jezus Chrystus! Słowo to niesie się po całym kraju żydowskim, rozlega się po całej Jerozolimie, przepotężne słowo — co jak płomienna burza przepala i oświetla kulę ziemską aż po dziś dzień.

Koło krzyża, na którym wisi martwy mistrz, zebrali się uczniowie. Jest ich teraz więcej niż wczoraj, wśród nich nawet tacy, którzy w nocy krzyczeli jeszcze: „Ukrzyżować go!" Uczniowie stoją wyprostowani, milczący, spokojni. Marja, matka, obok Jana, tuż Marja z Magdali. W sercach ich panuje przedziwny spokój, iż pytają się wzajemnie:

— Jak to możliwe? Czy to nie umarł nasz Jezus?

— O bracia — mówi Piotr — mnie się zdaje, że on żyje.

— On jest w nas, a my w nim — mówi Jan.

Niespokojny jest tylko Bartłomiej. Z zakłopotaniem pyta brata Jakóba, czy ten nie słyszał również: Ojcze, nie opuszczaj mnie? Jakób przypomina sobie inne słowo i innego brata. Oddala się od krzyża, aby szukać Judasza. Chce mu powiedzieć, że mistrz, konając, przebaczył mu i powtórzyć mu zlecenie mistrza: Grzesznikom przebaczenie!

Od wczesnego ranka, gdy mistrz został skazany na śmierć w domu namiestnika, Judasz błąkał się bezmyślnie. Chciał pójść do setnika i oddać się sądowi jako fałszywy świadek i szpieg, jako ów, co sprzedaje ludzi za pieniądze. Wyśmiewają go i nie słuchają. Potem biegnie do jednego z arcykapłanów, chcąc przysiądz, że pan jego nie jest złoczyńca, ale wysłannikiem Boga, który zdusi swoich nieprzyjaciół. Nie chce go wydać — a pieniądze za zdradę oddaje. Ów wzrusza ramionami, nie obchodzi go to nic, nie dawał pieniędzy i nie przyjmuje. Wtedy Judasz rzuca mu srebrniki pod nogi i biegnie jak szalony. Długie jego włosy powiewają na wietrze. Przebiega poza murami miasta, aby wyprzedzić pochód, i dać się stracić na Kalwarji zamiast mistrza. Ale jest już zapóźno, słyszy łoskot młotów. Schodzi w dolinę Cedronu. Tu jest pusto, gdyż wszyscy są na wzgórzu stracenia. Judasz jest odtrącony, odegnany od tłumu, napiętnowany jako zdrajca. To, co uczynił, jest straszne, niepojęte! Biada, dlaczego się nie objawił? Stał przed sędziami łagodny jak baranek, cierpliwy i dźwigał krzyż, jak nikt dotąd. A może wkońcu jest to właśnie

to? Nie sprzeciwiać się wrogom, znosić los cierpliwie, oddać życie za posłannictwo ojca — czyż to nie owa wspaniałość jest posłannictwem mesjasza? A ja? Popełniłem błąd, większy niż błąd wszystkich głupców świata. A teraz jest wygnany z społeczności sprawiedliwych i ze społeczności grzeszników. Wybacza się grzesznikom i mordercom, zdrajcom nie. Lepiej, gdyby się nie narodził, tak powiedział on sam. Inni mogą odpokutować swoje grzechy w jaskiniach, zmyć swoje zbrodnie krwią — a ja skazany jestem na wieczne potępienie, bez prawa do miłości i grzechu!

Tak skarży się nieustannie Judasz. Przez cały dzień włóczył się za murami i krzakami i ukrywał się w jaskiniach. Nagle przychodzi mu na myśl: To niesprawiedliwe. Wierzyłem w niego. Wierzyłem tak mocno! I on wzgardza taką wiarą! Czyż Bóg może wzgardzić taką ufnością?

Gdy się ściemnia, Judasz przemyka się obok jakiejś zagrody. Tam przy ścianie wiszą sznury konopiane. Jeden z nich porywa Judasz i zbiega z góry. Tam za Jeruzalem, nad wzgórzami, zachodzi słońce jak wielka, czerwona, matowa tarcza. Jeszcze raz zwraca swoje oko do gasnącego świata. A na tym czerwonym krążku widnieje wielki i ciemny krzyż. Sterczący na Kalwarji krzyż — tu, w środku ponurej kuli słońca. Stoi olbrzymi i ciemny na krwawej tarczy — upiorny! Zrozpaczone serce Judasza nie może go znieść. Jak w dzikiej ucieczce wyskakuje na suche drzewo figowe. Za nim goni Jakób. Ów

widział go przedtem, jak schodził ze wzgórza i dawał mu znak połą swego płaszcza:

— Bracie! To ja, Jakób! Przychodzę od mistrza. Słuchaj, bracie! Grzesznikom przebaczenie! Wszystkim grzesznikom przebaczenie! Słuchaj!

Prawie bez tchu wyłazi na drzewo figowe. Wiszą nieruchomo ręce i nogi, usta skrzywione, z ust wyłazi język. Wietrzyk wieczorny kołysze lekko ciało. Nieszczęśliwiec nie czekał na łaskę Zbawiciela.

Przy końcu tego samego dnia idzie do kamieniarza w Jerozolimie ów wschodni starzec — pochodzący z pustyni, gdzie żyją wieczne myśli, ów znużony starzec, który rzucił na niemiłosiernego szewca Ahaswera przekleństwo wiecznej pielgrzymki. Wydaje mu się, że czas już zamówić sobie grobowiec. A na tym grobowcu wyryte będą litery I. N. R. I.

— Nawróciłeś się też do Nazareńczyka? — pyta go kamieniarz.

— Dlaczego pytasz?

— Bo to jest napis nad jego krzyżem. Czy wiesz, co on znaczy? Słyszałem, jak mówił jeden z jego uczniów, że to jest znak wiecznego życia.

— Dla mnie jest to znak mojego pokoju — odpowiada stary Hindus. — Jedynie nicość radosną jawą!

Tak każdy pojął znak krzyża na swój sposób. I dla każdego z nich był on znakiem łaski i wyzwolenia.

* *
*

— Gdy stało się to wszystko, Józef z Arymatei, odważny i otwarty uczeń Jezusa, idzie do namiestnika Piłata, aby go prosić o pozwolenie pogrzebania ciała proroka jeszcze tego samego wieczora.

— Czy połamano mu już golenie? — pyta go Piłat.

— Panie, nie potrzeba. On jest martwy.

— Nie wierzę wam.

— Prawdę mówię, panie. Setnik przebił mu bok. Ani kropli krwi.

— Ostrzeżono mnie przed wami — mówi niechętnie Piłat. — Poślę strażników, aby pilnowali grobu.

— Twoja wola, panie.

— Człowiek ten miał powiedzieć, że trzeciego dnia zmartwychwstanie. Mówią, że przyjaciele chętnie mu do tego dopomogą.

Józef staje tuż przed namiestnikiem i mówi:

— Panie! cóż cię uprawnia do takiej podejrzliwości? Czyż my, żydzi, nie mamy już praw w naszej ojczyźnie? Nie dość, że ten najlepszy z ludzi, ten boski człowiek, został stracony bez cienia prawa, ale jeszcze podejrzewa się jego najbliższych, że są oszustami i złodziejami trupów.

— Podziękujcie za to waszym kapłanom — mówi Piłat z chłodnem szyderstwem.

— Znamy tę kastę — odpowiada Józef — i ty ich znasz, namiestniku. Ale ty lękasz się ich. Nasz mistrz byłby ich zniszczył. Ale ty jesteś chwiejną trzciną. Niejeden z naszych wielkich mężów zginął od pychy rzymskiej, naszemu panu zabrało życie rzymskie tchórzostwo.

Namiestnik drgnął, ale siedzi spokojnie. Potem czyni niechętny ruch ręką:

— Dajcie mi raz pokój z tą historją. Róbcie z nim, co chcecie. Przy grobie postawię strażników.

Z tem odprawiono Józefa. Wprawdzie niełaskawie, ale z prawem pochowania drogich zwłok.

Tymczasem dwom łotrom ukrócono męki. Dyżmas uwolnił się od Barabasza, z którym połączył go na całe życie demoniczny los. Między nich wszedł Jezus i rozdzielił ich.

Kiedy więc Józef wrócił od namiestnika, zdjęto późną nocą Jezusa z krzyża i ułożono w płótnach na ziemi. Namaściwszy ciało cennym olejkiem, owijają je w białe płótna i niosą do ogrodu Józefa. Tam kładą je wśród cichej nocy do grobu.

Ziemia oddycha świętym spokojem, a na niebie błyszczą gwiazdy jak lampy nad grobem pana.

* * *

W nocy, która nastąpiła po tym najcięższym dniu na ziemi, Marja, matka, ujrzała obraz, jaki się nie ukazał żadnemu śmiertelnikowi.

Gdy tak siedzi zamyślona i oparta o kamień, a oko jej spoczywa na krzyżu, sterczącym wysoko i nieruchomo na niebie, zmienia się on naraz w drzewo, pełne białych i czerwonych kwiatów. Wydaje się, jak gdyby wykwitło z owej gałązki z drzewa rajskiego, którą anioł podał ongiś przez płot... Stoi ono w pośrodku rozkosznego ogrodu różanego, owiane zapachami, szmerem wody

i śpiewem ptaków, a nadewszystko przyjemnem światłem. Do tego edenu wędrują z otchłannej przepaści nieprzejrzane zastępy ludzi. Z ciemnych głębin wspinają się powoli i uroczyście na świetliste wzgórze. Na przedzie para, praojciec Adam pod ramię z Ewą. Tuż za nimi Abel pod ramię z Kainem. Potem w gęstych już rzędach idą praojcowie, sędziowie i królowie, prorocy i śpiewacy, między nimi Abraham i Izaak, i Józef, Salomon i Dawid, Jezajasz i Jeremiasz, Joachim i Anna, rodzice, a zupełnie wtyle — wędruje osobno starzec, oparty o kij, z którego wykwitają lilje — jej mąż, Józef. Nie spieszy się, zatrzymuje się i ogląda się za Marją.

Idą do raju.

To ujrzała Marja. Potem wstał świt.

* * *

Grobu Nazareńczyka pilnowano ściśle według przepisów. Przed grotę skalną, w której złożono zwłoki, zatoczono ciężki kamień, który setnik opieczętował na wszystkich rogach i krawędziach, według życzenia namiestnika. U wejścia ustawiono dwóch uzbrojonych wojowników, nakazując im nie dopuszczać do grobu żadnego podejrzanego człowieka. Aż oto, w trzy dni po złożeniu zwłok, rozeszła się po Jeruzalem niesłychana wieść: Nazareńczyk zmartwychwstał!

Rankiem owego dnia — jak opowiadają — poszły do grobu dwie kobiety, matka ukrzyżowanego i jej towarzyszka z Magdali. Początkowo zdumiały się, nie widząc strażników, a potem

ujrzały, że kamień jest odwalony. Grota skalna jest pusta, znajduje się tylko białe prześcieradło, w które był owinięty. Leży ono na skraju groty, a końce jego zwieszają się. Niewiasty poczynają płakać, że zabrano im nawet zwłoki, gdy oto spostrzegają białego chłopaka, który mówi:

— Niema tego, którego szukacie. Żyje i idzie z wami do Galilei.

Jak w rozkosznym śnie odeszły niewiasty od grobu. Oto stoi w ogrodzie człowiek, którego uważają początkowo za ogrodnika. Chcą go zapytać, a człowiek zbliża się życzliwie do nich. Z młodzieńczo piękną, promienną twarzą, żadnych blizn ani ran, jeno na rękach ślady gwoździ. Tak stoi przed nimi. Przeraziły się i słyszą jak mówi:

— Pokój z wami! To ja jestem.

Ponieważ świeci jasne słońce, niewiasty zasłaniają twarze rękoma, a gdy znów spoglądają, nie widzą go więcej.

Grób Nazareńczyka jest pusty! Wszystko wędruje z miasta, aby to zobaczyć. Od czasu ukrzyżowania nastrój ludu zmienił się zupełnie. Nie słychać już żadnych obelg, a niektórzy biją się pokryjomu w piersi. Zebrali się arcykapłani i pytają strażników, jak to się stało. Ci nie wiedzą nic.

— Powiedźcież przynajmniej, żeście spali i że go wykradli jego wyznawcy.

— Dostojni panowie! — odpowiada jeden z strażników. — Nie możemy powiedzieć, żeśmy spali, raz dlatego, że to nie jest prawda, a powtóre, żeby nas za to ukarano.

Na to jeden z doktorów zakonnych:

— Mimo to możecie tak powiedzieć. Bo z pewnością spaliście. Nie? A co do kary, to postaramy się o względy namiestnika i nic się wam nie stanie.

Dzielnym Rzymianom wydaje się, iż uczynią najrozsądniej, jeśli nie sprzeciwią się władzy zakonnej i powiedzą to, czego chce. A więc strażnicy spali, a tymczasem zwłoki wykradli uczniowie, aby móc powiedzieć, że zmartwychwstał. Rozgłaszają to wszędzie i znowu cichną wieści o zmartwychwstaniu Nazareńczyka.

Sami uczniowie nie chcieli w to uwierzyć. Niektórzy nawet sądzili, że Piłat i jego poplecznicy wiedzą najlepiej, gdzie się podziały zwłoki. Natomiast innych przepaja otucha, jak nigdy przedtem i siła jasnowidzenia, nasuwająca im przed oczy z dręczącą dokładnością obrazy ostatnich dni.

I oto dwaj uczniowie pielgrzymują do miasteczka Emaus. Smutni są i po drodze omawiają niepojęte nieszczęście, które na nich spadło. Wtedy przyłącza się do nich jakiś obcy człowiek i pyta, dlaczego są tacy smutni?

— Jesteśmy jego uczniami — odpowiadają.

Ponieważ nic na to nie mówi, jak gdyby nie rozumiał, pytają go, czy nie zna Jerozolimy i nie wie, co się wydarzyło w ostatnich dniach?

— Cóż się to stało? — pyta.

Musiał chyba słyszeć o Jezusie, proroku, który dokonał tak wielkich rzeczy i obwieścił nowe, cudowne słowo Boga. „O ojcu niebieskim pełnym miłości, o królestwie niebieskiem w własnem sercu i o życiu wiecznem. Nic innego, jeno sam Bóg przybrał w tym proroku postać człowieka, aby dać

im przykład doskonałego życia. I oto tego boskiego człowieka stracono w Jerozolimie". Od tego czasu są nieskończenie samotni i dlatego smutni. Przyrzekł wprawdzie, że zmartwychwstanie, dając tem świadectwo swojej prawdy i dowód zmartwychwstania ludzi i wiecznego życia. Ale upływa już właśnie trzeci dzień. Krąży wprawdzie wieść, że dwie niewiasty widziały go dzisiaj z ranami od gwoździ. Ale musieliby go widzieć i inni. Dopóki go nie dotkną własnemi rękami, nie uwierzą.

Na to mówi obcy człowiek:

— Jeśli zmartwychwstały nie przychodzi do was, jako się ukazał niewiastom, snać dzieje się to dlatego, iż wiara wasza jest za słaba. Już z proroctw winniście wiedzieć, jak musi cierpieć i umierać posłannik Boga, gdyż tylko przez te wrota można wejść do wiecznej szczęśliwości.

Gwarząc tak, przybyli do Emaus, gdzie obaj uczniowie chcą stanąć w domu swego przyjaciela. Cudzoziemiec, myślą, chce wędrować dalej, ale polubili go w drodze, dlatego proszą go, aby wszedł z nimi do domu:

— Panie, zostań z nami. Nadchodzi wieczór.

Przeto został z nimi. W smutku siedzą razem i milczą. Przez okno pada blask wieczorny i w izbie panuje cisza. Wnoszą wieczerzę. A gdy cudzoziemiec bierze chleb do ręki, szepcą uczniowie do siebie:

— Patrz, jak on łamie chleb!

Izbę przenika rozkoszny dreszcz. Patrzą na niego i poznają go. To jest Jezus.

A gdy go chcą uściskać w bezgranicznej radości, znów są sami.

Tak opowiedzieli dwaj uczniowie, a najchętniej wierzy w to przekupień Szobal; żąda teraz trzysta złotówek za suknię zmartwychwstańca.

— Wierzymy w niego, chociaż go nie widzimy — mówią niektórzy uczniowie. — Czyli zstąpił na ziemię dla życia cielesnego? Czyż nie oddał wszystkiego dla życia duchowego? Prawdziwy Jezus Chrystus przebywać będzie z nami w duchu.

W tej wierze wrócili do swego kraju ci uczniowie, którzy przybyli z mistrzem z Galilei. I tam zmieniło się również wiele. Skazanie Nazareńczyka, bez dowiedzenia mu winy, rozjątrzyło Galilejczyków. Przeraziła ich jego wielka śmierć. Nie, ich rodak nie był zwyczajnym człowiekiem. Chcą teraz odpłacić dobrem jego uczniom, czem zgrzeszyli wobec mistrza. Przyjmują więc życzliwie uczniów i chcą wrócić im rzemiosła, które opuścili przed dwoma laty. Jan przyprowadził matkę do Galilei i osiadł z nią w cichej chatce w Nazarecie. Inni próbują również wrócić do codziennych zajęć, ale myślą tylko o mistrzu, a gdzie tylko zbierze się ich dwóch lub trzech, tam on jest duchem między nimi.

Pewnego dnia zebrani są razem w pewnej chatce nad jeziorem. Rozmawiają o synostwie bożem, a wielu, którzy zapoznali się nieco z pismem, cytują dowody. Proroctwa, które wypełnił, cuda, które zdziałał. I że widziało go wielu po śmierci.

Na to mówi nagle jeden z uczniów:

— Bracia, nie wiem, co z tem począć. Czyż nie przepowiedziano wiele innych rzeczy, czyli prorocy nie dokonywali również cudów i nie zmartwychwstawali? Przecież nie przebywa on z nami cieleśnie. Dlaczego nie zważacie na największy znak, prawdziwy znak jego boskości? Dlaczego nie mówicie o jego słowie? O dzieciach bożych, miłości nieprzyjaciół i odkupieniu? Słuchajcie więc, co mówię, cośmy przeżyli i w każdej godzinie przeżywamy. Wyzwolił nas z żądzy świata, nauczył nas miłości i radości, zapewnił nam życie wieczne u ojca niebieskiego. To uczynił przez swoje **słowo.** Za to słowo umarł i w tem słowie będzie żył. To boskie słowo, moje bracia, jest dla mnie dowodem jego synostwa bożego. Nie pragnę żadnego innego.

— Bracia! — mówi Jan. — Przestańcie tak mówić. Czyli nie jesteśmy szczęśliwi, że widzimy ojca, tak blisko nas, tak szczerze z nami, tak wiecznie dla nas, iż nic się już nam nie stanie? Ciała te zginą, ale czeka je zmartwychwstanie, a kto w nie wierzy, nie umiera. Przyszedł do nas jako pierworodny syn, który wyzwala nas od winy, świata i śmierci. Przeto przyszedł Bóg do nas, abyśmy przyszli do Boga. I dlatego jesteśmy szczęśliwi, ponieważ jesteśmy w Bogu, a Bóg jest w nas.

To powiedział jego ulubiony uczeń w rozkosznym zachwycie. Wtedy poznają prawdę i widzą olbrzymie znaczenie tego, który żył wśród nich w ludzkiej postaci.

Wszędzie, dokąd idą, dźwięczą w ich uszach jego słowa. Obietnica, że pójdzie z nimi do Galilei,

spełniła się, duch jego jest z nimi, są tego pewni. Ale duch ten nie daje im spokoju, jest jak zaczyn, który ich podnieca, jak iskra, zapalająca w nich jasny pożar i użycza im płomiennych języków do obwieszczenia radosnej nowiny. Muszą iść dalej.

Nikt nie chce pierwszy powiedzieć, a naraz mówią wszyscy: Musimy wyruszyć w daleki świat. — — Bez większego przygotowania, w płaszczu i z kijem w dłoni, jak pielgrzymowali z nim, ruszają w drogę. Chcą pójść najpierw do Jerozolimy, aby zobaczyć jeszcze raz jego grób, a potem we wszystkich kierunkach, aby głosić naukę Jezusa, syna bożego.

Dobiegłem więc do końca mego opowiadania. Żal mi jednak puścić ich samych bez niego, boskiego proroka. Opowiem więc o jeszcze jednej przygodzie. Pewnego dnia, gdy podczas swojej pielgrzymki do Jerozolimy uczniowie odpoczywają pod drzewami migdałowemi, widzą w dolinie zastęp jeźdźców. Są to żołdacy z swoim setnikiem. Ów zauważył uczniów i nadbiega na swoim koniu. Uczniów ogarnia strach, a Tadeusz, mający bystry wzrok, mówi:

—Boże, bądź nam łaskaw, to jest zawzięty tkacz.

— Czekajmy spokojnie — mówią bracia i stoją dalej.

Gdy jeździec zbliżył się do nich, zsiada szybko z konia i pyta:

— Jesteście wyznawcami Jezusa z Nazaretu?

— Jesteśmy jego uczniami — odpowiadają otwarcie.

Wtedy pada on przed najstarszym uczniem, Piotrem, na kolana, wyciąga ramiona i woła:

— Przyjmijcie mnie! Przyjmijcie! Pragnę być jego uczniem.

— Jednak, jeśli się nie mylę, jesteś Szawłem, który go ścigał — mówi Piotr.

— Ścigałem jego i uczniów! — mówi jeździec, a słowa płyną szybko z jego ust. — Jeszcze przed dwoma dniami wyruszyłem przeciw tym, którzy powiedzieli, że zmartwychwstał. Muszę ciągle myśleć o tym człowieku, który tak porywa dusze. Dzień i noc muszę o nim myśleć i o wielu słowach, które wypowiedział. I gdy tak pędzę przez mroki wieczorne, wybłyska nagle nademną światło, iż koń staje dęba, a przedemną zjawia się biała postać. Kto jesteś, co mi zagradzasz drogę? wołam do niego. A on odpowiada: Jestem tym, którego ścigasz! — Był to wasz zmartwychwstaniec. — Dlaczego prześladujesz mnie, Szawle, cóż ci uczyniłem? — Jak żywy stoi przedemną wasz Jezus Chrystus! — Tak, mężowie z Galilei, teraz wierzę, że on zmartwychwstał. I jak dotąd ścigałem jego słowo, tak obecnie pragnę wam pomagać w głoszeniu jego słowa. Bracia! Przyjmijcie mnie!

Oto jest moje widzenie nawrócenia Szawła na apostoła światowego. Odsyła teraz konia w dolinę i w radości i pokorze idzie z Galilejczykami do Jeruzalem.

Gdy po kilku dniach przybywają na górę Oliwną, skąd roztacza się pierwszy widok królewskiego miasta, widzą nagle: na skałach stoi — Jezus. Stoi jak dawniej, a uczniów ogarnia otucha,

jak niegdyś, gdy byli z nim razem. Naraz słyszą, jak pyta ich cichym głosem:

— Miłujecie mnie?

— Panie — odpowiadają — miłujemy cię.

Zapytuje jeszcze raz:

— Miłujecie mnie?

Mówią:

— Panie, ty wiesz, że cię miłujemy.

I krzyczą wszyscy razem:

— Panie, miłujemy cię nadewszystko!

— Przeto idźcie. Idźcie do ubogich i pocieszajcie ich, do grzeszników i nawracajcie ich. Idźcie do wszystkich ludów i uczcie ich wszystkiego, co wam powiedziałem. Kto we mnie wierzy, będzie szczęśliwy. Ja jestem droga, prawda i życie. Idę teraz do ojca. Ducha mojego i moją moc pozostawiam wam: oczom światło, językom słowo, sercom miłość. A grzesznikom przebaczenie...

Słyszą jeszcze, gdy tak mówi — a przecież prócz nich, uczniów, niema tu nikogo. Na kamieniu wyryte są dwie stopy ludzkie. Dokoła milczenie. Padają na twarz i widzą jak wstępuje w obłoki, rozpływa się w światłościach i idzie do ojca, do którego wnijdziemy kiedyś wszyscy przez naszego zbawiciela Jezusa Chrystusa.

* * *

Panie Boże Ojcze! Dzięki ci, iż dozwoliłeś mi przyjrzeć się życiu i cierpieniom twego rodzonego syna i pokrzepić się jego słowami i obietnicami w tej okropnej chwili. Z wielkich przypowieści

nabrałem otuchy w mękach niepewności i znalazłem pocieszenie w postaci mego zbawiciela. Święci pokutnicy wzmocnili moją nadzieję. Przez miłość ukrzyżowanego Zbawiciela, natchnij, o panie, serce mego króla litością. Umrę, jeśli Bóg chce, jak umarł Dyżmas. Pragnę tylko przebaczenia. W imię Jezusa błagam cię, Ojcze, o łaskę! O łaskę dla grzesznika. Amen.

KONIEC.

Oto jest pismo. Napisał je w celi biedny człowiek. Końcowa modlitwa przypadła dokładnie w szóstym tygodniu od czasu jego skazania.

Konrad przeraził się nieco.

Tak głęboko zatopił się w ostatnim czasie w obraz Zbawiciela, iż zlał się z nim, niemal zupełnie. W dzień pisał o nim, w nocy marzył. Był u grobu, w Betlejem. Wędrował nad jeziorem Genezaret, nocował na pustyni Judei, a potem pielgrzymował do Sydonu i przez wzgórza do Jeruzalem. Stał na górze Oliwnej, w Betanji i przy wieczerzy siedział obok Jezusa.

Jest uwięziony tu w celi i skazany na śmierć! Myśl ta była mu w owej chwili niemal obojętna. Czyli nie przeżył niedawno wielkiej śmierci na Golgocie? Wszystko inne jest przy niej niczem. Wydawało mu się, że przebył już śmierć. Zmartwychwstały przepełniał jego serce. Nie mógł się uwolnić od świętych wspomnień. Nagle wybłysła w nim myśl: jeśli przyjdzie, będzie mocny. Matka opowiadała mu niegdyś o owym rzymskim kacie. Miał on ściąć pewnego młodzieńca chrześcijańskiego, ogarnęła go jednak tak wielka litość, iż omdlał. Młodzieniec pokrzepił go i pocieszył; podobnie jak obowiązkiem jego jest umierać, tak obowiązkiem jego jest zabijać. Ale potem pomyślał Konrad: Jesteś winny i nie możesz się porównywać z świętym. Czy byłbyś takim pokutnikiem i bohaterem, aby tak uczynić? Czy potrafiłbyś umierać słodko z Jezusem, ale jeszcze słodziej żyć z nim.

Spytał go klucznik, czy nie pragnie wyjść na przechadzkę.

Na przechadzkę? Ach tak, na dziedziniec, gdzie zrzucają wszelkie nieczystości. I nieczystości ludzkie także. Nie, nie chce. Zostanie w celi. To nie może potrwać długo.

— Długo nie — rzekł stary. Ale nie powiedział, że ranny kanclerz umarł tymczasem. Konrad mógł wyczuć z większej życzliwości „starego niedźwiedzia", że sprawa jego nie była na dobrej drodze.

— Jeśli się pan dzielnie spisze — rzekł stary — następnym razem będzie pan mógł przechadzać się pod zielonymi drzewami.

— A więc przecież? — Przecież?!

Konrad pomyślał o ułaskawieniu i był wzruszony. Na jego policzkach zakwitły czerwone plamy.

— Nie jest jeszcze tak, jak pan myśli. Wiedz pan, że do króla jest daleka droga. Ale może przyjść każdej chwili. I ja czekam na to niecierpliwie. Wie pan, panie Ferleitner, że ja zwalniam się potem ze służby.

O tej samej porze zjawił się znów w celi kapłan. Zwykł wchodzić zawsze do tej ciemnej celi z wesołą miną i radosnem słowem bożem. Powinnością jego było niesienie pociechy. Gdyby tylko nie było nieraz tak trudno znaleźć odpowiednie słowo. Kiedy otyły mnich wchodził zmęczony,

ocierał sobie twarz niebieską chusteczką i pozdrawiał głośno więźnia w jego zimnej celi. Jednak tym razem przeląkł się. Jak wyglądał więzień? Wychudzony jak szkielet, między bezmięsnemi ustami błyszczą zęby; oczy szeroko rozwarte, a w nich płonie dziwny ogień.

— Ponieważ nie chciał mnie pan już wołać, przeto przybyłem niewzywany, aby zobaczyć, jak się panu wiedzie. Nie był pan chyba chory?

— Jest już może rozstrzygnięcie? — spytał więzień.

— Ja nie wiedziałbym o tem? — odparł mnich. — Jak widzę, przeszkadzam panu w pracy.

Bo Konrad zapomniał sprzątnąć swoje kartki. Musiał się więc przyznać, że on to napisał.

— Czy tu nie jest za ciemno?

— Przyzwyczaiłem się do tego. Początkowo było ciemno, ale powoli rozjaśniło się.

— Pisał pan może — testament? — spytał mnich ze zdziwieniem.

— Coś w tym rodzaju.

— No, no! Tyle pan zapisał!

— Ja nie. Kto inny.

Mnich przewracał kartki, przeczytał tu i ówdzie jakiś ustęp, potrząsnął swoją ostrzyżoną głową i rzekł:

— Wygląda to istotnie jak gdyby coś w rodzaju Nowego Testamentu. Odpisał pan z ewangelji?

— Nie, nie miałem ewangelji, księże. Napisałem więc sobie sam.

— Ewangelję? Sam? Pan? Tak z głowy?

— Nie. A raczej trochę. Według dawnych wspomnień. Za błędy odpowiadam.

— No — teraz jestem naprawdę zaciekawiony — zawołał mnich. — Czy wolno przeczytać?

— Szkoda trudu. Ale nie miałem innego sposobu.

— Namęczył się pan przytem, panie Ferleitner?

— Nie, wcale nie. Pokrzepiłem się raczej, że tak powiem. Żałuję, że już skończyłem. Nie myślałem przytem o niczem — zapomniałem o wszystkiem.

Strawił go ogień, myślał mnich.

— Pozwoli mi pan wziąć z sobą rękopis na parę dni ?

Zezwolił nieśmiało. Ale gdy mnich zwinął kartki w rulon i wsunął go do habita, iż tylko nieznacznie wystawał, a potem odszedł, Ferleitner spojrzał ze smutkiem w pustkę i ogarnęła go tęsknota za pismem. Przez całe tygodnie czuł się z niem szczęśliwy. Co pomyśli o niem mnich? Wyda mu się fałszywe. Tacy ludzie widzą Boga inaczej niż my. A jeśli je skrytykuje, cała radość zniknie.

Nie na długo jednak rozstał się z swoim rękopisem. Już następnego dnia mnich przyniósł go z powrotem. Zaczął go czytać wieczorem i czytał przez całą noc. Ale nie chciał wypowiedzieć swego sądu. I Ferleitner nie pytał. Bezradnie siedzieli razem przy prostym, drewnianym stole i nawet mnich nie wiedział, jak się wysłowić. Po chwili wyjął rulon, położył go i oświadczył, że ze stanowiska kościoła niejedno można mu zarzucić.

— I faryzeuszom historji, jakby się wyraził autor, nie podobałoby się bardzo wiele. Wiem, panie Ferleitner, że prosił mnie pan o ewangelję. Gdybym wiedział, że pan zna ją tak dobrze, był-

bym ją panu przyniósł. Ale może nawet tak jest lepiej. Muszę przyznać, panie Ferleitner, że dawno nie cieszyłem się z niczego tak bardzo, jak z pańskich rozważań i poezji. Niechaj błędów szukają ci, co są do tego powołani. Najważniejsze to jest żywa wiara i żywy Jezus. A to znalazłem. Mój synu! — Położył dłoń na głowę więźnia. — Tak to pan nabożnie odczuł, iż chętnie udzieliłbym panu sakramentu. Tak, Konradzie, jesteś uratowany. Módl się tylko żarliwie.

Konrad zakrył twarz rękami. Płakał cicho. Był tak szczęśliwy z tego, co powiedział mnich.

— Myślałem nawet — ciągnął po chwili mnich — że to opowiadanie mogą czytać i inni, którzy szukają prostego słowa bożego i nie mogą go znaleźć. Jakże wielu jest, którym obce jest życie syna człowieczego i którzy sami nie mogą zrozumieć ewangelji. I w szpitalach, przytułkach i więzieniach wielu jest takich. Szczególniej takich, którzy są w twojem położeniu. Czy masz jakieś zastrzeżenia?

— Mój Boże, dlaczegoż nie — odparł Konrad — jeśli pismo to sprawi taką radość innym nieszczęśliwym, jaką sprawiło mnie! Ale nie wiem — i nie pisałem go w tym celu. Pisałem tylko dla siebie.

— Naturalnie, że to i owo trzeba będzie zmienić. I forma wymaga udoskonalenia — rzekł mnich. — Omówimy to kiedyś razem.

— Sądzi wasza wielebność — rzekł cicho więzień — że starczy na to czasu?

— A przedewszystkiem musimy wynaleźć

dobry i odpowiedni tytuł. Pomyśl pan, że dziecko musi mieć także imię.

— Wypisałem raz na niem litery I. N. R. I.

— To zbyt dziwaczne. Nikt tego nie zrozumie. Potrzebny jest jeszcze drugi tytuł, podtytuł.

— Tytuł jest mi obojętny — rzekł Konrad. — Może zna pan jakiś.

— Pomyślę. Czy mogę wziąć rękopis jeszcze raz? Dobrze, na stare lata spróbuję mego pióra. Jeśli czeladnik stolarski potrafi napisać całą książkę, to mnichowi uda się przynajmniej wymyślić tytuł. Dręczy cię może coś, moje dziecko? — Nie. A zatem — Bóg z tobą. Przyjdę niebawem.

Koło drzwi odwrócił się jeszcze raz:

— Powiedz mi, czy profos daje dość do jedzenia.

— Więcej niż potrzebuję.

— — — — — — — —

Na dworze było upalne lato. Konrad nie wiedział i nie myślał o tem. Naraz przyszedł klucznik i oświadczył, że wyjątkowo może przechadzać się przez pół godziny po ogrodzie. Konrad przyjął to dość obojętnie, potem wyszedł z dozorcą. Zataczał się niemal, idąc wzdłuż sklepionych korytarzy, odwykł bowiem od prostego chodzenia. Trzymał się ramienia dozorcy i rzekł:

— Mam zawrót głowy.

— Idź pan tylko spokojnie, a nic panu nie będzie.

— Wyjdziemy na dwór, na powietrze?

— Teraz codziennie będzie się pan przechadzał przez pół godziny po ogrodzie.

— Nie wiem — rzekł trwożnie Konrad — ale lękam się — słońca.

Aż oto stanęli pod szerokiem niebem w dalekiem, jasnem, zielonem świetle. Konrad musiał przystanąć. Przez chwilę zakrywał twarz rękami, potem spojrzał i znów zakrył oczy. I począł drżeć. Dozorca milczał i prowadził go. Szedł więc, słaniając się, pod jasnemi cieniami dzikich kasztanów. Z obu stron dalekie, złoto-zielone, świecące się powierzchnie, z kwiatami i różami, których jaskrawe barwy drżały jak powietrze nad ogniem. Nad niemi dalekie, błękitne niebo z straszliwie palącem słońcem. A wszystko przenikał śpiew ptaków. O życie! życie! Zapomniał już, co to znaczy żyć! Westchnął. Nie był to jęk. Potem usiadł na ławce, wypoczywał i patrzył przed siebie. I patrzył w niezmierzone światło. I po policzkach jego jęły spływać ciche łzy.

Po chwili dozorca uczynił ruch, jak gdyby chciał iść dalej. Konrad podniósł się niepewnie i poszli powoli dalej. Przyszli do białego posągu z marmuru, stojącego na cokole w okolu błyszczących kwiatów.

Konrad stanął, położył dłoń na oczach, spojrzał na posąg i spytał:

— Kto to jest?

— To jest król — odparł dozorca.

Konrad oglądał długo biust. A potem rzekł cicho i z głębokiem wzruszeniem:

— Jak on życzliwie patrzy! Jak życzliwie spogląda na mnie!

— O tak, to jest dobry pan.

Wtedy serce skazańca jęło się powoli radować.

Świat jest piękny. Ludzie dobrzy. Życie wieczne. A nad wszystkiem ojciec niebieski...

Dozorca spojrzał na zegarek:

— Czas upłynął.

Konrad wrócił do celi. Potknął się na progu i zawadził o stół, tak ciemno tu było i cicho. A w sercu jego drżała ciągle radość. Świat jest piękny. Ludzie dobrzy...

Potem — powoli, powolutku ogarnęło go znużenie. Położył się na chwilę na słomie. Wtem zazgrzytał klucz w zamku. Konrad zląkł się i wstał. — Co to nadchodzi? Co?

Wszedł mnich szybko i wesoło. Wywijając rulonem, zawołał:

— Radosna nowina! Radosna nowina!

Ręce Konrada przypadły do piersi. „Radosna nowina? A więc wkońcu? — Życie? Znów życie?" Słyszy radosny dźwięk tego słowa. Potem stał przez chwilę nieruchomo — i usiadł na ławce.

— Tak, mój synu — rzekł mnich. — Nazwijmy pismo radosną nowiną. „I. N. R. I. Radosna nowina skazańca". Zgodne to jest z ewangelją, stosuje się wybornie, nieprawdaż? Co, czy nie tak? — Urwał nagle i zdumiał się. — Co panu jest, panie Ferleitner?

Konrad nie słyszał już. Zatoczył się pod ścianę, głowę ukrył na piersiach. Rzęził. Mnich chwycił szybko dzban z wodą, aby ocucić omdlałego. Pokropił jego czoło, usta, rozerwał ubranie i oblał jego piersi. I zauważył, że serce nie biło, a oko zgasło. Zawołał o pomoc. Zjawił się klucznik. Popatrzył, zająkał się — — — a potem rzekł:

— Dobrze się stało.

Potem nastąpiła cisza. Aż nagle stary zawołał radośnie:

— Dobrze się stało. Jesteś wielki, Boże!

Gdy potem mnich szedł przez długie korytarze, ze smutkiem dziękując Bogu za szczęśliwy cud tego nieporozumienia, spotkał się w bramie z prezydentem sądu. Ów szedł z trudem, wspierając się na lasce. Ujrzawszy mnicha, zbliżył się do niego.

— Kochany ojcze — rzekł ochryple — będzie pan miał niestety ciężką noc. Delikwentowi Ferleitnerowi potrzebny będzie kapłan. Jutro o szóstej rano pójdzie na stracenie.

Krótkie milczenie. Potem odparł mnich:

— Panie prezydencie! Delikwent Konrad Ferleitner nie potrzebuje już ani kapłana ani sędziego. Ułaskawiono go.

Koniec.

Miejska Biblioteka Publiczna w Białymstoku
7850
KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 1718 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

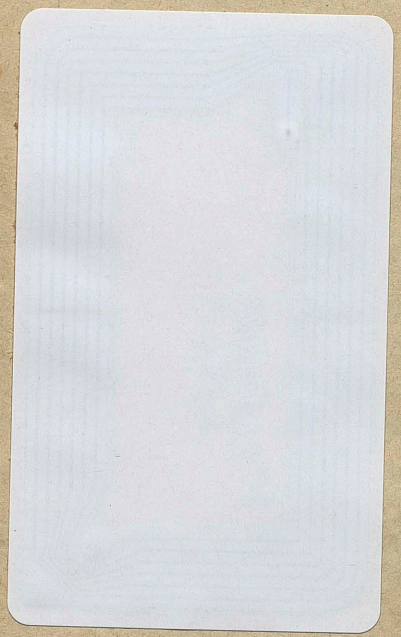

4850